

1040
1040

JUREK I PAWEŁEK



1040

ALEKSANDER ALFRED KONAR

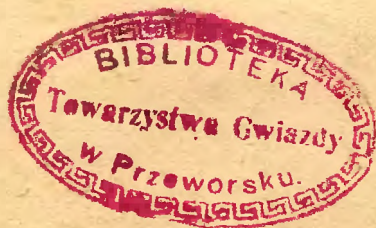
PIĄTE KOŁO

02.1

ALEKSANDER ALFRED KONAR

JUREK I PAWEŁEK

POWIEŚĆ



1040

WARSZAWA — 1925
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

TEGOŻ AUTORA

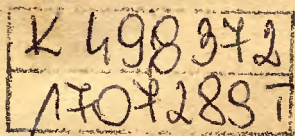
MŁODOŚĆ PANNY MANI, powieść
JESIEŃ, powieść
KARJERY. Część I: DWÓR W JĘDRZE-
JEWICACH, powieść
Część II: KSIĘŻNA IRENA, powieść
OPTYMISTKA, nowele w druku.
BANKRUCI, powieść (wyczerpane)
OAZY, powieść (wyczerpane)
PANNY, powieść, wydanie II. (wyczerpane)
PIERWSZA MIŁOŚĆ, nowele (wyczerp.)
PRZED ŚLUBEM, nowele (wyczerpane)
SIOSTRY MALINOWSKIE, powieść, wy-
danie nowe (wyczerpane)
W SYRENIM GRODZIE, powieść (wy-
czerpane)
PIĄTE KOŁO, Część II: Szałowski
Szylent i S-ka, Powieść w druku.

0-09/87/3



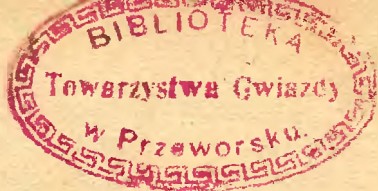
2.02.

61-



DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1879
1016



I.

— Nie wiem, proszę pani, doprawdy nie nie wiem — usprawiedliwiał się zmieszany Pawełek, poprawiając sobie nerwowo czuprynę i mrugając z przyzwyczajenia oczami.

— Niech pan Pawełek zastanowi się nad tem, że nie zdradza przecież swego przyjaciela przed wrogiem, jeno przed jego rodzoną matką, która pragnie chyba szczęścia swego ukochanego jedynaka. Bo nie wątpi przecież pan Pawełek w moje uczucia dla Jureczka? Zresztą chodzi tu o rzecz najważniejszą: o jego zdrowie — wykrztusiła, hamując koronkową chusteczką łzy — piękna zawsze pani Roma.

— Przecież taki stateczny młodzieniec, jak pan Paweł Szylert — wtrącił, gładząc białą ręką swoje staranne szpakowate bokobrody quasi przystojny i quasi dystyngowany pan Witold — nie może solidaryzować z tak lekkomyślnem postępowaniem swego kolegi. Bo przyzna pan Pawełek, że pani Roma nie krępuje zbytnio syna. Patrzy na wiele jego sprawek aż nadto przez palce. Ale wykradać się w nocy z łóżka po tak silnej malarji na jakieś nocne wizyty, na które, sędzę, iż wystarczy czasu po skończeniu Szkoły realnej...

— On może to życiem przyłacić, przy takiej nie pogodzie — wybuchnęła znów szczerym płaczem pani Roma. — Przecież pan Pawełek musi znać adres tej... artystki. Ja sama pojadę do niej w tej chwili.

— Kiedy nieznam adresu, nie mogę — gryzł aż paznokcie z powodu tej nieznośnej sprawy Pawełek.

— He, he. Bo ostatecznie czy pan Pawełek kocha się w pani Romie, czy w swoim przyjacielu? — roześmiał się nieogłędnie szyderczy pan Witold.

— Proszę nie płoszyć go — strofowała go na stronie pani Roma. — Zna pan tę mimozę. Już mruga po swojemu oczami.

Napastowanemu tak brutalnie Pawełkowi trzęsła się dolna szczeka. Błady, poprawiając wciąż ze wzruszenia okulary, staczał bolesną walkę pomiędzy wstrętem do kłamstwa, a poczuciem koleżeńskiej etyki, która pod wpływem przekonywujących argumentów napastnika chwiała się w decyzji niedyskretnych wyznań, drgających mu już na końcu języka.

— Gdzie stolarzy sześć, tam niema co jeść — zadecydowała, przekręcając po swojemu przysłowie panna Petronela.

— Skąd tu znów stolarze? — zniecierpliwiła się pani Roma. — Niech panna Petronela da mi lepiej chusteczkę do nosa.

— Obejdzie się bez chusteczek, bez płaczu i bez niczyjej protekcji — zdecydowała w swojej manierze opryskliwości stara domownica. — Choć panna Petronela jest podobno głupia — wie dobrze, gdzie siano rośnie. Nie, jak inni mędracy, którzy wiedzą zawsze, gdzie gwiżdżą, ale nie wiedzą w którym kościele. Bo gdzie stolarzy sześć, tam niema co jeść.

— He, he! — śmiał się swoim irytująco naiwnym śmiechem pan Witold. — Ależ to nie sześciu stolarzy, tylko kucharzy. Nie siano, lecz trawa. I nie gwiżdżą w kościele, lecz dzwonią.

— Jestem sobie prosto z morza.

— Zapewne z mostu. He, he!

— Niechaj będzie i z mostu. A choć panna Petronela jest głupia, ona jedna wie, gdzie Jureczek czas poza domem spędza. Oto adres tej damy. Komedia finitowa.

— Tej aktorki?

— To persona gratis. Taka ona aktorka, jak ja.

— He, he! Chwali się panna Petronela.

— Panie Witoldzie, proszę przestać dowcipkować — zdenerwowała się w końcu pani Roma, zainteresowana nowymi relacjami. — Czemu panna Petronela wcześniej słówkiem nie odezwała się?

— Nie pytana — nie odzywam się nigdy, jak Piłat z kredy.

— Czy ten adres jest tylko autentyczny? Skąd go panna Petronela wydostała?

— A właśnie! Skąd wydostałam — w tem moja rywalizacja. Tanim fuksem tę wiadomość zdobyłam. A choć siedziałam, jak na rozżarzonych szpilkach...

— He, he! Zapewne na węglach?

— Niech i tak będzie. A nie odzywałam się, bo każdy człowiek ma swoją progieniturę. Nikt się do mnie nie zwracał. Dopiero kiedy bieda — to do swata — trajkotała podniecona. — A kiedy rady sobie dać nie można, to ze wszystkim do panny Petroneli, która i tak ma już więcej kłopotów, niż uszów na głowie.

— He, he. Niż włosów — zapewne.

— Ach! Z tym wiecznym śmiechem! — westchnęła, hamując się pani Roma.

— A teraz przydała się na coś panna Petronela — tryumfowała swoim odkryciem, udzieleniem jej przez żonę szwajcara, zaprzyjaźnioną z pokojówką tajemniczej damy. Bo ja, pomimo pracy jestem zawsze — perpetum apostolorum.

— Może perpetum mobile? co? He, he!

Zaczęły się debaty, ścierania zdań i sprzeczki. Pawełek wysunął się do swego pokoju, przekonany, że zadecydują coś bardzo nietaktownego i niewłaściwego. Bo pan Witold nie omieszka skorzystać z podniecenia dwóch śmiertelnie zakochanych kobiet, aby ukartować choć raz coś bardzo

dotkliwego dla swego młodego pupila, dla którego pod płaszczykiem tolerancji — ukrywał ślełą niechęć, zresztą w zupełności wzajemnie podzielaną. Choć niechęć ta, maską grzeczności więziona — nie wybuchała nigdy jawną ekspansją, pomimo, iż dwaj wrogowie, skuci do siebie losami — po piętach sobie stąpali. Bo od czegoż kultura? Lepszą jest zgangrenowana z bólu dusza, niż wulgarny wybuch krzyku szczerości.

— Ach! Ten Jurek! — irytował się w swojej samotni Pawełek. — Musi wiecznie pakować mnie w jakąś kabałę! Ten niby mój przyjaciel od siedmiu boleści! Nie uwolnię się nigdy od niego, bo jakieś fatum do końca życia mnie z nim związało — prorokował, uchylając głowę bezradnie, jakby pod nieodwołalnym wyrokiem przeznaczenia.

— Kocham się w pani Romie! Także mi! — cytował koncept pana Witolda. Pawełek w bolesnej pasji pocziwców nie potrafiących się irytować i wybuchających nazewnątrż bardzo rzadko — Wszyscy dokoła tak twierdzą! Mądre gadanie!

Począł analizować swoje uczucia, coraz bardziej nerwowo odsuwając spadającą mu na czoło czuprynę, coraz zajadlej gryząc paznokcie i mrugając oczami.

— Ludzie zawsze się mylą. Naturalnie: Mruk, mimoza z dziwactwami po matce, „starej ro-

mantycze“. Tylko ich samych logika jest idealnie logiczną. Przecież pierwszym dowodem afektu jest zatrata zdolności analizowania przedmiotu uczuć. A może się mylę?

Począł kwestjonować swoje wątpliwości — niezmordowany, pomimo swego młodocianego wieku — we własnej autoanalizie; choć zazdrościł jednocześnie tym wszystkim gruboskórnym z jednej sztuki filistrom, którzy ani na chwilę nie wątpią, iż wszystkie czynione im zarzuty są bez wyjątku mylne i niesprawiedliwe. Nie, nie. Mylili się co do jego uczuć dla pani Romy. Miłość, czyli bezkrytyczny kult bez zdolności analizowania przedmiotu uczuć — czuł Pawełek dotychczas jedynie dla ś. p. matki. Zarysowywała się ona stale w jego pamięci, jako uosobienie wszelkich zalet, jako istota, niepodobna do tych wszystkich innych prokuratorów ziemi, węszących wszędzie te wszystkie wady, których tylko w sobie nie widzą, i dla których bliźni jest jedynie przedmiotem wiecznych oskarżeń.

— A ja sam, czy nie posiadam tej prokuratorskiej manji? Naturalnie! Ja sam! To zupełnie coś innego! Z innej gliny, z innej parafji, z innej planety! — roześmiał się smutnie z własnego konceptu, przeświadczony, że jest znacznie rozmowniejszy i dowcipniejszy w sam na sam ze sobą, niż w towarzystwie.

— To także dziedzictwo po matce, urodzonej

samotnicy i dziwaczce — konstatował nową autoobserwację i, rzuciwszy okiem w lustro, zdecydował.

— Faktycznie, zdaje się, że wyraz moich oczu i całej twarzy coraz bardziej ją przypomina.

— Moją święta Bubuśka! Przeczuwałaś, że moja życiowa karjera zarówno, jak twoja nie będzie usłaną różami!

Prawda, że polubił serdecznie panią Rome; lecz aż nadto dobrze zdaje sobie sprawę z jej wad. Nie ulega kwestji, że od śmierci męża, który nie pozostawił jej majątku — powinna była zamieszkiwać nie ten wspianiały apartament, lecz dwa małe pokoiki aż do czasu, kiedy sprawa rozwodowa pana Witolda ukończy się nareszcie. A i Jurk, przestawszy już być dzieckiem, nie powinien przecież tolerować roli, jaką ten obcy dotąd pan w ich życiu zajmuje.

— Niestety. Nie potrafię być zaślepionym, chociaż może wolałbym być zdolnym do kultów — rozumował zupełnie trzeźwo. — Wolałbym nie widzieć wad w ludziach, którzy są mi najbliżsi na świecie. Po śmierci ś. p. matki okazali mi przecież tyle serca, że nie zapomnę im tego do grobu. Tyle lat nas ze sobą łączy! Pani Roma jest istotnie niezwykle kulturalną, estetyczną, piękną, miłą i dobrą. No, pan Witold, biedaczysko! Już znacznie mniej ciekawy typ! Ale temu lekkoduchowi Jurkowi nie można nawet bez wszelkiego

zaślepienia odmówić bardzo wielu zalet umysłu i charakteru. Wszyscy z tem się godzą. Dlatego też pomagam jedynaczkowi w zadanych lekcjach. Bez pomocy korepetytora-rówieśnika nie wysiedział by przy pracy. Więc nie przyjmuję ich wikt darmo. A na drobne wydatki zarabiam sobie jeszcze poza domem. I tak jakoś sieroce życie się ciągnie.

— Tak, tak. W wiecznej niewoli przyjaźni, w wiecznych więzach wspomnień dziecięcych, w wiecznym kulcie wdzięczności — nie uwolnię się nigdy z pod uroku pogody, humoru, dowcipu, śmiechu i płochości Jurka. Podbija on przecież wszystkich dokoła temi wszystkimi swemi właściwościami, a więc i mnie, który sam tych zalet nie posiadam ani odrobiny. Cóż więc dziwnego, że tem wszystkim imponuje mi. Lubię ludzi, niepodobnych do mnie.

Począł rozmyślać o wszystkich minionych chwilach dziecięctwa, o wspólnych niciach, któremi losy połączyły ich egzystencje. Począł wycierać zakopcone ze wzruszenia okulary... Cała przeszłość w różowej aureoli żyjącej jeszcze ongi jego ukochanej biednej matki — poczęła przesuwając się kalejdoskopowo przed jego oczami...

W pierwszym tygodniu po zapisie szkolnym, kiedy świeżo upieczone „primaki“ z powodu niewykończonych jeszcze (ku ich wielkiemu zmartwieniu) mundurków — chodziły na nieuregulowane dotąd planem lekcje w prywatnych swoich ubrankach — wyróżniał się wśród biednie odzianych młodzieńczych koleżków swoim krótkim pięknym ciemno aksamitnem ubrankiem, w śnieżnym marynarskim kołnierzyku 9-letni gibki, błyszczącooki Jurek Szałowski. Już na ulicy przed gmachem szkolnym zauważono jego zakupiony we Włoszech marynarski kapelusik z florenckiej słomy, okolony niebieską wstążką z wielkim złotym napisem: Firenze. Zajeżdżał na codzienne egzaminy do gimnazjum kareta, w której towarzyszyła mu błyszcząca strojem, dystynkcją i urodą matka. Wybaczano mu te imponujące wszystkim zbytki, ponieważ — należało mu to przyznać, iż najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy, że podobne nie znaczące drobnostki mogą zwracać czyjąś uwagę.

Jego dezynwoltura chłopca zbyt kownie chowanego, lecz nie podkreślającego, ani nie zdającego sobie z tego komfortu sprawy — działała, iż nie tylko nie wzbudzał zawiści, lecz przeciwnie incresował tym swoim specjalnym wdziękiem dobrego królewicza, któremu wszyscy mieli wiecznie ulegać.

Ten czar jego polegał głównie na braku dźbła

manieri, wypływającej zawsze z samopoczucia własnych wad, lub zalet oraz z chęci ukrywania, czy też podkreślania tych właściwości chlubnych lub ujemnych.

Jurkowi, nieciekawemu psychiki ani otoczenia, ani własnej nie przychodziła nigdy do głowy refleksja zdobywania dobrej, lub złej opinii świata, do którego wstępował z dewizą:

— Jestem taki, jaki jestem. C'est à prendre, ou à laisser.

Takim też miał już zostać do końca życia. Zarówno, jakimi pozostają do grobu i wszystkie inne primaki, którym burze życia zginają czasem karki, brózdzą i żółcą ciało i srebrzą włosy. Lecz ich naturę, powolną, czy sangwiniczną, refleksyjną, czy wybuchową — stwierdzili już ich koledzy z pierwszej klasy gimnazjalnej odrazu w pierwszym kwartale.

Jurek Szałowski od pierwszej klasy był zarejestrowany przez kolegów do dożywotniej kratki t. zw. dobrych chłopców. Nawet dobrze nie wiedziano, czem sobie ten patent zdobył, lecz fakt pozostał faktem.

Kolega Szylert należał do zupełnie innej parafji: Duchowo znacznie mniej efektowny — w wiecznych rozterkach z samym sobą, cały w półtonach, w ćwierćdźwiękach — analizował wiecznie swoje wady, swój charakter i swoje nie świetne właściwości zewnętrzne.

Odbierało mu to naturalnie wszelką swobodę ruchów i śmiałość umysłu. Badając zaś dusze kolegów, uświadamiał się co do ich zalet i wad. Entuzjazmował się początkowo, to znów zrażał w przeświadczeniu, że się w swych obserwacjach mylił.

Tym pomyłkom swego zbyt intensywnego życia wewnętrznego zawdzięczał wczesne zawody i bóle, które wyłobily w jego wrażliwej i delikatnej od dziecka duszy — nieufność, lęk oraz potrzebę maskowania skrytością — swoich niefortunnych odkryć.

Tym brakiem harmonji i pogodnego wdzięku odznaczało się też poza duszą i ciałem Pawełka. Stwierdzili ten fakt odrazu wszyscy koledzy, u których był znacznie mniej popularnym od Jurka ze swoją przylepioną dożywotnie nomenklaturą dziwaka, sobka, mimozy.

Tylko dziwnemu zbiegowi okoliczności można by przypisać to spotkanie się na wspólnej drodze Eneasza i Kaifasza, którzy odtąd do końca życia mieli pospołu kroczyć po niej, obok siebie.

Pawełek jeszcze w tej chwili słyszy w uszach przejmujący dźwięk uroczystego szkolnego dzwonka *din, din, din*, który poraz pierwszy przeszył ciszę nieoswojonych jeszcze z więziennym trybem lilipucich pierwszoklasistów.

Z wyrazem wystraszonych wróbli kupiących się w obcym środowisku — lilipucie uczniaczki

zasiedli w ławkach. Dokoła, jakby makiem zasiał. Bo niesłychać, jak w ich sercach łomocze coś, jak młotem... Hu, hu, hu...

Jakiś czerwonoooki nauczyciel, moskal, w urzędowym granatowym fraku ze srebrnymi herbowymi guzikami stał na podium katedry. Brr...

Sztubaczki, jeszcze nie w mundurach, każdy z innej parafji — jak wystraszone źle opierzone kury, uwięzione w kojcu wraz z indykami — ocierają się o siebie, spłoszone wspólną niewolą, w obcych czarnych ławkach z olbrzymimi kałamarzami, wśród władzy (O, o, o!) przemawiającej jakimś obcym nienawistnym językiem...

Jakiś rutynowany, 12-letni weteran, który w zeszłym roku promocji do drugiej klasy nie uzyskał — trzępie teraz z wielką swadą pacierz, który rozbrzmiewa dźwiękami starosłowiańskiej „gramoty“ jakby chińskim egzotyzmem: prebłagi, Gospodi, nispošli wojei wnimati uczeniji... Tą samą kirylicą zadrukowane są wszystkie ich książki szkolne, nie wyłączając polskiej „chrystomatji“ Dubrowskiego. W tych dzikich hieroglifach będą też wkuwali i grekę. Męka jednakowa, jak gdyby kazali im uczyć się rosyjskiego po grecku.

Czerwonoooki z czerwoną opuchniętą twarzą nauczyciel języka rosyjskiego, jednocześnie tak zwany gospodarz klasy pan Piotr Mikołajewicz Iwanow czytał swym ochrypłym głosem nałogowego pijaka alfabetyczną listę obecnych, zaświad-

czanych osobiście powstaniem z podniesioną sakramentalnie ręką.

Spis tych nazwisk koleżeńskich z pierwszej klasy przechowywa się w mózgu, jak katechizm aż do grobu: „Bodurkiewicz, Budziszewski, Gębarski, Gębicki, Isarowicz, Kijewski, Klimowicz, Kon, Kotkorowski, Kuczyński...”

Wszyscy zasiedli w swoich ławkach. Pawełek zerknął w bok — ciekawy, z kim też los połączył go więziennym łańcuchem u taczki w tej wieloletniej syberyjskiej katordze, na którą bezapelacyjnie skazane było każde polskie dziecko od urodzenia.

I aż poczerwieniał cały z zadowolenia. Ależ los zesłał mu właśnie to najmiłsze sąsiedztwo: To był ów sympatyczny z błyszczącymi oczami paniczek, który w pierwszym dniu zapisów zwrócił jego uwagę pięknem aksamitnem ubrankiem, noszonem bez żadnej wyniosłości.

Pawełek zauważył go też wczoraj, jak bez żadnego zakłopotania — rozmawiał z ową piękną strojną damą, z trenem u sukni, której pojazd o koniach w posrebrzanych szorach zatrzymywał się przed sztachetami gimnazjalnego gmachu. To była zapewne jego matka, bo wzięła go do karety, i razem pojechali.

I Pawełek obrzuca swego sąsiada dyskretnem spojrzeniem, jak nowego współlokatora:

Jurek Szałowski nie zdaje sobie z tych obser-

wacji sprawy. Jest bardzo zajęty rozglądaniem się po nowej siedzibie: po gołych brudnych ścianach, z wyglądającą złoto blaszaną ikoną w rogu. I ta wytarta czarna tablica z zawieszoną na sznurku gąbką i z kawałkiem kredy... I te wąskie ławki, powyrzynane całymi pokoleniami scyzoryków. I te nigdy nie myte szyby u okien, przez które prze-gląda się martwe obmurowane więzienne podwó-rze z kilkoma zeszlęmi karłami drzewami...

Subtelnie obserwujący Pawełek odczuł jednak odrazu intuicyjnie, iż jego sąsiad, pomimo swojej miny urodzonego paniczka — jest mniej przejęty więzienną grozą, niż on sam Pawełek, nie przy-zwyczajony przecież z domu do udekorowanych ścian i posadzek. Przecież skromny plébejusz po-winien być bardziej wytrzymałym na zmiany at-mosferyczne i na drogi, mniej lub więcej kamie-niste, nawet na wyboje...

I zainteresowany swoim sąsiedztwem Pawełek obserwuje, jak jego koleżka podczas informowa-nia belfra w kwestjach regulaminu lekcji i kupna odpowiednich podręczników — rozgląda się z war-gami wężutko ściśniętymi, jakby do gwizdania. Zajmowały go widocznie i te sufitowe pajęczyny i zauważona po raz pierwszy w życiu ikona. A po-tem temperował ołówek i pilnikiem scyzoryka po-lerował sobie paznokcie. Najprawdopodobniej nie myślał o niczem.

Wreszcie zadudniał dzwonek: Din, din... Pierw-

sza a zarazem ostatnia dziś lekcja skończyła się! Wykłady serjo miały się rozpocząć dopiero od jutra.

Uczniowie znowu w swoich ławkach powstali. Rutynowany, zeszłoroczniak z jeszcze większym pośpiechem wyrecytował: „Prebłagi Hospodi, ni-pośli wojeji, wnimati uczenji...”

Jurek Szałowski z dezynwolturą t. zw. dobrego domowego ułożenia, właściwą ludziom, opływającym w dostatki — wyciągnął na pożegnanie rękę do swego nieznanego mu jeszcze współnika nowej niedoli, zesłanego przez losy, jak rozbitkom okrętowym na bezludnej wyspie.

— Jestem Szałowski!

— A ja Szylert.

— A na imię ci — Paweł, prawda?

— Skąd wiesz?

— Wyczytałem na twoich kajetach. To dziwne — roześmiał się swoim ujmującym otwartym śmiechem.

— Dlaczego? — stropił się wrażliwy z powodu wiecznej obawy drwinek, tem boleśniejszych, kiedy pochodzą od ludzi, do których mimowoli Igniemy.

— Dlatego, bo i ja mam w metryce na drugie imię: Gaweł. Jesteśmy więc Paweł i Gaweł. A i pierwsze litery nazwiska mamy te same — wybuchnął znowu śmiechem.

Tym razem i Szylertowi skrzywiły się usta z radości.

Przeczuł rzadkość dusz bratnich. W uszach uszczęśliwionego Pawełka ten Paweł i Gaweł brzmiał prawie jak Kastor i Polux, Orestes i Pilades.

— Ale możesz mnie nazywać poprostu Jurkiem Bądź zdrów Pawełku.

— Bądź zdrów, Jurku — wykrztusił uszczęśliwiony, iż posiada przyjaciela na miarę starożytnych wzorów przyjaźni Achillesa i Petrokla.

Po upływie tygodnia „sztuba“ była już w całym rozkwicie... swej ciemnoty. Wszyscy kilkocałowi dygnitarze byli już — proszę nie żartować — w mundurkach, które nie sprowadzają jednak do wspólnego mianownika nawet sztubaków. Zeszłoroczniki w wytartych, nicowanych, z guzikami o przebijającej z pod cienkiego posrebrzenia miedzi — dzielili się na dwie kategorie: 1) lekkoduchów, szczycących się starzyzną mundurka oraz swoim doświadczeniem i pogardą dla nowicjuszków 2) oraz na subtelniejszych, których bolała utrata dawnych promowanych kolegów i zawstydzalo towarzystwo świeżych przybyszów. A i tych przybyszów mundur nie amalgamował. Chropowata niebieskość, wpadająca w szary fiolet taniego sukna, odbijała rażąco od cieniutkiego ciemnego granatu, lśniącego od galonów i nigdy nie ściągających się srebrnych guzików mundurka młodocianych Krezusów.

Taki właśnie mundurek, skrojony nie dla oszczędności na wyrost, układał się harmonijnie na doskonałych proporcjach Jurka Szałowskiego, jeszcze stokroć powabniejszego w nowym uniformie, niż w dawnych aksamitach.

Lecz piękny jego wygląd nie zmieniał grozy dzisiejszej sytuacji. Bo oto okazało się, iż z powodu nieuważnego wczorajszego notowania zalecanych przez belfra książek — Szałowski sprokurował sobie w księgarni moskiewskiej Istomina nie to wydanie Howajskiego, jakie bezwarunkowo należało. Wiadomym faktem, że p. Howajskij za pomocą łapówek wyrabiał sobie musowy zakup corocznych obowiązujących nowych wydań. Nieuważny Szałowski nie umiał ani słowa zadanej na dziś lekcji, figurującej jedynie w tej nowej, niby poprawnej edycji. Zeszłoroczniki pocieszali go, iż belfer będzie wyrывał uczniów do lekcji prawdopodobnie w alfabetycznym porządku nazwisk.

Zdawało się z początku, że przepowiednia się spełni, bo wyrwano do katedry Bodurkiewicza i Budziszewskiego. Następnie stanęli przed tablicą Kijewski, Klimowicz i Kotkorowski.

Godzina chyliła się już ku końcowi. Pozostało nie całych dziesięć minut do dzwonka. A zupełnie już spokojny Szałowski z ustami, zaciśniętymi do dyskretnego gwizdu polerował sobie paznokcie, to bładził okiem po złotoblaszej ikonie i po sufitowych pajęczynach. Aż tu naraz

belfer nieoczekiwanym ruchem przerzucił kartki wielkiej księgi i jakby piorunem przeszywał: „Gospoda Szałowski, Szylert. Szczawiński.“

Szylert natchnionym wśród grozy gienjalnym pomysłem poprzodował do katedry, nie, jak należało — jako drugi w trójce wezwanych, lecz, jako pierwszy, i, nie czekając swojej kolei, począł recytować lekcję, a ukończywszy, prolongował jeszcze na zapas objaśnianie na jutro zadanie.

Koledzy, poznawszy się na tej strategji, niekwestjonowali gapiostwa belfra. Jakanina Pawełka trwała dziesięć minut. Odezwał się dzwonek; sytuacja była uratowana.

— Udało ci się — winszowali Szałowskiemu koledzy.

— Dziękuję Ci, — wyciągnął do Szylerta rękę ze swoim miłym uśmiechem Jurek. — Ta jucha zcięłaby mnie napewno.

Wielka pauza! Zeskakując po kilka naraz schodów, zbiegali ciemnymi korytarzami na więzienne podwórze, napęlniając je gwarem ptactwa, wypuszczonego z klatek. Jakieś uparte promienie słońca przedzierały się gwałtem, jakby zwabione ich młodością przez więzienny parkan i muskało swoim złotem okna zatechłych korytarzy; ożywiało kilka suchotniczych drzewek szkolnego podwórza i zaróżawiało twarze dzieci, których wewnętrzną troskę łagodziła „Wielka pauza“.

Rzecz prosta, nie było tu jeszcze ani zorganizo-

wanej „ekstry“, ani „palanta“ ani wybuchów prawdziwego humoru. Lecz jedynie jakaś gorączkowa *bonne mine à mauvais jeu*, na którą zdobywali się z wysiłkiem najpogodniejsi optymiści i najbezmyślniejsze lekkoduchy.

Harcowały tu jedynie jakieś żywiołowe odruchy młodości, nerwowe bezcelowe gonitwy niedoświadczonych prowodyrów, niewiedzących jeszcze, co uczynić z tym, którego pochwycono.

Dźwięczały fałszem jakieś falsetowe piskłące klótnie, bezsensownie rzucane przezwiska, nawet kułaki, jak u pijaków, zalewających niesmaczną wódką robaka.

Kilku największych zapaleńców, opitych łykiem powietrza — usiłowało *ot! pour passer le temps* tarmosić w jakiejś nieprzytomnej ekstazie Pawełka. Jeden pochwycił go za włosy; drugi zręcznym ruchem zerwał mu okulary. Nadbiegły Jurek podłożeniem nogi, obalił zręcznie jego przeciwnika. A drugiego uniósł w górę i rzucił, jak kłodę.

— Brawo! — rozebrzmiał dokoła głos uznania starszych znawców. Zasapany Jurek z uśmiechem tryumfatora rozglądał się dokoła.

Zdażył już kilkakrotnie zwrócić uwagę kolegów, iż w każdym zapasie bierze rekordy. A byle jaki przecież tryumf oszałamia, jak stare wino. *Din, din.* Pauza się skończyła.

Trochę zmęczeniu, gnani musem — pędzą, jak stada na górę na swoje miejsca z gwarem, usta-

jącym jedynie, jako memento mori przed napół-otwartymi drzwiami sanetuarjum kancelarji, która swoim zielonem suknem stołu i wielkim w złotych ramach olejodrukowym portretem Aleksandra II-go — tamuje dech w piersiach młodziutkich niewolników.

Przejmuje ich całych nawskróś nerwowym zgrzytem ten dostrzeżony skrawek tronowej sali Belzebuba, w której zasiedli umundurowani i wyorderowani belfrzy, przejęci poddańczo wobec swego wyniosłego władcy, długobrodego dyrektora Stefanowicza i szyderczego inspektora Sokółowa. Ta cała „rada dziesięciu“ wydawała się biednym lilipucikom huraganem, o sile poruszania z posad obu kul świata. Choć to była jedynie potęga macoszych obcych bogów bez ojcowskiej wyrozumiałości i współczucia. Kara piekieł okrutnych i niesprawiedliwych, której należy strzec się, jak przed zatruciem dżumy.

Pawełek, już na miejscu — zajada wyjęty z tornistra swój razowy chleb ze smalcem stopionym ze słoniny. (Bo matka musiała oszczędzać masła, którego funt kosztował wtedy — nie bagatela — aż całych czterdzieści groszy!) Wertuje też jednocześnie w oczekiwaniu belfra łacinnika zadaną na dziś gramatykę.

I Jurek, zabiera się do swego owiniętego białym papierem śniadania. Nie czuje apetytu do

jedzenia. I mimo woli rzuca okiem na razowiec Pawełka.

— Wiesz, oddam ci swoją bułkę z sarniną, a ty za to oddasz mi swój kawałek chleba ze smalcem — łaknął tego smakołyku, używanego w domu jego mamusi jedynie dla służby, która tym rarytasem niekiedy go częstowała.

— Kiedy bułki i sarnina są droższe od razowego chleba — bronił się Pawełek, przejęty dobrocią, naturalnością i mocą paniczka kolegi.

— A cóż mnie to może obchodzić, kiedy ja niecierpię tych nieznośnych ciągłych indyków i sarniny. A przepadam za razowcem, który jadłem tylko raz jeden w mleczeni. Nie, przepraszam cztery razy. Ale to już dawno. Bo u nas służba teraz nie lubi razowego.

— A ja nigdy nie jadłem sarniny. Ale raz za życia ojca był u nas na święconem indyk.

— No, to — doskonale. Masz! Pi! Jaki ten twój chleb wyborczy! Choć, wiesz, ja najbardziej lubię serdelki.

— Hm! Zdaje się! Ale serdelki są bardzo drogie.

— Wcale nie drogie. Po sześć groszy — sztuka. A w bufecie u stróżki — uświadamiał go już au courant życia sztubackiego — kosztują po osiem groszy na gorąco z musztardą. A papatacze po sześć groszy, a buldyngony po groszu.

— Kto ci to wszystko powiedział? — dziwił się olśniony uświadomieniem kolegi — Pawełek.

— Bo kupiłem buldygonów za dwadzieścia groszy. Rozdałem je na pauzie kolegom i woźnemu dla jego dzieci. Ciebie nie częstowałem, boś nie był już na podwórzu. A ty nie byłeś jeszcze nigdy w bufecie? — litował się nad nim.

Bo wszystkim uczniom imponował wiecznie ten bufet, umieszczony na końcu korytarza w cuchnącej izdebce stróżki, tuż obok jej łózek małżeńskich i kołyski dziecięcej. Zamożniejsi, habitués z wyższych klas — znajdowali się tu, jak u siebie w domu. Z pod ich rozpiętych z szykiem mundurów jaśniały zabronione im przez władzę piękne krawaty i białe kamizelki z dewizkami zegarków. Przyszli klienci Stępkowskiego i Boqueta — ciągnęli się tu ukradkiem papierosami, puszczać dla niepoznaki dym w otwarte drzwiczki piecyka pani stróżki, której łaskami się cieszyli.

— Cóż, smakuje ci sarnina? — gaworzyli uprzejmie w miódowych dniach koleżeństwa Jurk z Pawełkiem.

— Podobna w smaku do pieczeni baraniej — zadecydował interlokutor lakonicznie, żałując po niewczasie, że należało przecież jakimś komplemtem nagrodzić tę uprzejmą zamianę kolegi, a nie obojętną analizą.

— A wiesz — zwierzał się nowemu przyjacielowi natchniony Szałowski, zupełnie zaasymilowany już z nowym trybem życia — kiedy tylko dostanę promorę do 4-tej klasy, będę nosił mundur

rozpięty i palił u stróżki papierosy. A może jeszcze wcześniej.

— Ja lubię być ze wszystkim w porządku.

— E! Strachy na lachy. A czy ty zbierasz marki pocztowe?

— A jakże. Mam już Anglję, Francję, Niemcy i Belgję.

— E! Tylko europejskie? Ja mam w swoim zbiorze marki ze wszystkich części świata. A oto masz — wyjął z portmonetki — do twego zbioru! Ta trójkgraniasta — to — Przylądek Dobrej Nadziei. A ta — to Brazylja.

— Jakże ja mogę przyjmować takie rzadkości? — zaczerwienił się Pawełek. — Mamusia nie pozwala.

— Głupstwo! Pozbawiam się ich dlatego, że posiadam duplikaty.

— Dziękuję ci — promieniał Pawełek, bardziej wzruszony dobrocią kolegi, niż nabytkiem.

Życie ich szkolne płynęło już codziennym potokiem. Godziny lekcji na rozżarzonych węglach — przedzielane pauzami i rwetesem bieganiny wypuszczonego stada owiec po korytarzowych schodach. Słońce i chmury. Radości i smutki. Zabawy i męka. Jak całe życie...

Pewnego dnia przed samą lekcją Jurek zwierzył się Pawełkowi, że nie nauczył się dziś łaciny. Pocieszał się tem, że belfer wyrywać dziś będzie do tablicy z początkowymi literami nazwisk.

A więc Bodurkiewicz, Budziszewski, Gębarski, Gębicki...

— Na to nie można liczyć — przestrzegał go stateczny Pawełek.

— A ty jesteś przygotowany?

— Naturalnie. Jakże bym ja mógł przyjść nie przygotowany?.

— A co ty wypisujesz pod ławką na mankiecie? — zapytał kolegę Jurek, robiąc w zakłopotaniu *bonne mine à mauvais jeu*.

— To dla ciebie. W razie, gdyby nas razem wyrwano do tablicy — będziesz mógł wyczytać wszystkie łacińskie przysłowki na moim mankiecie.

Jurek się uśmiechnął. Uważał się za ocalonego.

Nie wątpił, że zawsze w życiu ktoś go ocali. Spojrzał na swego niezbyt pozornego zbawcę z zadowoleniem lwa, którego ocala drobnymi ząbkami, przegryzając sieci — mała myszka. Choć przecież nie z premedytacji dla własnych wygod ocalił wtedy od napadu kolegów słabego Pawełka? Lecz jakaś dobra gwiazda, świecąca zawsze nad t. z. dobrymi chłopcami — dyktowała mu zawsze bardzo dobrze opłacające się jego drobne usługi. Owa dobra gwiazda, zsyłająca miłym chłopcom zamiast subtelnych refleksji żywiołowy spryt i nieanalizowaną zrzeczność życiową.

I, choć Jurek domyślał się, że ten wybór tak niepozornego przyjaciela — nie wzbudzi zachwytu w jego estetycznym domu rodzinnym — był

rad w przeczuciu, że posiadał duszę, oddaną mu do grobu; a z piękności niewolnika — można przecież skwitować.

Din, din... Fale pieniających się rozmów, jakby za trójzębem Neptuna — uśmierzyły się. Śród grobowej ciszy z akompanjamentem dyskretnego tik-taka serc uczniowskich — odzywa się na korytarzu ciężkie miarowe stąpanie potwora. To — wróg, belfer... idzie już...

— A może to nie on? Może zasłabł, może nie przyjdzie? — tłą się iskierki ostatnich nadziei. Nie, nie. Point de reveries.

Brr... Jest! Lis! Uchodzi za najgorszego ze wszystkich. Urodzona moskiewska kanalia! Żółty, z kozackimi oczami, z poczerniałymi zębami, z rudą brodą, szarpaną wciąż palcami o obgryzionych paznokciach. Iwan Konstantynowicz Lisowski! Jest! Ze swoim głosikiem, syczącym jakimś piekielnie fałszywym falsetem, tak charakterystycznym u azjatów. Jest! Zmora! Ze swoją sadyeczną perfidją pastwienia się zimnemi drwinkami — bez wybuchów, przypominającą owe żmije i węże, które samem już spojrzeniem potrafią manetyzować owce, wpadające w osłupiałem omdleniu w ich paszczę.

Iwan Konstantynowicz Lisowski, zwany ogólnie lisem — kształcił się (!) w niższej szkole duchownej, której nie skończył. A karierę pedagogiczną rozpoczął w Saratowie na stanowisku pe-

dla w żeńskim gimnazjum, z którego wyleciał, jak z procy z powodu wykrytego skandalu zaszczytowania zbytniemi łaskami małoletnich uczniów. Przeniesiono go naturalnie do kraju „przywiślańskiego“, w którym roztacza teraz swoje skrzydła opiekuna lisa.

Wertując na katedrze wielką czarną księgę uczniów, lis zakaszał. Powstali na sekundę powitania uczniowie za jego zezwoleniem zasiedli znów na komendę w swoich miejscach. Och! Jak serca biją! Lis na katedrze obciera sobie nos, chrząka, gryzie paznokcie i wpija się swoim wężyim wzrokiem w czarną „pedagogiczną księgę“, mieszczącą przyszłe losy całej rotty uczniów, setek całego pokolenia.

Dokoła, jakby makiem zasiał: bo łupotu sere dziecięcych przecież nie słyhać. Wszystkie oczy pospuszczane. Bo ten pedagog-kryminalista z intuicją urodzonego szpicla odgaduje myśli, jak w otwartej księdze.

Z pogodnej pięknej twarzy lekkoducha Jurka odgadł odrazu, że to typ sympatycznego wałkonia, który lekcji dziś nie umie. I jako wyznawca pedagogicznej teorii, iż uczniów należy nie uświadamiać i poprawiać, lecz szykanować i karać, począł świdrować swoim nosem tajnego ajenta — sąsiadującego i widocznie zaprzyjaźnionego z koleżką potulnego ofiarnego Pawełka.

— To tak? — cmoknął zupełnie już uświado-

miony. I jego kose kozackie oczy z jakąś żywiołową zwykłą niechęcią wszystkich kanalji ku uczciwym ludziom — zatrzymały się na bladej uduchowionej twarzy Pawełka.

— Zaraz się przekonamy — zdecydował w swojej instynktownej nienawiści demona ku ludziom z innej, niż on sam gliny, z innej parafji i planety — pewny, że nieomylił się w swojej djagnozie.

Oto jednego z nich złapie na nieuctwie, a drugiego „gieroja“ na manji ocalenia kolegi. Bo „tacy“ zawsze łakną poświęcać się dla idei, przyjaźni, swobody, sprawiedliwości, czy też innych niecenzuralnych niedozwolonych przez carski rząd ideałów.

— Nu, panowie: Szylert — magnetyzująco rozpruł ciszę swoim przeciągłym skandującym falsetem — Szylert, Szałowski, Szczawiński do tablicy! Doskonale! Niech „pan“ Szylert wyliczy „pre-dłogi“ cum Acusativo.

Pawełek bez zająknienia wyładował z mózgu, jak pacierz tę pierwszą przy tablicy lekcję, która miała pozostać mu w pamięci aż do końca życia, która po upływie pół wieku na łożu śmiertelnem miała mu jeszcze kołatać sklerotycznemi dźwiękami zepsutego zegara aż do samego zgonu. I wyrzucił jednym tchem:

— Ante, apud, ad, adversus, circum, citra, ergo,

cis, penes, proper, per secundum, supra, versus, ultra, trans.

— Nu, dobrze. A teraz „pan“ Szałowski wyliczy nam „predłogi“ cum Ablativo.

Pawełek począł wycierać sobie oczy ręką w ten sposób, aby Jurek mógł wyczytać wyryte na mankiecie usłużnego kolegi:

— Absque, a, abs, i de, coram, clam, ex i e, sine, tenus, pro i pre.

Niestety, choć belfer nie patrzył w stronę jakającego się recytatora — brakło jednak Jurkowi rutyny w decyfrowaniu źle dojrzanej i tak obco brzmiącej mu w uszach chińszczyzny.

Wykrztusił więc zaledwie absque, a, abs i de... i ugrzązł.

— A więc „pan Szałowskij“ nie nauczył się lekcji?

— Nie, panie profesorze. Umiem — upierał się dojrzeć już zbyt wyraźnie podnoszoną mu pod oczy rękę z zapisanym mankiemtem.

— Dość już. No, a teraz „pan“ Szczawiński — ironizował lis to określenie „pan“ z tym sarkazmem, z jakim wszyscy moskale, którym imponuje tak towarzyska wytworność polaków — wyszydzą polski zwyczaj nie tykania nikogo. Bo nawet nasi stróże nocni i pomywaczki honorują się wzajemnie wiecznem: pan i pani.

— Absque, a, abs i de, coram, clam, ex i e, sine, tenus, pro i pre.

— Nu, ładno. A teraz panowie na miejsce.

Sytuacja wydawała się względnie ocaloną. Lecz złudzenie wnet pierzchnęło — przeszYTE ostrym zgrzytem lisa:

— Ale czemu to pan Szylert chwalił się tak przed panem Szałowskim posiadaniem mankieta? Może i ja bym ten szczególny mankiet obejrzał. Szylert, proszę tu do mnie bliżej do katedry!

— Acha! To tak? — wyczytał trzęsący się na dziecięcej ręce mankiet, jak w febrze, trzymając z tryumfem w swoich szponach wystraszoną owcę.

— Doskonale. Znaczy, że oba nie nauczyliście się na dziś zadanej lekcji — jaknajmylniej zakonkludował.

— Przecież na mankiecie — chciał bronić się wystraszony przestępca Pawełek — są wypisane jedynie przysłówki rządzące Ablativem, a ja wyrecytowałem na pamięć jaknajlepiej przysłówki Acusativa. Zresztą mogę przekonać, że i te ostatnie umiem, jak pacierz.

Lecz jedynie zamierzał tak się usprawiedliwiać. A w istocie te wszystkie najsluszniejsze refleksje nie dawały wykrztusić się przez gardło pod wpływem kosych oczu i jadowitego oddechu bazyliuszka.

— Przecież gdybym był widział mankiet, potrafiłbym lepiej wyrecytować lekcję — bronił się znacznie trzeźwiej Jurek — pogodzony już z my-

ślą złego stopnia w przykrem przewidywaniu gorszej jeszcze kary.

— Nu, dobrze — rozstrzygnął sprawę szpicel, sympatyzujący od pierwszej chwili bardziej z pogodną twarzą przysięgo dobrego chłopca viveura, syna bogatych (!!)

rodziców, niż z tym niezgrabnym, skrytym plebejuszem, którego uduchowiona blada twarz i oczy idejowca mogą kiedyś skłonić się ku „polskim intrygom“ na niekorzyść rządu i najmiłościwszego cara, opiekuna prywiślińskich urzędników.

— „Pan Szałowski“ — zdecydował dyplomatycznie Lisowski — dostał za nienauczenie się lekcji zły stopień. A pan Szylert, który nie tylko że nie umiał lekcji....

— Umiałem! — protestował wystraszony Pawelek.

— Ale chciał mnie w dodatku oszukać — nie tylko że dostanie z łaciny jedynekę, lecz nadto — zgodnie z mojem przedstawieniem Radzie pedagogicznej (!!)

pozostanie jeszcze po lekcjach dwie godziny w kozie.

Rada pedagogiczna! Brr! To brzmi prawie, jak szafot, gilotyna! Wyrok podpiszą zaraz tam na tem zielonem suknie pod portretem Aleksandra II-go w złotych ramach!

Po wyjściu belfra cała klasa zadrżała radością, że ostatecznie upust belfrowskiego jadu dosięgnął tym razem przecież nie ich samych, lecz tych bie-

daków kolegów. A do następnej lekcji lisa do pojutra jeszcze daleko! Kilka powierzchownych kondolencji skierowano w stronę pokrzywdzonych. Lecz Jurek, nie znosząc politowań — „stawiał się“:

— Rzeczywiście! Wiele sobie robię z tego mongola! — pochwycił za kredę i nakreślił na tablicy nieudolny portret swego prześladowcy z oślemi uszami i wśród głośniego chóralnego śmiechu pauzy, począł podpisywać nazwisko: „Lisowski“.

Lecz jakiś strzał przerażenia syknął naraz: — „Ostrożnie! Wraca z korytarza!“

Zapóźno! Pawełek zdążył zetrzeć z tablicy zaledwie kilka liter z nazwiska, kiedy lis stanął już w drzwiach klasy. Czterdzieści serc w czterdziestu dziecięcych piersiach znowu zaszamotało. Lecz nie było słyhać szamotu tych więzionych w klatce skrzydełek, choć dokoła zapanowała nowa cisza, jakby za poruszeniem różdżki czarodziejskiej w zaklętym zamku śpiącej królowny.

Wróg obejrzał kosemi oczami tablicę i, gryząc paznokcie, badał swoim śledczym falsetem:

— Nu, gospoda. Kto z was narysował ten bohomaz? Nikt? — I zadecydował po chwili ciszy:

— A więc sam się narysował? Tak? Nu, ładno. Tylko niech „pan“ Szylert rękę swoją nam pokaże. A skąd ta ręka uwalana kredą?

— Nie kredą proszę pana profesora, lecz gąbką.

— Gąbką? Doskonale. To znaczy, że Szylert chciał zetrzeć ten bohomaz z tablicy? Czy tak?

— Tak, proszę pana profesora — wykrztusił szczere wyznanie Pawełek.

— A kto ten bohomaz narysował?

— Nie wiem.

— Nie wie pan Szylert?

— Nie wiem, proszę pana profesora — machnął w rozpaczę ręką na wszystko z myślą: „Niech się dzieje, co chce“.

— Nu, aby Szylert na drugi raz wiedział — zostanie dziś w kozie nie dwie godziny, lecz cztery.

— Stało się. Niema na to rady — jęknął mały skazaniec, odczuwając po raz pierwszy w życiu niemoc wobec najboleśniejszego ostrza życiowej krzywdy i niesprawiedliwości. Bezradność wobec ran nieuleczalnych, wobec jadu panoszącej się dokoła zarazy nienawiści obcych prześladowców.

Po zamglonym jego dziecięcym mózgu poczęły poraz pierwszy tumanić się pod uderzeniem obucha jakieś chaotyczne myśli, wnioski i refleksje:

— Przecież każdy człowiek powinien ratować bliźniego w złych chwilach. Przecież nauczyciel nie może żądać zdrady kolegi, bo i sam na jego miejscu nie postąpiłby chyba inaczej. A może zdradził by właśnie kolegę wskutek innych pojęć słuszności?

I Pawełek zadrgał w przeczuciach kontaktu z ludźmi, którzy inaczej myślą, niż on, choć są

z tego samego Ojca-Boga i braćmi tej samej wspólnej ziemi. Pojął, że profesor nienawidzi go właśnie dlatego, że czuje, jak są do siebie zupełnie niepodobni. Takich ludzi, jak Lisowski jest zapewne bardzo wiele na świecie. Mówią innym językiem, patrzą innemi oczami. Słyszą i czują inaczej. Są sobie obcy ci wszyscy bracia bez bratnich dusz. Nienawidzą się wzajemnie, pogardzają i krzywdzą.

— Życie wśród takich na świecie — musi być strasznie — zadrżał z przerażenia zaraz na pierwszym kroku obuchem powalony. — A przecież muszę jeszcze od złych ludzi bronić także i Bubuškę. (Tem pieszczotliwem mianem nazywał stale wśród karesów swoją matkę).

Płószył się teraz w swojej wrażliwości młodego arabszyka, którego jedno syknięcie podnieca bardziej, niż batogi — folwarczną szkapę. I przejęty przyszłym posłannictwem zajęcia się losem chorej matki wdowy biadał:

— Co to będzie, co to będzie? — ugiął się aż cały w swojej nadwrażliwości, sprowokowanej niepedagogicznie przez matkę, która wtajemniczała go zbyt wcześnie w ich całą domową niedolę. I zadrżał, identyfikując dzisiejszą krzywdę z całą Golgotą przyszłości.

Nie czuł w sobie sił do walki z niesprawiedliwością. Bo przecież spotkała go dziś krzywda niesprawiedliwa. Bo lekcję, jak pacierz umiał, a ocalić

przyjaciela także należało. I co z tego wynikło? Nie chodzi tu przecież jedynie o przykrość i wstyd kary, ani o ambicję wybijania się na stanowisko prymusa. Lecz zapisany do tak zwanej „czarnej księgi dyscyplinarnej“ — musi kwitować z uwolnienia od opłaty wpisu szkolnego. A nie może być mowy, aby jego biedna matka wynalazła środki na kwartalną opłatę. Opuścić szkołę i wstąpić do rzemiosła? — wzdrygnął się bólem wszystkich nędzarzy marzących o wyzwoleniu.

— Teraz wszystko już stracone! — poprawiał rzadko strzyżoną dla oszczędności czuprynę i wycierał sobie okulary. Jak to bubuśce wytłumaczyć i co ona powie, kiedy dopiero przed wieczorem w domu się zjawie?

I z właściwością naturom subtelnym, wyrozumiałością dla przeciwnika, którą wszyscy w przyszłości mieli mu wytykać — począł usprawiedliwiać motywy wroga, niezdając sobie sprawy, jak taktyka samooskarżeń paraliżuje moc stronnej zawsze słuszności w każdej walce.

— Wiele w tem wszystkim mojej własnej winy. Bo należało wyrecytować całą umianą lekcję po raz drugi i oświadczyć, żem wypisał to na mankiecie jedynie, aby wbić sobie łatwiej w pamięć; w ten sposób, wszystko by się wyjaśniło.

To przeświadczenie o własnych winach powiększyło mu jeszcze ból, że każdy człowiek odpowiada jakoby sam za własne postęпки.

A on sam czuł przecież najlepiej, że nie chciał mu mimo jego woli w żaden sposób przejść przez gardło te wszystkie najsluszniesze argumenty, które ocaliły by go. Bo faktycznie mówić nie był w stanie. I tak będzie aż do końca życia.

Wstrząsnął się na myśl tego okrutnego wyroku wiecznej niemocy, wybuchającej jedynie dźwiękami czezej paplaniny, z męką niewydobytej nigdy i niepodzielonej z nikim istoty i treści wnętrza własnej duszy.

Bo on przez całe życie nie da się poznać i nie wywnętrzy nigdy przed nikim. Fałszywie rozumiany, z nieprzebytym murem, który go od świata oddzieli — pozostanie sam dzięki własnej winie, a raczej dzięki — swemu kalectwu.

W transie tych rozpaczliwych myśli, nietylko nie mogących się wyjawić, lecz i wewnątrz uplastycznąć się w dziecięcym mózgu — niepoczytalny Pawełek nie zdawał sobie sprawy ani z wykładów, ani z dzwonka, dzielącego jedną lekcję od drugiej. Nie słyszał ani coraz nowych hałasów pauzy, ani coraz nowej ciszy. Jedna godzina lekcji następowała za drugą: Łacina, arytmetyka, język rosyjski — pańszczyzny, różniące się od siebie jedynie kolorem brody belfrów i dyszkantem dźwięku ich głosów.

Aż wreszcie ostatnia godzina „wykładów“ chyliła się już ku końcowi.

Pawełek spojrział przez swoje okopcone szkła na Jurka.

I naraz za serce coś go ścisnęło: Kolega „o bratniej duszy“ miał usta ściśnięte, jakby do dyskretnego gwizdu. I ten stały wyraz jego oczu, śmiejących się do własnych myśli i figlów; a pozatem absolutny indyferentyzm na wszystko dokoła... W jaknajlepszym nastroju niepomny na nic — rozgląda się Jurek po zajmującej go stale ikonie i pajęczynach u sufitu. Pozatem zajmuje się pod ławką jakiemiś błahostkami; z duszą odłogiem; z mózgiem w wiecznem uśpieniu. Niby piękne zwierzątko w rodzaju konika polnego lub motyla...

Wycina teraz scyzorykiem, a raczej psuje dziurkę w rzemyku tornistra; układa w pudełku marki pocztowe i najbezmyślniej bawi się stalówkami.

Pawełek pojął doskonale, że nie może wtajemniczyć go w tragiczny nastrój własnych refleksji. Bo poco?

Chciał otrzeć z pod okularów łzę, która zresztą nie popłynęła mu z oczu, bo była zbyt ciężką.

Dziń, dziń... Ostatnia lekcja się skończyła. Zgiełk, rwetes, krętanina, pakowanie tornistrów, kłus ze schodów korytarzowych i tętent stada wypuszczonych żrebaków...

— Do widzenia Pawełku — zegnał się grzecznie z kolegą układny Jurek. — Dziękuję ci za

usługę, jaką chciałeś mi wyrządzić. Nie twoja wina, że się nie udało. Masz, to moje śniadanie. Niewiedziałem, że jeszcze jedna bułka leżała w tornistrze.

— Dziękuję — zadrgał Pawełek głosem narzmiętym od łez, które, bohatersko w gardle wstrzymywał. Nie chciał Jurkowi odmawiać, pewny, że ofiarowane śniadanie przez gardło mu nie przejdzie. Cała klasa dokoła była już prawie pusta. Przyjaciele rzucili się sobie w objęcia — jeden tragiczny, a drugi układny „dobry chłopiec“.

— Mam do ciebie prośbę: — wykrztusiła pierwszą krzywdę wrażliwa mimoza. — Moja matka będzie niespokojną o mnie; więc bądź łaskaw iść do niej. I opowiesz jej wszystko, co się tu stało.

— Z największą ochotą. Ale nieznam jeszcze twego adresu. A czym jest twój ojciec?

— Jestem sierotą. Mam tylko matkę. Mamy wypożyczalnię książek w sklepiku na Lesznie. Tam też jest mieszkanie.

— Bądź spokojny. Powiem, że stało się to wszystko przezemnie.

— Nie. Dlaczego? — w swoim wzruszeniu miał ochotę drugi raz ucałować przyjaciela. Lecz Jurek zajęty przypinaniem tornistra na plecy, gwizdząc już zupełnie głośno, wymykał się pędem ze szkoły.

Pawełek pozostał sam jeden. W pustej naraz sali, zanieczyszczonej od kurzu i dusznej od oddechów

kopy uczniów, z niewygasłemi jeszcze echemi gwaru — ziało aż teraz od przygnębiającej martwoty, która osadzała się całunem na drobnych piersiach samotnego więźnia.

Antypatyczny woźny, naśladowający Lisowskiego, z mikołajewskimi bokobrodami, zwęszywszy nosem, wytresowanym w atmosferze łapownictwa, iż debutant-więzień nie kwalifikuje się do kategorii naciąganych na łapówki — manifestował bardzo wyniośle swoją władzę.

I hałasując głośno miotłą, rozsuwając ławki i skrapiając od kurzu podłogę, kłął pod nosem, że ledwie szkoły się zaczęły, a już różne kanalje kozy odsiadują. I człowiek przez nich musi harować aż do zmierzchu.

Aby go nie widzieć Pawełek zasiadł w oknie. Lecz od podwórza cmentarnie zmarłego i spopielałego wiało takim ołowianym bezbrzeżnym smutkiem, że przymknął aż bolące go ze zmęczenia powieki. Doszedł do innego okna, wychodzącego na ulicę, która zajęła go chwilowo swoim turkotem dorożek, ruchem sunących po trotuarach przechodniów i sprawami przekupniów, zachwalających towary przy straganach. Matki prowadziły za ręce dzieciaki. Jakiś piesek czekał... I Pawełek miał uczucie, że ci wszyscy ludzie przemieszkują na jednym brzegu życia, a on oddzielony od nich wszystkich bezdennym oceanem — ugrzązł na jakiejś samotnej mieliźnie.

I to się już nigdy nie zmieni, i pozostanie do końca życia sam. Bo taka już w nim dusza. Taki towar, nie mający na straganach zbytu. Bo Lis jest przecież także człowiekiem. Lecz nie rozumie i nie toleruje specjalnie takich, jak on.

Przypatrywał się z rogowego okna smutnej fasadzie jednolitego ciemnego gmachu gimnazjalnego, bez jednego balkonu, bez gzymsów i kapiteli, z furtką okutą antabami, o kilku kamiennych schodkach.

Cały ów ponury gmach II-go gimnazjum na Nowolipkach, otoczony przerażająco więziennymi żelaznymi sztachetami — zaryje mu się teraz w pamięci ołowiem, niezatartym już aż do końca życia; choć te wrota jeszcze przed tygodniem wydawały mu się zaczarowanymi wrotami skarbów Sezamu.

Poznał już te skarby i czuje w nagłym jasnowidzeniu, jak w tej cieplarni aplegierów złodowacieje i zeschnie mu uśmiech jego duszy. I z tą zranioną od kajdan duszą — będzie mógł być może użytecznym i szanowanym, lecz już nigdy pogodnym i szczęśliwym.

Aby rozerwać pociąg myśli, przeniósł je ku tym, których kocha: W tej samej sekundzie Jurek przecież już musi być w ich mieszkaniu na Lesznie. Uspokaja teraz bubuśkę!

Smutny półuśmiech rozjaśnił twarz Pawełka. Był rad, że jego przyjaciel bawi w ich domu. Sie-

dzi teraz z matką w czytelni. Może wskutek ciemności przed nadchodzącą burzą bubuśka zapaliła kinkiet, wiszący u sufitu...

Nie wątpi w skuteczność misji Jurka, który musi podobać się każdemu. W tej oto chwili bubuśka pod urokiem tej nowej znajomości raduje się zapewne przyjaznym stosunkiem syna z tak sympatycznym wytwornym koleżką.

I Pawełkowi sprawia przyjemność myśl, że błogosławiące ręce matki jakgdyby sankcjonowały ten jego chimeryczny dotąd stosunek przyjaźni.

Zabrał się do lekcji, zadanych na jutro, odgadując, że praca — to jedyne lekarstwo na wszystkie bóle życia. I wśród ciszy więzienia, zanurzył się jak w haszyszu w książkach, które, jak perpetuum mobile — napełniają wciąż mózgi ludzkie, niby bezdenną beczkę Danaid.

II.

Wbrew pogardzie dla szarzyzny życia owych chodzących na szczudłach pióropuszkowych pajaców i pewnych swojej manieri tytanicznego patosu kabotynów — całe życie matki Pawełka było tą tęsknicą szarych dni, jaką żyje większość ludzi na całej kuli ziemskiej.

Były w tem życiu i troski i radości, poezja smutku i półuśmiechów; były potykania się z powodu własnych win i krzywdy z powodu ludzkiej

niewyrozumiałości. Wszystko nie na miarę pana-che'u olbrzymów Fidjasza, lecz ot takie sobie zwykle małe ludzkie lilipucie życie, któremu bogowie Olimpu zdają się pobłażliwie przypatrywać, jak gdyby przez odwrotnie trzymaną pomniejszającą lornetę. Lecz w tej mylnej orientacji pomniejszanych lub powiększanych lornet — można dostrzec jedynie cienki kontur mrowiska, lub zaobserwować z gruba dekoracyjność naszkicowanych wielkich płaszczyzn i rozmach krzykliwego szkarłatu. A wymyka się za to cała poezja zamilceń, westchnień i zadum. Cała w sepiowatych półtonach głębia niemych refleksji pomiędzy wierszami. Cała w szarych pajęczych zmierzchach ukrywana melancholja bólów niewyjawionych. Cała tragiedja spadających z szelestem liści jesiennych. Cichutkie jęki umierającego motyla, lub dziecka...

A takie drobiazgi są dostępne jedynie tym, może najprawdziwszym poetom. Poetom o duszy cieniutko wytrenowanej do przejmowania się cichym smutkiem i maskowaną tajoną niedolą, małuczki-
kich, zwanych przez wielkich płytkich blagierów — karłami...

Takich kilkocalowych arcydzieł życia oglądano nie przez lunety, lecz przez mikroskop — nie zawiesza się w wielkich galerjach obok Rubensów, lub Makartów. Lecz kryją się one w omijanych przez tłum małych muzealnych salonikach, w których nieliczni z wyrobionem podniebieniem

smakosze delektują się, czarem poezji, tkwiącej nie w wielkich giestach i w panaszu tytanów królów i bohaterów, lecz... ludzi...

Pani Szykertowa, jako ongi średnio przystojna 25-o letnia cnotliwa panna bez posagu uważała wraz ze swoją matką, drobną emerytką — za opiekę Boską to cudowne zjawienie się pierwszego konkurenta o rękę.

Przeświadczone, że ten pierwszy konkurent będzie zarazem i ostatnim — nie zwlekały z przyjęciem otwartemi rękami, aby tylko nie rozmyślił się i nie cofnął.

Cudem się zjawił. Zamieszkiwały dla oszczędności małej lokalik na Pradze. Żyły w zupełnej samotności bez żadnych więzów rodzinnych, ponieważ zarówno matka, jak i córka były jedyńcami, bez braci, sióstr, wujenek i t. d... Bez żadnych znajomości, ponieważ nie miały środków do zawierania stosunków towarzyskich.

Poznały go w parku praskim. Siedział samotny obok nich na ławce i rozpoczął z nieznaną panną rozmowę. Ujęła widocznie starzejącego się kawalera swoją miną (pomimo lat dwudziestu z górą) małej drobnej nierozwiniętej dziewczynki. Począł zwierzać się jej, że jest rodem z Galicji i że w Królestwie poza interesantami nie zna nikogo i nie bywa nigdzie.

Do rozmowy wtrąciła się znacznie zręczniejsza od córki matka. Za trzeciem, czy też czwartem

spotkaniem uważała za właściwe zaprosić go na herbatę. Cudem to wszystko się stało.

Jaki był, to był. Życie nie jest przecież bajką o królewiczach. Mógł być jeszcze znacznie gorszy i starszy, choć i tak dwadzieścia z górą lat oddziało go od wieku narzeczonej.

Był wdowcem, ale bezdzietnym. Wprawdzie bez majątku, lecz, jako przedsiębiorca budowlany zarabiał na skromne utrzymanie. Nie był zresztą ani ułomny, ani monstrualnie brzydki. Tylko nos, trochę zaczerwieniony zdradzał gusty alkoholiczne. Przyznawał się do tego, choć zapewniał, że zna swoją miarę, której nigdy nie przekracza. Nie zawadziłoby, aby był w obeiściu choć trochę miłszym i duchowo mniej obcym jej.

Lecz trudno było pannie doletniej, ubogiej i niezbyt pięknej z powodu takich błahości kwitować z małżeństwa i macierzyństwa. Lecz natura ludzka jest niewyrozumiała.

Oto w pierwszych dniach zaręczyn — zamiast na klęczkach dziękować Bogu za karierę — trochę kaprysiła... Ot, takie sobie zwykłe panieńskie grymasy, na które nie zwraca się uwagi. I po ślubie zrażona mężowską brutalnością chciała się topić, wracać do domu matki. Aż stara zwierzała się drwiącemi szeptami rozbawionym kumoszkom ze swoich kłopotów z nieuświadamioną córką.

Nowo zaślubiona mężatka zamknęła odtąd duszę na cztery spusty. Poznała, że istnieją dwa, nie

łączące się ze sobą odrębne życia: To potoczne, zewnętrzne, konwencjonalne, kłamliwe i to drugie chowane na cztery spusty, jak tajemny skarbiec niespełnionych marzeń nieistniejącego szczęścia. Bajka o królewiczach, o wielkich nadziejach, o tytanicznych ofiarach i zawodach.

Znała ten świat doskonale: To byli jej przyjaciele, bracia, kochankowie, którym poświęcała wszystkie myśli swego jestestwa poza pracą tej nizinnej wegietacji zapełnionej nocnem wyczekiwaniem brutalnego męża, który powracał z brudnej kawiarni „pod dzwonnica”. Królował w niej też — nie bagatela — sam Soter — Rozbicki śród dymu cybuchów ze stambułkami tytuniu, wchłanianego przez bursztyny, wyjmowane dla facecji z kieszeni przyjaciół, zajętych warcabami i dykteryjkami.

Zresztą i na tych nizinach zajaśniała dla niej gwiazda z nieba. Została matką syna, Pawełka, którego pokochała jeszcze stokroć bardziej, niż wszystkich wyśnionych królewiczów z bajki.

I kiedy to dziecko, wątłe od urodzenia, ot, jak zwykle płód alkoholików i wogóle niezbyt młodych i średnio kochających się rodziców, o piersi wątłej, jak u nieopierzonych piskląt — rączyny ku niej wyciągało — nie umiała określić zenitu swego szczęścia. Zdawało się jej, że kwiaty ktoś u nóg jej złożył. Nie zazdrościła królowym.

Cóż wobec tego znaczyło, że mąż jej okazał się

dość przykrym w pożyciu; był kłótliwym przekorą, w obejściu gwałtownym i brutalnym, szczególnie kiedy powracał nie „z pod dzwonnicy“, lecz z bawaryjek po niezliczonej ilości kufelków piwa „lagrowego“

Lecz przy wiecznem chodzeniu, jak to mówią — na palcach — udawało się jej najczęściej burzę zażegnać.

Dochody jego były nierówne i nie stałe. Utyskiwała też żartobliwie przed matką, przejętą ogromnie w swej starczej apatji karierą córki:

— Wie mama, jaka jest różnica pomiędzy obecną karierą, a starą moją panięńską biedą? Dawniej kłopotalam się wiecznie o rubla. A w mojej obecnej świetności brak mi zawsze dziesięciu rubli. Gdybyż to mój mąż zdecydował się mieszkać w dwóch pokoikach, a nie w czterech! Ale o tem i mowy być z nim nie może. Choć przydało by się bardzo odłożyć coś na czarną godzinę. Jeżeli już nie dla mnie samej, to przynajmniej na kształcenie Pawelka.

Coraz częściej o tej czarnej godzinie myślała. Bo mąż jej w ostatnich czasach znacznie postarzał. W nocy budziły ją często koszmary z pesymistycznemi przeczuciami, które — niestety — tak rzadko w życiu zawodzą!

Po kilku latach małżeńskiej kariery pan przedsiębiorca budowlany począł chorować. Badany lekarz oświadczył zaniepokojonej żonie, że stan pa-

cjenta z powodu nadużywania spirytualiów w następstwach może stać się groźnym. Skonstatował bowiem przedwczesną sklerozę, rozedmnę płuc i serce osłabione. W krótkim czasie po tej ddiagnozie chory nieoczekiwanie osierocił żonę, pozostawiając samą jedną na świecie wraz z trzyletnim dzieckiem na bruku. Staruszka jej matka już wtedy nie żyła.

Po opłaceniu lekarzy, kościoła i karawanu pozostało cieplej wdówcę w majątku jeszcze kilka tysięcy złotych. Lecz miała syna!

Wątle to było chuchro, jak kwieczoł. Oczy małe błyszczące, jak czarne paciorki, wytrzeszczał z odrobinką zeza, to znów je zmrużał. Znać, że widzi nieświeźnie. Radził się lekarzy. Skonstatowali wadliwą budowę siatkówki, pocieszając, że choć kuracja na nic się tu nie zda, pacjent przy odpowiednim oszczędzaniu, może uczyć się i pracować do najpóźniejszych lat. Z porady ich zakupił Pawełkowi szafirowe okulary, z którymi nie rozstawał się od 8-go roku życia.

Po śmierci męża Szylertowa ręk nie opuściła. Pod wpływem miłości dla dziecka zrodziła się w niej jakaś energja życiowa, o którą nie posądzała by jej znająca ją na wylot z dawnych czasów rodzona matka.

Wybrała sobie już upatrzony zawód: Była zawsze, pomimo zaniedbanego kształcenia, kultural-

na. Wiecznie interesowała się literaturą, muzyką i sztuką. Lubiła książki.

Przyszło jej na myśl założenie małej księgarenki z jaknajuboższym choćby sortymentem i z jednocześnie sprzedającą papieru listowego, kajetów i ołówków wraz z wypożyczalnią książek.

Wertowanie w katalogach, obcowanie z inteligentną klientelą, porozumiewanie się z księgarzami, autorami, redakcjami — wydawało się jej rajem.

Rzecz była postanowiona. Nie wahała się dłużej ani chwili: Czytelnia! Uczuła się w swoim żywiole. Uszczęśliwiona tym niezbyt fortunnym pomysłem wobec słabych płuc, nie nadających się do trawienia stęchlizny i kurzu niedezynfekowanych zniszczonych książczyn — rupieci — rozpoczęła niezmordowaną bieganinę po wydawcach i antykwarniach w kwestji ewentualnych założeń i kredytów.

Okazało się, że z jej kapitalikiem, powiększonym jeszcze ofiarami sprzedanego starego, klekotu, sreber i biżuterji w formie różnych pamiątkowych złotych cienkich medaljoników, drobnych pierścionków i łańcuszków — nie może być mowy o założeniu minimalnej księgarenki.

Nie dała jednak za wygraną. I trzymając się swego pomysłu, jak ostatniej deski zbawienia — biegła po antykwarniach, badała faktorów o kupno starej czytelnii, ogłaszała swoje żądania w kurjerkach... Aż nabyła wreszcie trafunkiem maleńką

wypożyczalnię książek na Lesznie, umieszczoną w sklepiku ciemnym wskutek małych szybek u wąskich drzwi wchodowych, do których należało wdrapywać się dawnym trybem po kilku trzęsących się schodkach. Przy owych niegościnnych schodkach, umieszczanych przy dawnych sklepach specjalnie, aby zwyczajem dawnych kupców utrudniać wejście mało pożądanym kupującym — dudniał w dodatku bardzo śmiesznie automatyczny dzwonek, do reszty płosząc otwierającego natrętnie drzwi gościa. Dzwonek, jakiego używają obecnie jedynie do płoszenia złodzieiów.

Dwie szafy z książkami tworzyły jednocześnie parawan, za którym mieściło się w drugiej połowie sklepiku prywatne mieszkanie właściciela, czytelnia.

Kiedy w czarnej żałobnej sukni z cieniutkim krepowym welonikiem kapelusza — Szylertową rozejrzała się po swoim nowem królestwie, złożyła z zachwytyu dziękczynne dłonie za los swój, wreszcie ustalony.

Miała więc dach nad głową, łyżkę strawy i umożliwioną opiekę nad dzieckiem! Rozkoszowała się temi otłuszczonemi żółtymi kartkami numerów, przyklejanych na grzbietach starych, zabrudzonych książczyn o kartkach wydartych, z idjotycznymi uwagami czytelników, z brzegami przepoconemi i poszarpanemi.

Była to po większej części makulatura, wybierki z wielu nieistniejących już czytelni. Przeważnie tłumaczone romanse stare Dumasa, Fevala, Ponçon du Terrail, Boisgobey, Gaboriau i Paul de Kocka. Była i Złota Szajka i Marcin Podrzutek Sue'a i Adrijana Lecouvreur Scribe'a. (Abonenci wymawiali zwykle: Scribego i Suego). Nowości prawie wcale nie było.

Szylertowa pojęła rychło, że nie może być mowy o klientach wśród śmietanki inteligencji. Lecz mniej wybredni klienci mogą połakomić się na opłatę bez kaucji, niższą, niż w innych czytelniach.

Siliła się też, aby być w obojętności uprzedzającą miłą i uprzejmą dla wszystkich.

I drżała z trwogi z ubytkiem każdego dawnego klienta. Lecz i nowi pojawiali się od czasu do czasu.

O ile środki na to pozwalały, ogłaszała w dziennikach. Zakupiała trochę nowości. Bez sługi gotowała sama obiady na maszynie w swoim apartamencie za ladą sklepową. Po większej części jadali kaszę na mleku, zacierki lub jajecznicę. Dwa razy tygodniowo kotlety wieprzowe. Żyli.

Pawełek rósł i uczył się. Niezależnie od matczynego zaślepienia, choć urodą nie grzeszył, był faktycznie niezwykle miłym dzieckiem. Taki jedynie jej syn bez zastrzeżeń, bez męskości, której choć trochę powinien był oddziedziczyć po gruboskórnym swoim ojcu pijaku.

Posiadała swoją własną poźółkłą i wyblakłą fotografię, robioną ongi u Beyera: Jako czteroletnia dziewczynka — siedziała w szerokiej bufiastej sukience na kolanach wykrynolinowanej matki przy stoliku, pokrytym wzorzystą serwetą, z wazonikiem sztucznych kwiatów.

Fotografja ta była wykapanym żywym portretem małego Pawełka: Też same rysy nikłe i drobne. Te same pocziwe smutne oczy, to samo wystraszenie zaciśniętej buzi, zdającej się mówić: „Przepraszam państwa, żem tu na świat przyszedł. Proszę nie gniewać się na mnie o to, bo to doprawdy nie z mojej winy“.

Posiadał wszystkie właściwości matczynego charakteru: Też samą pasję książek, samotności, zadumy, wsłuchiwania się z rozkoszą w śpiew ptactwa, w szum lasu, wody płynącej i w dźwięki choćby fujarek, lub katarynki.

I te wieczne, nie łączące się z prawdopodobną możliwością życia marzenia nieziszczalne, któremi ona tak lubiła usypiać się do snu — choć pewna, że się nigdy niesprawdzą!

Zagląдали przecież do niej z poza poźółkłych kartek wszyscy bohaterowie romansów. I szlachetny lokaj, kochanek królowej Ruy Blas i dzielni trzej muszkietierowie i Złota Elżunia Marlittowej i synowie miłości: Marcin podrzutek i Tadeusz bezimienny!

Rozkoszowała się ich towarzystwem z uporną nałogowością pijaka. To było jej prawdziwe życie. Nie żałowała nawet decyzji swego zamążpójścia. Ten mąż, czy inny! Przecież ani Tadeusz Bezimienny, ani Ruy Blas i takby się nie zjawił.

Zresztą posiadała w życiu i skarb realny. Miała syna, krew swojej krwi. Nie tylko myśli wspólne, lecz jakby i jej ciało odmłodzone, też same wady i zalety. I ona miała zawsze wzrok krótki, wzrost mały i plecy wskutek zgarbiania się zaokrąglone. Nie skutkowały ciągle napomnienia jej matki:

— Trzymaj się prosto, bo z garbem do siwego włosa będziesz siedziała.

Szylertowa uśmiecha się na myśl tych wiecznych niesnasek, których pomiędzy nią a synem nigdy niema; bo wybacza mu wszystko. Jakżeż ma karcić go, za to, że oczami mruga i nerwowym tikiem twarz wykrzywia, kiedy i ona tak grzeszyła?

Jakie to dziwne widzieć w starości odrodzonego samego siebie w następny pokoleniu! I co za rozkosz żyć w obcowaniu z takim alter ego, w powinowactwie dusz, jakiego nie dawał jej nigdy obcy jej mąż; a — jest tego pewną — nie mógł by jej go dawać nawet najczulszy kochanek z zupełnie inną jaźnią, przedzielony poza chwilami szалу murem odrębności, która skazuje ludzi na dożywotnią samotnię nawet wśród tłumu najbliższych.

Kochała też syna nie zmysłową ślepą miłością, lecz sercem, czytającem w jego myślach, jak w otwartej książce. Kochała go, bo był łagodny, wrażliwy, prawy, nieśmiały i tkliwy.

Odgadywała po prestigitatorsku każdą troskę na jego czole z tą intuicją, na jaką już nikt inny w życiu jego silić się nie zechce.

Wiedziała, jak łatwo skutek jego wrażliwości dotknąć go byle czem bardzo boleśnie. Za poruszeniem palca — rzucał się na szyję, wdzięczny za najmniejszy drobiazg; lecz rażony każdym pociskiem najmniejszej strzały — zrażał się do ludzi i, zamykając wnet duszę na cztery spusty — odchodził spłoszony, zatruty, bardzo nieszczęśliwy do swojej samotnej nory, aby tam wylizać się z ran krwawiących.

I Szykertowa w podziwie nad zagadkowością tajemniczych cudów świata — wśluchiwała się ze złożonemi rękami w tę arfę eolską duszy swego syna, brzmiającą z pokolenia w pokolenie temiż samemi dźwiękami po dziadach dziedziczonemi.

Pieśni raz weselsze, to znów smutniejsze; lecz wiecznie w tem samem matczynem brzmieniu tęsknoty pragnień i zawodów — nie przerwą się nigdy wciąż od wieków przez Stwórcę złotą struną nanizane. I wić się będą srebrną nicią hen! Ku dalekim oceanom niebytu wraz z potokami i falami morza... od pokoleń w pokolenia...

Zmęczona całodzienną bieganiną po drabince

w tumanach drapiącego w gardle kurzu, zatrutej stęchłą starym makulatury — wybierała dyktowane przez abonentów numery żądanych książek i liczyła, jak sztubak minuty, oddzielające ją od zamknięcia sklepiku. Jeszcze ostatnie grymasy najupartszych klientek:

— Nie, nie. Niechcę stanowczo ani Emeryta, Korzeniowskiego, ani Kollokacji, ani Garbatego — bronią się też z całych sił od proponowanego Kraszewskiego. — Nie chcę ani Ulanej, ani Bondarówny, ani Moriturów, ani Hrabiny Cosel.

— A może pani weźmie — zachwalała zniechęconym głosem Szykertowa — ostatnią nowość, którą mi w tej chwili zwrócono: Na marne, Z teki Worszyły i Szkice węglem.

— A jak się nazywa autor?

— Młodziutki autor debjutant, bardzo obiecujący. Nazywa się Henryk Sienkiewicz.

— E! Dziękuję. Kto by tam czytał nieznanych autorów! Nie można nigdy dostać u pani, czego się chce. Powinna czytelnia posiadać po kilka egzemplarzy takich książek, jak Rubinowa cyster-na, Barbara Ubryk, Izabela, czyli Tajemnice Dworu hiszpańskiego Borna.

Nareszcie ostatni maruderzy sklepik opuszczali. Szykertowa układała pośpiesznie na półkach podług numerów walające się po stołach stosy książek, odnoszonych w ciągu dnia do czytelnii. Przylepiała pędzelkiem, moczonym w gumie poślótkę

wyrwane kartki i odklejające się napisy numerów.

Przeglądała dziennik z datami opłaty abonamentu, kalkulując, u kogo da się odebrać pieniądze, a które należy uważać za stracone.

Zmęczonej wypadało pióro z ręki. Głowa do snu się zwieszała. Była wreszcie wolna.

Gasila cuchnący naftowy kinkiet, ryglowała drzwi i antabą żelazną sklepik przymykała.

Wchodzi do „apartamentów prywatnych“ mieszczących się za ladą sklepową. Oprawiała z wielkim kunsztem zdezelowaną lampę naftową z pięknym szklanym kloszem; nastawiała mały pogięty samowarek, smarowała smalcem razowy chleb i układała na talerzyku pół ćwierci funta „roz-maitości“.

I z najwyższą rozkoszą zasiadała na krytej welnianym rypsem kanapie, która była jednocześnie łóżkiem jej syna.

Na ścianach wisiała w politurowanych na czarno kulistych ramkach owa beyerowska fotografia z jej lat dziecięcych z wykrynolinowaną żalobnie matką. A obok ojciec jej w rozpiętej czamarze z konfederatką o białych wypustkach z białym piórkiem w również żalobnym, jak matka stroju 63-go roku. Tuż obok ostatnia fotografia jej męża od Mulerta i Kostki w skunksowej algierce i czapce barankowej, dyskretnie maskującej łysinę. A naprzeciwko zawieszony na wieszadle

łśni — nie bagatela! — kilkocalowy dygnitarski gimnazjalny mundur jej syna, którego dziewięć lat temu na świat wydała i własną piersią wykarmiła!

A teraz jaka z niego powaga! Dygnitarz w mundurze! Uczy się łaciny, nie nazywa się już Pawełkiem, lecz Pawłem Szylertem i podlega paragrafom całej Rady pedagogicznej. Nie bagatela!

Przy stole zawałanym atramentem, wśród nieładu szkolnych podręczników, kajetów, piórników, reiszeigów i atlasów Pawelek z powagą Fausta w jego alchemicznej pracowni wertuje tajemnice owych póśłówek łacińskich, rządzących acusativem i ablativem, które tak tragicznym epilogiem miały się nazajutrz zakończyć.

I skąpany w miedzianych odbłyśkach płomienia palącej się lampy — zatapia się cały w refleksach jakiejś lubej tonacji barw i ciszy.

Tej ciszy półizdebki za parawanem — nieprzerwywał już całodzienny łoskot pojazdowych kół o nierówny bruk Leszna. Tętentem dokuczliwszy, iż środek ulicy nieznajdował się wtedy na jednej płaszczyźnie z trotuarami. Lecz znacznie pogłębiony ongi łączył się z chodnikiem tak charakterystycznymi jedynymi na świecie mostkami o murowanych krawędziach, które w dalekiej perspektywie aż hen ciągnącego się Leszna — wyglądały, jak by zawieszone nad przepaściami wą-

wozy. A łoskot ulicy dochodził do sklepiku z głębi, niby z fal oceanu.

O! To dawne szerokie i długie Leszno z trotuarami w górach i z bezdnią morza w pośrodku, po którym wozy w falach kurzu — zdawały się płynąć — niby gondole po Wielkim Kanale Wenecjum!

O! Te stare szyldy, wykonane naiwnym pędzlem, domorosłego artysty, przedstawiające z dziecięcą fantazją i nieudolnością, cały świat malowanego, niby wielobarwna mapa pogładowa, objaśniająca prostaczkowi, chaosem stolicy ogłupionemu:

— Oto ten wymalowany na niebieskim tle błachy jegomość w zielonym surducie i w żółtym cylindrze — oznacza sklep krawca. A ta świńska głowa, ustrojona kwiatami i wieńcami serdelków — to naturalnie wędliniarnia. A widzisz tam ten malowany kufel z rozlewającą się pianą piwa — to bawarja. A tam dalej śmieje się do przechodnia niedźwiedź, łaszący się do ula, strzeżonego przez pszczoły u piernikarza. Lisy i wiewiórka u kuśnierza. Cały ogród zoologiczny!

Albo te zawieszone kantami na zawiasach u bram i sklepów godła cechowe, które wiatr nieraz niby strojnymi chorągwiami z hukiem tar mosił! Te olbrzymie piekarskie rogale złożone, klucze gigantyczne ślusarza, beczółki bednarza, talerze mosiężne cyrulika...

A ktoby tam kiedy zapomniał o oknie siodlarza, w którym olbrzymi piękny koń wypchany w bogatej uprząży z kasztanową sierścią rozgląda się, jak żywy swoim szklannem okiem!

Lecz najbardziej delektowała wszystkich brzdąców dzielnicy umieszczona zamiast szyldu nad balkonem lilipucia karetka w fabryce powozów Renthla, czy też Romanowskiego.

Karetka ta wielkości wózka dziecięcego łączyła się w marzeniach wszystkich brzdąców z całej dzielnicy z ekwipażem, obitym błękitną materją, zaprzężonym w sześć białych kuców w dziecięcej pantoninie cyrku Rentza. Karetka, w której król lewicz z bajki wioził do pałacu swoją żonę biednego kopciuszka w szklanych trzewiczkach!

Takich rzeczy nie zapomina się do końca życia. Arena wysypana złotym piaskiem w deseń dywanu... Wielkie płomyki gazowych żerandoli zapalają się jakby za dotykem różdżki czarodziejskiej jeden za drugim... Paf, paf, paf!

Na arenie pojawia się biedny 8-letni kopciuszek, który po różnych peripetjach w tryumfalnym epilogu już w stroju królewskim zasiada u boku zesłanego przez dobrą wieszczkę pięknego królewicza w eskorcie świty, lśniącej od złota: Kilko-calowi rycerze w białych perukach. I ośmioletnie damy dworskie w karetach tej samej wielkości, co na szyldzie Renthla czy też Romanowskiego.

A serduszka jak biją! A oczy o mało nie wyska-

kują. Wrażenia tak silne, że aż sen następnej nocy odbierają wszystkim śpiochom w lilipucich dziecięcych łóżeczkach.

O! Lata dziecięcych wspomnień! O! Te pierwsze gwiazdy suto haftowane złotem w śnieżnie welinowej wyobraźni tak wypukłe, że nie już nie zdoła ich zatrzeć! Do ostatniego tchu w piersi nie blaknie ten cały chaos wrażeń, dźwięków i barw Leszna, zaniebieszczonego deszczem czy też złoconego słońcem. Bo późniejszy, chaud-froid z jarząbków nie będzie już nigdy delektował tak, jak straganowe buldyngony i drewniasty chleb świętojański z koszyka.

Lecz dziś śród pracy Pawełek odsuwa od siebie pokusy ulicy. I zatopiony z powodu krótkiego wzroku aż po nos w książkach, wertuje jednocześnie słownik i kreśli coś w kajecie. Na szczęście z okna podwórza nie dobiega dzienny gwar katarynki, druciarza, handelesa i kościarki.

I matka, rozkoszując się tą symfonią ciszy, rozgląda się z uśmiechem po swoim królestwie:

Jest jej dobrze. Jakieś figlarne płochy myśli chodzą jej po głowie: Przeszkodzi synowi w pracy. Niech się trochę pogniewa. Dogoni tę stratę czasu; a przynajmniej na sekundę odpocznie. Zresztą samowar ostygnie. A pozatem ona przepada za jego gniewem, tym nieudolnym gniewem poczciwca, niemającego pojęcia, jak się do tego zabrać. Przyczaiła się do niego ukradkiem i, jak na-

tarczywa kochanka przechyliła jego głowę i całowała biedne spracowane oczy trzydziesto calowego urzędnika.

— Bubuśka! — strofował matkę stałem przewiskiem. — Nie przeszkadzaj! Jeszcze chwileczkę. Zaraz skończę.

Lecz pokusa była zbyt silną. I przylgnął, jak ptak, zmęczoną główką do jej ciepłych ust; i całłem pisklęcem tułowiem zatonął w jej objęciach. A ona, gładząc kochającą dłonią jego twarz i włosy — szeptała, nienasycona tych pieśczęt:

— Mój ty, mój robak, mój świat, moje wszystko!

— A pamiętaj, bubuśka: W niedzielę pójdziemy do ogrodu botanicznego. Obiecałaś. Ale musisz ubrać się ciepło, abyś się nie zaziębila tak, jak wtedy.

— Dobrze, żeś mi przypomniał. Prawda, że to już pojutrze niedziela. Ukończysz lekcję, a ja przenicuję tę czarną wstążkę u kapelusza, aby pan dygnitarz nie wstydził się swojej matki:

— Bubuśka! — majaczył już prawie przez sen.

A wtedy, ona stara romantyczka (tak samą siebie przezwała) nachylona nad zmudnem nicowaniem kokard kapelusza — poczęła marzyć, jak łakomecy, opychający się niestrawnymi słodyczami, lub jak pijacy, teoretycznie przeświadczeni, że powinni oduczyć się od wódki, tak cudnie zatapiającej smutną rzeczywistość. Aż jej wstyd

przed sobą. Jest już przecież starą kobietą. A jednak trudno! Jest znów różowa zmora...

.
Oto w myślach samotnicy roi się, jak tu właśnie, w tej czytelni wśród setek nieciekawych ludzi — pojawi się naraz szpakowaty, sympatyczny bezdzietny wdowiec. Posiada aptekę na przedmieściu we własnym domku z ogródkiem, jak na wsi. Coraz częściej zacznie przesiadywać w jej sklepiku... Bada ją o szczegóły przeszłości. Polubił ogromnie Pawelka. Widocznie i ona musiała mu się podobać...

— A więc poprostu zakochał się! Boki zrywać! Czyż nie wstyd roić takie baniałuki? I co dalej? No, a cóż? Oświadczył się o jej rękę, zapewniając, że połowę swego majątku zapisze Pawełkowi. Choć dusza jej rwała się do zamiejskiego ogródka — broniła się trochę od pokus, wynajdując przeszkody: Jakżeż Pawełek mógł by stamtąd do szkół jeździć? A przecież ona nie oddałaby za nie Pawelka na stancję.

Sympatyczny nieistniejący aptekarz uspokoił ją, że ma konia i bryczkę, którą Pawełek będzie mógł jeździć codziennie do gimnazjum.

— Wlaź na gruszkę, rwał pietruszkę — zaśmiała się do tych widziadeł Szylertowa, aż nitkę przy szyciu zerwała i musiała nową z wielkim trudem przy złej lampie nawlekać.

Rozgrzeszała tę swoją kobietą fantasmagorję,

identyfikując ją z gorszymi jeszcze męskimi bezsensownymi narkotykami tytoniu, kart i wódki; nie broniła też i Pawłkowi tych zadum królewskiej tęsknoty i bajkowych rojeń — przeświadczona w tym mylnym trenningu ukochanego syna, że niespełnione marzenia są jedynem szczęściem na ziemi.

I ani spostrzegła jak, pomimo swojej prawości, zapijając robaka, popadła w nałóg kłamstwa, marząc już głośno wobec kumoszek i zaprzyjaźnionych abonentek o bogatym aptekarzu, zamierzającym zapisać Pawłkowi połowę majątku. Rozповідаła im o domku z ogródkiem i o bryczce, którą Pawełek będzie codziennie do szkół przyjeżdżał. Tak marzyciele nieraz identyfikują swoje pragnienia z nieistniejącymi faktami. Tak też i biedna prawa Szylertowa, niezrażona sceptycznymi minami słuchaczek — upierała się przy swoim jedynem chorobliwym kłamstwie w transie wiary w coś, czego pragnęła.

A Pawełka usiłowała bronić jedynie od apatii, w wiecznej obawie, aby bezsłoneczna młodość nie zmroziła nierozwiniętego jeszcze pączka kwiatu. Czyniła sobie nawet wymówki, czy ze względów egoistycznej rozkoszy nie przykuwa zbyt syna do swoich starych spódnic wdowich. Czy nie byłyby właściwszemi od matczynych zwierzeń i trosk życiowych — wiosenne harce z kolegami

i żrebiące naiwne szczebioty młodego ptactwa rówieśników?

— A wiesz, może pójdziemy do parku praskiego? — odłożyła ukończony już kapelusz, drażniąc syna, aby wyrobić w nim siłę charakteru i rozkochana w nim — delektowała się jego niezręcznością w złości: Bo nie robiąc żadnych wymówek, Pawełek mrugał tylko oczami i plaskał śmiesznie palcami.

— To to już ma być cały twój gniew? — przerywała swoje mentorstwo i, pochwytyjąc syna w objęcia, całowała z pasją kochanki.

— Ach! ty moja pociecho, skarbie, gołębiu, robaku! Pójdziemy do Zachęty Sztuki, a potem do Łazienek. Zabierzemy chleba dla łabędzi. A wieczorem w mleczarni zafundujemy sobie kawy z ciastem. Ot co!

I rozkochana wpatrywała się w niego uparcie, chcąc odgadnąć losy, jakie go czekają. I drżała z obawy:

— Jest zbyt podobny do tej fotografii beyerowskiej w bufiastej dziecięcej sukience! Boję się...

— A może wolisz iść do ogrodu Saskiego? — sprzeciwiała mu się, rozbawiona.

— Nie, nie, nie. — pieścił się, udając despotę. Bo nie chodzili nigdy do ogrodu Saskiego, który był wtedy w modzie tak, jak obecnie park Ujazdowski.

Płoszyła ich skromność — ta wytworna śmietanka towarzystwa, zapelniająca ongi główną aleję, szczególnie tak zwaną literacką, (nigdy literatów tam nie spotykało się) gdzie w miejscu, prowadzaczem obecnie do ulicy Królewskiej stał piękny kiosk owocarni, otoczonej stolikami przy których zasiadała bardzo szykowna elita, konsumując na małych talerzykach sezonowe nowalje i bardzo drogie poziomki z prawdziwą śmietanką!

Pawełek wolał chodzić do parku praskiego, zwanego wtedy aleksandrowskim. Szylertowa pamięta ten park jeszcze z czasów pańskich, kiedy zamieszkiwała z matką Pragę. Nie zmienił się od tego czasu. Ani ona. Zawsze jednakowo olśniewał ją o zachodzie słońca swoją cudnie srebrzącą się błyskami fal Wiselką i piętrzącemi się fantastycznie ponad wstęgą wód tarasami starych domów, nad którymi panoszył się po królewsku stary zamek, zamieszkiwany przez namiestnika, hrabiego Berga.

Lecz nigdy nie czuła się w nim tak szczęśliwa, jak teraz w towarzystwie syna, ustrojonego w dygnitarski mundur gimnazjalny! Jej syn! Ten mundur, to gimnazjum — to wszystko — owoce jej zabiegów i bezsennych nocy. Nareszcie!

Odświeżenie przystrojona promienieje z przeświadczeniem, że udało się jej jednak zdławić złe losy. Nie dali się zdeklasować. Bo przecież wszyscy widzą, że są „państwem“ z dobrej rodziny.

A jakże! Z kształcącym się pełnym przyszłości synem. A nie jakąś tam hołotą! Bo przecież nikt nie domyśla się, że jej suknia jest nicowaną, a rękawiczki wczoraj do późnej nocy cerowane.

I „wszyscy“ myślą zapewne, że ona wydaje sześć tysięcy rubli rocznie, choć wydają najwyżej sześćset. Dama z synem tak, jak inne! A jakże! Uśmiechała się do siebie i składała ręce dziękczynnie.

Czasami chodzili do ogrodu Krasińskiego (nazywali go ogrodem Krasińskim), pełnego dostojnych mieszczan z okolicznych dzielnic ulicy Freta, Długiej i Starego Miasta, którego nie zdążyło jeszcze wtedy zżydzić sąsiednie ghetto.

Lecz najbardziej nęcił ich sąsiadujący z ogrodem Krasińskich z zamkniętą furtką ogródek wód mineralnych, wydających się ongi cudotwórczą oazą. Wybierali się tam w święta wczesnym rankiem na muzykę, która przygrywała kuracjom.

Nie byli na punkcie orkiestry tak zblazowani, jak obecna Warszawa, mająca muzyki do syta w kawiarniach. Ongi orkiestrą Bilsego w Dolinie Szwajcarskiej mogli raczyć się jedynie wielcy państwo. Należało posiadać własny ekwipaż, aby móżdż bez istniejących wtedy tramwajów udawać do odległych alei, niewybrukowanych jeszcze wtedy, naftą oświetlonych i uchodzących za podmiejską dzielnicę.

Pozatem można było słuchać muzyki jedynie w antraktach teatru Rozmaitości pod brawurową dyрекcją podskakującego przy własnych skrzypeczkach Lewandowskiego.

Lecz w tym raiku przy ogrodzie Krasińskich ranna muzyka Sonnenfelda nie nie kosztowała. I Pawełkowi aż dusza rwała się do harmonji tych dźwięków, do ozłoconych słońcem barw bławatkowych rabatów i kwietników ogródka ze sztampowymi różami, wśród których ustawiono w nieświetnym guście podług ówczesnej mody — lśniące banie i bańki ze szkła srebrzystego. A w nich, jak w dziwacznych zwierciadłach rozśmieszał Pawełka cały ogródek wraz ze spacerującymi w fantastycznych proporcjach, z karykaturalnymi skrótami i z cudackimi wydłużeniami.

Przez całą długość ogródka aż do kawiarnianej werendy z rozstawionemi, krytymi serwetą stolikami — ciągnęła się kryta kolumnada dla kuracjuszków podczas deszczu i niepogody.

I Szylertowej przypominały się w tym pięknym zacisznym ogródku czasy, kiedy — w braku kolei do Szczawnicy i nieznanego jeszcze Zakopanego — jeździła z chorą matką na Szląsk do Salzbrun, Landeck i Kudowy. Pawełek nieraz słyszał te jej opowiadania o hotelu „Pod złotą gęsią“ we Wrocławiu, o tamtejszym ogrodzie Zoologicznym i o pięknej tarasowej promenadzie, zwanej Libichshöhe.

Tak samo miał następnie i on rozpowiadać cuda swoim dzieciom o nieistniejącym już raiku przy ogrodzie Krasińskich. Jak ongi on traktował zupełnie na serjo tych wszystkich kuracjuszków z uroczyście zawieszonemi na paskach kubkami do wód, zapijanych z powagą przez szklaną rurkę — imitacji quasi cudów Ems, Karlsbadu i Kissingen. Bo nawet, jak w prawdziwych „badach“ — stare baby roznosiły tu w dość schludnych koszach higieniczne przy kuracji pierniki.

A co się tyczy przewiewów powietrza, blasków słońca kwietnych zapachów, to już stanowczo nie tylko żadna riviera, lecz nawet i zawieszone ogrody Semiramidy nie mogły bardziej delektować piersi.

Siadywali tuż koło kiosku z orkiestrą. Pawełek, wsłuchany z wielkiem przejęciem w dźwięki muzyki, która nie tylko głaskała mu uszy, lecz napełniała serce taką jakąś tkliwością, aż czerwieniał się cały, jak burak. W gardle go coś dławiło i nieokreślone łzy oczy mu mroczyły.

Ukradkiem ocierał sobie nos, aby matka tego wzruszenia nie dostrzegła i tych smutnych rozkoszy go nie pozbawiała.

Lecz i ona przebywała wtedy w siódmym niebie: Napawała się całą miłością widokiem syna z tą quasi bezstronnością, patentowaną przez samą siebie, z jaką analizują swoje własne dzieła wszyscy artyści.

Lecz nie, nie! Przecież najzaciętszy wróg musiał by przyznać, że Pawełek jest niezwykle ujmujący. I jaki śmieszny w tym swoim szynelu na wyrost z rękawami aż po same palce!

Upała się, pomimo pogody, aby przy niedzieli paradował w tym nowiutkim szynelu, na który z takim wysiłkiem się zdobyła. Niech go przynajmniej ludzie widzą!

I z ukosa przypatruje się Szylertowa przejętemu muzyką synowi: Pawełek może nie jest piękny, lecz stanowczo niebrzydki i bardzo miły. Rysy cienkie, dość regularne. Nos narysowany prawidłowo i usta na bladej twarzyczce niezbyt duże. Ręce małeńkie, nożyny zbyt cienkie, jak na chudeusza przystało. Dlatego też chód ma kobiecy, o krokach, zbyt drobnych, jak na mężczyznę; włosy miękkie kasztanowate. A co się tyczy oczu, to choć osłabione, są stanowczo piękne, takie jasne, ładne, a naiwne, jak u małego psiaka! A zarazem ile w nich duszy, zadumy, melancholji, wyrozumienia!

— Chyba byłyby ślepe — zdecydowała w myślach — gdyby kiedyś na tych oczach nie poznały się.

— Bubuśka, czemu ty tak wciąż przypatrujesz mi się i uśmiechasz?

— Bo ciebie nienawidzę.

— Noo, bubuśka — uścisnął ją porozumiewa-

wczo, jak dyskretny kochanek i pograżył się znów w dźwiękach muzyki.

Stulona na ławce poczęła z wielkiem zajęciem przyglądać się przechodniom. Spacerować bez celu w kółko — lubią tylko młodzi. Dumni ze swojej strojności, z młodzieńczych ruchów — popisują się chętnie swoim szczęściem, swojemi zalecankami i rzucanemi i odbieranemi uśmiechami.

I Szylertowa, wyrosła już w ostatnich czasach z nieprawdopodobnych marzeń o aptekarzu i o domku z ogródkiem — widziała już teraz w myślach jedynie Pawełka:

Oto jako lekarz, inżynier, lub adwokat z wyrobioną już klientelą będzie jej Pawełek hen! kiedyś przechodził koło tegoż kiosku u boku również pięknej i strojnej, jak te oto panienki — swojej narzeczonej!

Jeżeli nie jest jej danem, aby dożyła takiej chwili, pragnęłaby przynajmniej z poza grobu, jako cień niewidzialny — przypatrywać się jego szczęściu. I z wyciągniętymi skrzydłami módz bronić go od krzywd ludzkich!

I w oczach jej zaszklily się łzy, lecz nie owe łube kojące łzy dziecięce Pawełka, lecz stare gorzkie łzy trujące... Aż kaszlem przeciągłym wybuchła.

— Wiesz Pawlutas — zwierzyła się synowi — gdybym była wielką damą, przychodziłabym tu codziennie na wodę emską z serwatką. Jestem

pewną, że ten nieznosny kaszel wnet by minął, jak ręką odjął.

Tego męczącego kaszlu nabawiła się przed czterema laty, kiedy, powracając z Pawełkiem ze spóźnionej wizyty na Pradze u swej szkolnej koleżanki — nie spostrzegła, jak na moście jesienny deszcz począł walić, jak przez sito. Nie było wtedy tramwajów; a przeładowane omnibusy, tak zwane „kanarki“ — ani słuchać nie chciały jej rozpaczliwych nawoływań.

Nie było rady: Zdjęła z siebie okrycie otuliła niem drepącego przy jej spódnicy małego sennego Pawełka i, wzięwszy go, pomimo jego protestów, na rękę — biegła przez cały most wśród nocnej ulewy — niezmordowana bez możliwości wynalezienia choćby jakiejś bramy, lub innego schronienia.

Zziajana od wysiłku i przemokła do nitki przypłaciła tę świąteczną rozrywkę zapaleniem płuc, po którym pozostał jej w spuściźnie ów kaszel, nie zmniejszający się w zatechłej atmosferze niedezynfekowanych starych brudnych książek wśród ciężkiej bez wytchnienia pracy.

I Pawełek będzie do końca życia pamiętał jej biedny smutny głos, jakim pocieszała się:

— Czułabym się jaknajlepiej, gdyby tylko ten przekięty kaszel minął.

I Pawełek, jak sroczka — powtarzał od dziecka zasłyszane zdanie:

— Bubuśka wyzdrowieje, jak tylko ten przekłety kaszel minie.

Wogóle ogromnie lubili ze sobą gawędzić, jak kochające się stateczne małżeństwo. Szykertowa uchodziła wiecznie za małomówną; a Pawełek oddziedziczył tę właściwość po matce. A w sam na sam ze sobą — usta im się nie zamykały. Ona powtarzała wciąż w kółko swoje wspomnienia młodzińcze, kłopoty obecne i rojenia przyszłości. A on, jakby rozkoszował się swoją wymową w nieokreślonem przeczuciu, iż nieodzyska już tej elokwencji nigdy z chwilą, kiedy matki zbraknie. Bo wszystkie niewyrażone już myśli zamkną się na cztery spusty w duszy „mruka“, którego tak miłośny słuchacz nigdy już do opowiadań zachęcać nie będzie.

A obecnie paplał nieraz i paplał, śmiejąc się sam z tych nonsensów, co mu ślina na język przyniosła. Aż matka wybuchała rozkosznym gniewem, którym delectował się, jak smakołykiem:

— Ach! Ty gaduło, ty gaduło. Co ty pleciesz? A wszystko trzy po trzy, aż uszy więdną.

A jej opowieści — to niby nie były trzy po trzy? Wciąż te same zwrotki, jak matka jej, piastując Pawelka, który usypiał jedynie wśród śpiewu babuni, a budził się, kiedy ze zmęczenia nucić przestawała — rzuciła prorocтво:

— Zobaczysz, to będzie artysta!

— A ojcu zrzucałeś wiecznie binokle z nosa.

A raz nawet złoty zegarek na ziemię. Tak się uszkodził, że zegarmistrz nie chciał go więcej naprawiać. I Pawełek wśród choroby, zawsze upierał się, grymasząc:

— Mów mi jeszcze, mów, mów. Bubuśka!

.

Nafta w lampie wypalała się. Płomyk, jak wśród agonji migał wysiłkiem ostatnich błysków. Rozta-
czająca się dokoła ciemność coraz gęstszemi pla-
mami zatapiała łataną przez matkę koszulę Pa-
wełka i cerowane skarpetki.

Znużona powstała wreszcie z siedzenia, przekor-
nie zamknęła książki i kajety syna i odstawiła
kałamarz na okno.

— Bubuśka! — zalił się na nią zaspany, prawie
nieprzytomny.

— Dość już tej roboty, Pawlutas! Co zanedto—
to niezdrowo. Wyrecytujesz mi tylko jeszcze tę,
zadane na jutro przysłówki. Mam przeczucie, że
Lisowskij wyrwie cię.

Pawełek wyrecytował, jak pacierz wszystkie
przysłówki łacińskie, rządzące *acusativem*, a na-
stępnie wytrzepał jednym tchem: *cum ablativo*.

— *Coram, clam ex i e — sine, tenus pro i pre*.

— Doskonale! — zakomenderowała — A teraz
spać!

Zaczęła sama rozbierać do snu — o wstydzie!—

wielkiego dygnitarza, który ogromnie śmiesznie protestował niewyraźnym sennym bełkotem przeciwko tym mateczynym poufałościom. Lecz po ostatnim wysiłku zmęczona głowa na obie strony zwieszała mu się. I tulącego się do jej ramion ogarniającymi rękami — zanosła matka, jak małego śpiącego psiaka na usłaną już kanapę. Zagasila czadzącą już lampę i sama wyczerpana całodzienną pracą, jak kłoda — na wązkie łóżko padła.

Prawie już przez sen słyszała dopływający do niej dziecięcy głosik, który recytował automatycznie: Ante, apud, ad, adversus... A potem wśród ciszy nocnej drgały nucone tym samym głosikiem: Przylądek Dobrej Nadziei, Brazylja, Firenze, sarnina, buldygony, Szałowski, Jurek, przyjaciel, przyjaciel...

A Szykertowej wśród ataków kaszlu roily się, w myślowym chaosie ciemni dusznego pokoiku, jak Pawełek, jako skończony inżynier będzie spacerował około orkiestrowego kiosku w ogródku wód mineralnych przy ogrodzie Krasieńskich z piękną panienką, podobną do widzianej tamże przeszłej niedzieli. Ta przyszła narzeczona będzie nosiła takąż samą popielatą sukienkę i kapelusz z habrami. I będzie uśmiechała się do Pawelka tak, jak tamta. I będą oboje promienieli szczęściem. Ta panienka — to będzie siostra Szałowskiego. (Nie wie dokładnie, czy Szałowski posiada siostrę?).

Pawełek pozna ją w domu kolegi, który jest za-
możny, wytworny, jak i cała rodzina z najlep-
szego (a jakże!) towarzystwa.

Starzy Szałowscy, poznawszy tylko Pawełka,
pokochają go, jak rodzonego syna i odrazu upa-
tują w nim przyszłego zięcia. Zajmą się jego przy-
szłością, a może i wezmą go do domu, kiedy jej
już na świecie zbraknie. A kiedyś, jak skończy
uniwersytet i zdobędzie stanowisko — oddadzą
mu córkę za żonę.

— Oby tylko był szczęśliwy! Nawet, gdyby nie
było danem mi doczekać rozkoszy tego widoku—
zasnęła nad ranem, zmęczona suchotniczym ka-
szlem.

Nazajutrz godzina obiadowa już się zbliżała;
a abonentki, jakby zmówiły się, aby ją zanudzać.

Nie zdążyła nawet zapalić jeszcze maszynki
spirytusowej, na której miała obiad sporządzać.
Szczęściem Pawełek jakoś jeszcze nie zjawiał się.

— Może pani weźmie — proponowała zaciętym
nudziarkom — Eugenję Grandet Balzaka? A mo-
że Trzech muszkieterów Dumasa, lub Nędzników,
albo Katedrę Notre-Dame Wiktora Hugo? To
bardzo dobrzy autorowie.

— Wiecznie częstuje pani wszystkich tym
Balzakiem i Wiktorem Hugo. A prosłam tyle razy,
aby zatrzymano mi Złotą Szajkę lub Pana Lecoqua
Emila Gaboriau. Takich dzieł powinna czytelnia
posiadać po kilka egzemplarzy.

— A może Zamek Krakowski Rzewuskiego, lub Könilworth Walter-Skota? — rzuciła okiem poza szybę sklepu, zaniepokojona, czemu Pawełka jeszcze dotąd nie widać?

Zegar za parawanem wykukał już godzinę czwartą. Na skrawku nieba dojrzała gonitwę gromadzących się ołowianych chmur. Pawełek nie wziął szynela, ani szalika. W sklepiku staowało się coraz ciemniej.

— Oby tylko nie zmoczył go deszcz tak, jak ongi na moście. Lecz czemu dotąd nie zjawił się? Coś musiało się zdarzyć. Ale co? — odgadła wnet z przeczuciem kochających: Jakaś nowa krzywda ze strony tej bestji Lisowskiego, który go nienawidzi dlatego, że odgaduje w nim charakter, bardziej prawy, niż jego własny, pedagogiczny.

— Pozatem moskal wie dobrze, że matka nie jest w stanie przekupić go łapówkami — zatrzęsa się z oburzenia z rozognionym wiecznie bólem polskim od knuta rosyjskich katów, tak wyrafinowanych w swoim wytrwałym treningu.

Znała dobrze ten system dziedzicznych oprawców, polegający na hodowaniu łotrów, byle by wiernych tronowi poddanych. Zaobserwowała już w Pawełku zmianę od czasu, kiedy został umundurowanym państwowym urzędnikiem: Pobladał pod tym macoszym batogiem szkoły, oczami bardziej mrugał; po nocach wzdychał i zapracowy-

wał się ponad swoje piskłące siły w okrucieństwie wykuwania nowych szkolnych przedmiotów w obcym rosyjskim języku.

— A może oddałam go do szkół zbyt wcześnie? — czyniła sobie wymówki. — Nie, nie. Nie było innej rady. Bo wrażliwość Pawełka rażą nie tylko obcy nauczyciele; lecz i koledzy; — domyślała się tego doskonale — muszą nieraz wydrwiwać jego kobiecą subtelność i duszę z innej planety. Pawełek jest zbyt grzeczny, zbyt uczuciowy ze swemi smutnymi oczami. Zbyt długo trzymał się mojej spódnicy; zbyt długo obcował z taktowniejszemi i wyrozumialszemi od chłopców panienkami, z których wrażliwością solidaryzował bardziej, niż z męską siłą, i których nie tylko psychologią się przejmował, lecz i żarciki, mowę i ruchy z upodobania naśladował. Trudno! Musi przyzwyczaić się do brutalności ludzi. Matka wiecznie żyć nie będzie. Musi nauczyć się walczyć i bronić tą samą bronią, jakiej używają w walkach wszyscy inni ludzie.

Oto dlaczego oddała go do gimnazjum jeszcze wcześniej, niż należało. Bo szkoła — to nie tylko przecież nauka łacińskich przysłówków, greki i algebry, lecz i trening charakterów, urabianie należnych w życiu zalet i wyplenianie oddziedziczonych wad. Może oduczą tę jej ukochaną mimozę od jego stałych wymogów bratniego ciepła, ojcowskich zachęt i macierzyńskiego współczu-

cia. Komplementami obdarza się jedynie kobiety, które pragnie się posiąść. A grzecznością raczy się jedynie tych, od których żądamy usług. Lecz darmo — nigdy nie od nikogo. Obecny ludzom sprzykrzyło się nawet zewnętrzną uprzejmością maskować swoją absolutną obojętność dla współbraci.

— Niech się do tego przyzwyczai i z tem pogodzi raz na zawsze. Czem wcześniej, tem lepiej.

— A może pani weźmie coś Pługa, lub Zacharjasiewicza? — pytała matowym głosem o sto mil od czytelnicy — przerażona naraz widokiem wchodzącego do sklepiu sztywnego w pięknym mundurku sztybaka. — To — Szałowski — odgadła przerażona. — A co się stało z Pawełkiem?

→ Wezmę od biedy Kaczkowskiego. Uciekam przed burzą — zegnała się pospiesznie ostatnia maruderka. — Słyszysz pani, jak grzmi? I ciemnota, jak w nocy. Dowidzenia.

Nareszcie została sama sama z Szałowskim.

— Kawaler... przepraszam... pan... zapewne z wiadomością od mego syna? Co się z nim stało? Czy zasłabł? — wybełkotała cała w zimnym poście, z bijącym sercem w wąskiej chorej piersi, z trzęsącymi się gorączkowo wargami.

— E! Nic, proszę pani nie stało się. Syn pani zdrowiusienki jak ryba. Tylko kozę doi.

— Co? Pawełek w kozie?

— To każdemu może się zdarzyć, proszę pani— pocieszał ją rezolutnie sympatyczny sztabaczek. — Szczególniej z lisem, który właściwie powinien nazywać się hijeną. Zresztą zapisał go do kozy najniesprawiedliwiej. Bo ja właściwie byłem winien.

— Dzięki niebu — odetchnęła z ulgą spadłego z jej piersi stofuntowego kamienia i złożyła ręce, jak do modlitwy. Tylko koza, i to niesprawiedliwa!

Szałowski wtajemniczył ją w całe zajście ze wszelkimi szczegółami. Wspomniał o przysłówkach, wypisanych na mankiecie jedynie dla ocalenia kolegi, bo sam je wybornie umiał.

— Naturalnie! — zatrzęsła wargami. — Skrzywdzili go. A on poświęcił się dla kolegi! Biedny Pawlutas! Z ich wieczną Syberją, w którą potrafili by zamienić nawet Niceję!

— Pawełek musiał bardzo przejąć się tą sprawą? Przytem do wieczora bez łyżki ciepłej strawy!

Dygnitarz Szalowski objaśnił, iż pozostawił mu na odchodnem swoją bułkę z rostbeafem, której sam nie zdążył zjeść podczas pauzy.

Nareszcie polały się z nieba upusty całą nawałnicą ołowianych chmur. I deszcz, bijąc, jak śrutem po szybach drzwi czytelní — walił całemi potokami wód, płosząc ulicznych przechodniów, którzy skupiali się w otwartych bramach. Prze-

mokli do nitki przypatrywali się zalanym, jak śród potopu trotuarom i pustym ulicom, po których przemykały w strugach wody zamknięte dorózki z podniesionemi skórzanemi deklami i z lśnjącemi fartuchami.

Nie było mowy, aby wypuścić na taką burzę sympatycznego młodzieńczego gościa ze sklepiku. I Szylertowa częstowała go pokrajaną w plasterki jedyną w domu pomarańczą, podaną na niebieskiej podstawie od filiżanki i resztkami pozostałych z imienin syna. tanich herbatników, zwanych ongi badjankami, zakupionemi w piernikarni Ehestädta na Żabiej ulicy.

I podlegała czarowi młodziutkiego gościa tak bezkrytycznie, jak wszyscy, ulegający zawsze wdziękowi ładnych chłopców, bezfrasobliwie żyjących jedynie zewnętrznemi wrażeniami chwili. Bo tabula rasa ich mózgów i dusz — nie przechowywa w śpichrzach wyrytych krwawym rylcem przeżyć, ani proroczych niepokojów wątpliwości.

Jurek mówił po swojemu, a raczej tak, jak mówią miliony jego współ parafjan: O wszystkim i o niczem — oddawna zasłyszczanemi zdaniami. Po motylemu dotykał zlekka każdej kwestji, aby wnet pomuskać inne kwiaty. Był w dobrym dziś, jak zwykle nastroju. I wszystko u pani Szylertowej podobało mu się.

Nie jadł nigdy w domu krajanej na plasterki

pomarańczy, podawanej na podstawce. I te badjanki wyśmienite!

Szylertowa zdjęła mu z półki Robinzona Szwajcarskiego. Prosiła, aby wziął go do domu. Podziękował bardzo zadowolony. Dotychczas znał tylko Robinzona Kruzoe i Robinsona paryskiego.

Na ulicy przechodnie opuszczali już bramy i pod parasolami poczęli przebiegać ulice. Zpoza chmur wyjrzało nieśmiało blado srebrne słońce, przegłądające się, jak w lustrze w spływających po trotuarze strugach deszczu, padającego już ostatniemi kroplami, które znaczyły się perlistym pluskiem w kałużach nagromadzonej wody.

Jurek spieszył do domu, ujmując do reszty na odchodnem Szylertową:

— Będzie pani łaskawa powiedzieć synowi, aby w niedzielę przyszedł do mnie koniecznie na podwieczorek. U nas także jest bardzo ładnie. Bo mój tatuś ma fabrykę krochmalu, świec i mydła do prania. Mieszkamy niedaleko Powązek. Mamusia nawet chciała, abym ja jeździł codziennie do gimnazjum kareta z panną Petronelą, która mnie wychowywała. Ale ja się uparłem, aby chodzić pieszo. I tatuś przyznał, że mam rację. Bo przecież nie wypada wobec kolegów przyjeżdżać z kobietą, jak małe dziecko. Mamy ogród z huśtawką. A w stajni mam własnego kuca. Ale jeżeli Pawełek nie umie jeździć konno — to nauczę go łatwo jazdy na moim welocypedzie. Przyjdzie jeszcze

jeden mój przyjaciel Józio. Zagramy w loteryjkę. Pokażę mu moje marki i różne zabawki, ale nie dziecięce. Tylko takie już dla starszych: Łami-główkę, Młotek i dzwonek i arcaby. Zapoznam go z mamusią i z tatusiem. Dziękuję za pomarańczę i za Robinsona. Żegnam panią — pocałował ją w rękę, uklonił się, szurając nogami po oficersku i zniknął przy odgłosie dzwonka zamykanych drzwi sklepiu...

— Co za miły chłopiec! — zachwyciła się po jego odejściu. — Szkoda, że nie zapytałam go, czy ma siostrę. — I wnet poczęła zwyczajem niepo-prawnych marzycieli wic przedzę rojeń, któremi, jak bluszczem owijała przyszłe szkarłaty Jego Królewskiej Wysokości — Pawełka. Królestwo nie zbyt ludne. Bo liczba wiernych poddanych liczyła osób... tylko ją jedną.

III

Było już ciemno na dworze, i czytelnia zupełnie pusta. Na maszynie spirytusowej kipiało już mleko z kaszą na wieczrę — kiedy wśród mroku oszczędnego knotka kinkietu naftowego — zadudniał śmieszny din, din dzwonka mechanicznego z otwierającymi się jednocześnie drzwiami księga-renki. A w nich pojawił się nakoniec półtora łok-ciowy urzędnik, nie na żarty: karany wyrokiem całej Rady pedagogicznej!

— Bubuśka! Trudno! Stało się — zawyroko-
wał złamanym głosem, jak dorosły, z oczami, za-
łękłemi, jak u wystraszonej sarny.

— Wiem o wszystkim. Chciałeś ocalić kolegę.
Bo sam lekcji nauczyłeś się. Przecież wydawałeś
ją wczoraj przedemną — śpiewała mu cudną me-
lodją matka, zdejmując z niego tornister, zmo-
czony szynel i czapkę z głowy, na której gładziła
mu włosy. — Niema w tem nieszczęścia. Do kwar-
tału jeszcze daleko. Zdążysz przecież poprawić so-
bie ten zły stopień na cenzurę.

— Nie wiesz nie, bubuśka — mówił z tragiz-
mem dojrzałego człowieka, tając, że wie najdo-
kładniej, iż Lisowski go nienawidzi.

Są rzeczy, które ukrywa się nawet przed uko-
chaną matką. Lis karmił go już kilkakrotnie za te
jego błędne wpatrywania się w dal skrawka nie-
ba, które wkładało się do więziennej klasy przez
zabrudzone okno. Bo Pawełek wśród nudów powta-
rzanej w kółko reguły przysłowka ut, rządzącego
conditionalem — badał wtedy z zaciekawieniem
dziecka-poety, dokąd pędzą chmury i obłoki? Czy
śród oczyszczonego lazuru nieba ujrzy kiedyś
skrzydła aniołów, które umają różami życie jego
matce? Czy ona przestanie kiedy kasłać i mart-
wić się o niezapłacone komorne i o zelówki jego
obuwia? A on, czy będzie kiedy wielkim poetą
stokroć potężniejszym od króla? Czy potrafi wy-

śpiewać taką pieśń, która złagodziła by cierpienia najnieszczęśliwszych ludzi na świecie?

— Nu, a tiepier gospodin Szylert! — łowił go wtedy na gorącym uczynku zadumy lis. I wściekły, że Pawełek wykuł w nocy wszystkie lekcje tak, iż nie można było złapać go — stawiał mu z musu w dzienniku stopień — rzecz prosta — nie celujący, ale dostateczny. Lecz najwyraźniej czyhał na niego.

— Czego nie rozumiem, robaku? — interesowała się jego bólem matka. — Powiedz bubuśce!

— Bo piątki nie będę już mógł mieć na cenzurze. Ani z łaciny, ani ze sprawowania — ukrywał, aby nie martwić matki ową zdecydowaną niechęć lisa, jaką przeczuwał, że będzie do końca życia wzbudzał we wszystkich kanaljach. A jest ich tyle na świecie!

— Obejdzie się bez piątek — rezygnowała w swojej miłości matka.

— Nic nie pojmujesz, bubuśka. A co będzie z wpisem szkolnym? — zapytał grobowo, zmęczony przebytymi wrażeniami. — Tylko prawosławnych zwalnijają od płacenia wpisu z dostatecznymi stopniami. A katolicy muszą mieć piątkę na cenzurze.

Poczęła pocieszać go, jak mogła — nie mniej od niego tą wieścią stropiona. — Zdarza się przecież, że zamożni nagrodziści z uwolnienia nie korzystają. Więc są i dla innych z gorszymi stopniami —

wakanse. A muszą też być i zapomogi prywatne specjalnie dla katolików.

Usadowiła na kolanach dziewięcioletniego dygnitarza, który rękami szyć jej obejmował — smutny tragicznie, jak raniony ptak. Aby go zerwać, zmieniła zrecznie temat rozmowy:

— Nie pytasz wcale o Szałowskiego, który przesiedział tu prawie całą godzinę. Taka burza go tu zaskoczyła.

Tragiczne oblicze dziecka rozjaśniło się.

— Całą godzinę? Tu u nas? W czytelnicy, czy w pokoju? Mów! — zainteresował się tem ogromnie, naraz przejęty i podniecony dziecięco po przeżytej depresji.

Poczęła rozpowiadać mu o wszystkim z najdrobniejszych szczegółami: o badjankach i o pomarańczy, która mu tak smakowała. I o Robinzonie Szwajcarskim i o kucu, i o huśtawce i o welo-cypedzie.

— Wiesz, jesteś do nich zaproszony na niedzielny podwieczorek. Ale mieszkają daleko.

— Wiem, już chodziłem tam raz umyślnie, aby móżdź trafić w razie, gdyby mnie kiedy zaprosił.

— Widzisz, spełniło się twoje życzenie.

Oczy Pawełka zabłyśły ogniem.

— Tak. Spełniło się.

Spędzi ze swoim przyjacielem poobiedzie poza murami szkoły w jego mieszkaniu, w tym wyśnionym z tysiąca i jednej nocy raiku z huśtawkami,

kucami, welocypedami, które widział dotąd jedynie w marzeniach. A naocznie tylko raz z poza zamkniętej szczelnie furtki ich domu.

Cóż za królewską rekompensatę za dzisiejszą jego tragiedję — zesłał mu dobry Bóg z nieba!

Jest tak oszołomiony tym splendorem, że nie może wymówić ani jednego słowa, ani zachwytu, ani wdzięczności za tę łaskę, którą odczuwa tak intensywnie, jak ból każdej krzywdy. Niemy przytula się tylko coraz mocniej do ramion matki.

— A co się stanie z twoją starą matką, która przeniećowała już sobie wstążki do kapelusza na niedzielny spacer? Mam iść sama do ogrodu? — przekomarzała się z nim, jak z kochankiem.

— Bubuska! — całował ją przeświadczony, że jego szczęście i ją raduje, z uczuciem, że kocha ją jeszcze bardziej od chwili jej sympatji ku jego przyjacielowi — zostanie z tobą.

— Nie, moje dziecko. To były żarty. Pójdę do ogrodu sama z myślą, że byłeś tam grzeczny, że się ludziom podobasz, żeś znalazł przyjaciół, którzy zastąpią ci... — urwała. — A teraz kolacja!

Po wieczerzy Pawełek zabrał się do lekcji, aż matka późnym już wieczorem poczęła zwykłym • przekornym ruchem tłumić knot lampy. Przed ułożeniem się na posłaniu wyrecytował jej jeszcze prawie już przez sen zadane z geografji wszystkie rzeki Górnego Sudanu w Afryce;

— Senegal, Gambia, Rio Grande, Casamanze, Rio Numez, Wolga i Niger.

Ukląkł przed świętym obrazkiem ze złożonemi zbożnie rączkami, sam w swojej koszulinie podobny do murillowskich aniołków. A matka, układając go do snu i gładząc po włosach, przestrzegała go jeszcze, aby zachowywał się u kolegi grzecznie, aby za wszystko dziękował i całował starsze panie w ręce. A on, tuląc się do twarzy matczynej — dopytywał z nienasyceniem o wciąż te same szczegóły:

— Czy kuc jest kary czy siwy? Czy welocyped jest drewniany? Co to za gra: Młotek i dzwonek?

Matka, przyzwyczajona do tego, tak prędko niestety — kończącego się zaufania, jakim tylko małe dzieci zaszczycają rodziców, obowiązanych w ich pojęciu wiedzieć wszystko — powtarzała mu wkrótce wciąż te same szczegóły wizyty kolegi.

A on jakby napawając się tym dźwiękiem, upierał się niewyrozumiale, jak rozkapryszony rekonwalescent, zmęczony przebytą chorobą:

— Mów jeszcze, mów, mów!

Wreszcie jeszcze mocniej wtulił głowę w poduszki i Morfeusz, jak to się pięknie mówi — pochwycił go w swoje objęcia. Lecz przeżycia ostatniej doby były zbyt silne, aby dziecięca duszyczka mogła je tak łatwo strawić. I spał z początku snem, bardzo niespokojnym, jak po przejedzeniu się: Przysłówki łacińskie łączyły się z welocype-

dem, przyjaciel z lisem, anioły ze szatanami. Śmiał się przez sen, to znów boleśnie jęczał, wyrzucając z mózgu niezrozumiałe dźwięki.

Aż wreszcie zwyciężył w tej walce Morfeusz, a raczej upór organizmu ludzkiego, dążącego stale do zdrowia wraz z naturą, pchającą niezmordowanie do życia, z optymistyczną nadzieją szczęścia. Bo najmniejszy promyk słońca rozświetla mroki najbardziej zdecydowanego pesymisty, a najblihsza radość zacierą smutek. I Pawełek, rozpromieniony uśmiecha się przez sen. Bo zagasły już w nim zmory Rady pedagogicznej, czterogodzinnej kozy, lisa, i łacińskich przysłówków.

I rozświetliły się srebrzyste zorze, zapalone białymi dłońmi aniołów. Zadrzały perłowe struny harf pieśniami dziecięcych marzeń, któremi dobre wieszczki ukołysały śpiącego na wonnych różach bez cierni, wśród szmaragdów nadjeziornej murawy...

W gimnazjalnych mundurkach aniołkowie ze skrzydełkami akompaniują na złotych fletach hymnom, nuconym przez dobre wieszczki o długich włosach, przetykanych kwiatami...

I małemu śpiącemu Pawełkowi roi się przez całą noc raik w fabryce krochmalu i mydła do prania. Raik, w którym najpiękniejszy aniołek nosi aksamitne ubranie i kapelusz słomkowy ze złotym napisem na niebieskiej wstążce: Firenze...

A na drzewach tego raiku wiszą buldygony i pa-

patacze... A jada się na obiad codziennie bułki z sarniną...

I naraz ciemne aksamity i kapelusz Firenze przemieniają się w jasne atlasy i w piuropusze, a sam Jurek Szałowski, jako mały książę z Kopciuszka z cyrku Rentza zajeżdża przed księ-garenkę w lilipuciej karetce, (tej z ponad balkonu powoźnika na Lesznie) zaprzężonej w sześć srebrno siwych kuców i zabiera do swoich pałaców Pawełka, jako swego Piętaszka. A w pałacach tych i w ogrodach — wielki Boże! — co za cuda! Co tam długo gadać! Ot poprostu raj na ziemi...

Wszyscy tacy grzeczni, mili, kochani! Udzielają sobie wzajemnie zabawek, kłaniają się starszym. Całują się wzajemnie. A jakże! A wszyscy bez różnicy zowią się Szałowskimi.

Odezwała się w tym raiku tylko jedna sekunda zgrzytu: Oto do wrót raju, szarpiąc nerwowo brodą i świecąc spróchniałemi zębami, z rogami, ukrytemi pod rudą czupryną — zajrzał Lisowskij. Rozkazał już nawet swoim piekielnie chytrym falsetem modlitwę: „prebłagi Gospodi, nispołsi wo-jei wnimati uczenji...” A jednocześnie podglądał pod ławkami (niewiadomo, skąd w raiku pojawiły się ławki szkolne?) czy nie ma tu gdzie książek polskich...

Lecz wtem cudny starzec ze srebrną brodą do pasa, z jeszcze większemi białemi skrzydłami (zapewne sam Pan Bóg) rozkazał aniołom stróżom,

również oskrzydłonym ze srebrnymi brodami (jeno nieco krótszemi) wyrzucić nieproszonego gościa. A ci, nisko kłaniając się cudnemu starcowi bez chwili wahania — wzięli Lisowskiego za bary i z krzykiem „Poszoł won“ — wypchnęli za drzwi raję, aż się biedak zatoczył.

Pawełek wybuchnął śmiechem szczęścia tak głośno, aż się ze snu obudził. Lecz Morfeusz wnet pochwycił go znów w swoje objęcia, jakby nagradzając za przykrą wczorajszą jawę. I kołysany echami słów matki, spał do rana z uśmiechem szczęścia na ustach, upominając się kapryśnie przez sen:

— A co potem? Mów mi jeszcze, mów, mów! I matka opowiadała mu jego ulubionym stylem, dowcipami i domowymi wyrażeniami tylko im obojgu znanymi, umianami już na pamięć — te same ukochane fakty, rodzinne zdarzenia i drobniagowe przygody, które wraz z jej śmiercią miały zamilknąć dla niego nazawsze, choć aż do grobu kołysać go będą do snu, jak różdżką czarodziejską. Bo Pawełek niezapomni do końca życia tej ulubionej facecyjki o swojej babce, która, oplakując śmierć jakiejś krewniaczki, wyrwała się z ubolewaniem, jak Filip z Konopi:

— „Jeszcze kwadrans przed śmiercią — biedaczka żyła“. Czyż można boków z tego nie zrywać?

Lub te wieczne opowiadania matczyne o cza-

sach pensji u pani Kraków. (Nie deklinowała nigdy: u pani Krakowowej). Lub te jeszcze dawniejsze dykteryjki z czasów pensjonarskich babki u pani Konradi.

I wśród miłosnych przekomarzań Pawelek, zmieniając swoją pleć, nazywał matkę brzydkim Maniusiem, a ona jego — drogą Pawliczką, Okruszynką. I spieszczali cudacko swoją mowę własnem volapückiem miłości, gaworząc:

— A ja był e m (zamiast byłam) dziś w k o ś c i e l l e aha! — szczebiotała matka.

— A ja s p ó ż n i ł a m się na gimnastykę — pieścił się Pawelek.

Dźwięki te miały brzmieć im w uszach czarowniej od bethovenowskich symfonji; a nazwisko Kraków, Konradi i wszystkich koleżanek matki Pawelek czuł aż do grobu w mózgu jaskrawiej od nazwisk gienjuszów.

Minęła bardzo szczęśliwie Sobota. Profesor Jegorow wyrwał go z geografji. I Pawelek wytrzepał jak pacierz: Senegal, Gambia, Rio Grande, Casamanse, Rio Numez, Wolga i Nigier.

Otrzymał czwórkę. W dyktandzie rosyjskiem na tablicy popełnił tylko jeden błąd: je zamiast jat'! Postawiono mu 3+. Wybiła godzina 3-a. Nareszcie! Uczniowie powstali z ławek. Jeden z kolegów wytrzepał rosyjski pacierz. Profesor Jegorow opuścił klasę. Skończyło się.

Ze skrzydłami u ramion układano w tornistrach

książki i kajety. I w szale radości żrebaki zeska-kiwały po stopniach schodów korytarza. Jutro Niedziela! Niedziela! Niedziela! Ha, Ha!

Jest! Nadeszła wreszcie. Szylertowa spędza po raz pierwszy dzień święta już bez syna. Aby nakarmić trochę płuca powietrzem — poszła samotna do najbliższego ogrodu Krasińskich. Nie był on wtedy zupełnie podobnym do dzisiejszego. Bez obecnej sadzawki, bez fałszywych perspektyw i pretenstjonalnych sztucznych wysepek, ze swoją nieistniejącą dziś wielką poważną środkową aleją, ciągnącą się swoim starodrzewiem prostolinijnie przez całą swoją długość aż do pięknej fasady pałacu — przypominał w zmniejszeniu główną aleję Ogrodu Saskiego i wszystkich innych starych parków, kształconych na harmonijnej prostocie ogrodu Tuilleries.

Zasiadła na ławce, ginąc swoją małą postacią w cieniu podwójnego szeregu wyciętych niedawno (poco?) stuletnich kasztanów. Dzień piękny, słoneczny. Śród gałęzi drzew słysząc świergot ptactwa. Łakome wróble, bardzo z gośćmi ośmielone podchodzą prawie pod jej nogi, napraszając się o przysmaki.

Zebrała specjalnie dla nich zawinięte w papier okruchy chleba, które ptaszki rozkoszują się, wyrywając sobie wzajemnie w tej śmiesznej walce smakołyki z dziobków, a pochwyciwszy zdobycz, het odfruwają. I nienasycone znowuż wnet powra-

cają. Łebkami o paciorkowatych oczkach coś rają, sprowadzając na ucztę chmary przyjaciół i płosząc nieproszonych rywali.

Zresztą dokoła niej pusto. Wielki szmat błękitu nieba, udekorowany festonami srebrno białych obłoków pieści swoją harmonją nie tylko piersi i oczy, lecz i duszę.

Śród ciszy ogrodu rozlegają się jedynie śmiechy baraszkujących z żołnierzami nianiek i tak rażące słuch (wskutek atawistycznego trenningu niechęci) gardłowe dźwięki obcej mowy żydowskiej, z akompanjamentem swcistej giestykulacji, śmiechów i całego zachowywania się odrębnej zupełnie parafji.

— Nie można już teraz uczęszczać do tego ogrodu — zdecydowała, przypominając sobie piękniejsze czasy, kiedy była jeszcze na pensji pani Krakowowej i przychodziła tu ze swoją matką, opowiadając jej cuda z dawnych czasów pensji pani Konradi.

Choć nie, nie! Niechce idealizować przeszłości kosztem dnia dzisiejszego. Grzechem by było żalić się na to, co los jej zgotował.

— Mogło być o wiele gorzej — godziła się z optymizmem wszystkich pesymistów, którzy, nie spodziewając się nigdy niczego dobrego w życiu, znajdują w najgorszej sytuacji przyjemną niespodziankę bo „Mogło być jeszcze znacznie gorzej“.

— Ach! ta świetna przeszłość — wielki Boże!—

Cóż to była za nędza! Z matką — niech spoczywa na boskim sądzie — nie bardzo wzajemnie się rozumiały. Matka jej nie była zbyt uczuciowa; przytem miała charakter bardzo stanowczy. Nie jej wina; taką już miała naturę. Szylertowa czyni sobie teraz nawet wymówki, czy nie zamało jej ustępowała; boć matka miała prawdopodobnie na celu jedynie dobro córki. Przecież i stara po różach w życiu nie stapała. W każdym razie pozycie tych dwojga kobiet nie było zbyt świetne.

— Ha, ha! To nie był stosunek podobny do tego, jaki łączy mnie z moim synkiem, z okruszyną, gołębiem — otarła nos ze wzruszenia.

— Niech spoczywa na boskim sądzie, ale mama faktycznie bywała bardzo przykra — poczęła zanurzać się we wspomnieniach z domu rodzicielskiego. Faktem, że matka jej może zbyt podkreślała ustawicznie (prawdopodobnie w mylnej pedagogice) niezaradność życiową córki. Raz nawet wymknęło się jej wśród gniewu wyrażenie, które utkwіło w mózgu wrażliwej córki na całe życie:

— Piąte koło! I co z tobą robić? Konkurenta ani śladu. Siedzisz i siedzisz. Cóż ty wysiedzisz?

I do uszu córki dochodziły nieraz — zwierzenia się kumoszkom; niby ogromnie poufne:

— Wieczne urwanie głowy z tem wiązaniem końca z końcem. Gdybym była sama, ani chwili bym się nie wahała. Zwinęłabym dom i umieściłabym się sama na stacji. Emeryturka wystarczy-

łaby mi. Ale cóż robić z córką? Biega ona wprawdzie za lekcjami, lecz cóż przynosi taka klientela? Dzieci przeważnie rzemieślnicze, lub stróży, albo szwaczek! Nadażyło się jej raz miejsce nauczycielki w dość zamożnym domu na wsi. Ale cóż by ludzie powiedzieli, gdyby matka wysłała pannę na wydaniu „z dobrego domu“, na zarobek do obcych ludzi? To dobre dla jakichś tam mieszczek, lub emancypantek.

Udało się wreszcie złapać męża. Matka Szylertowej była przekonana, że to jej zręczności córka zawdzięcza tę karierę. A jak brutalnie przytem tryumfowała stara:

— Trafiło się ślepej kurze ziarno.

Lecz i mąż utyskiwał wciąż na żonę z powodu jej małomówności, unikania towarzystw i zabaw i pogardliwie ręką machał:

— Ni z pierza, ni z mięsa. Ani do tańca, ani do różańca.

Choć po ślubie zwierzał się przecież żonie, że — wbrew samochwalstwu teściowej, wmawiającej sobie, że to ona sama zięcia złowiła — na decyzję konkurenta wpłynęła głównie skromność i uległość panny; a wahał się jedynie z powodu zbytniej natarczywości wygadanej przyszłej teściowej, której sprytu zniesć nie mógł. Przez delikatność nie wspominała nigdy o tem matce, dumnej z quasi własnego tryumfu zręczności wobec zięcia, który dał się złapać na plewy.

Lecz faktem, że Szylertowa dopiero teraz po raz pierwszy w życiu nie czuje się już piątem kołem u wozu. Dopiero teraz w czasach wdowieństwa, sama coś zdziałała. Bo nikt w nieszczęściu ręki jej nie podał. I choć niby piąte koło, ni z pierza, ni z mięsa — dała sobie jednak rady sama jedna na świecie z małym synkiem sierotą. Sama jedna stworzyła sobie byt, wychowuje, jak się patrzy, dziecko, które by bez niej przecież zmarniało. Wreszcie przydało się na coś piąte koło!

Ha, ha! Pawełek nie uważa jej zapewne ani za ślepą kure, ani za niezdatną do tańca i różańca!

— Pawełek, jej Pawełek! — Aż ją coś w gardle zakrzusilo. A na sam dźwięk imienia — cała twarz się rozjaśniła.

Grzechem z jej strony byłoby teraz żalić się na cośkolwiek. Prawda. Kaszel ją nieraz męczy. Lecz — chwała Bogu — nigdy w ciągu dnia, jak to u innych chorych się zdarza. Jenó jedynie śród nocy.

Prawda, czuje się z miesiąca na miesiąc coraz bardziej osłabioną. Ale każdy, najzdrowszy nawet człowiek przy całodziennem uwijaniu się w czytelní, a potem śród zajęć z dzieckiem, gospodarstwem, cerowaniem, łataniem i sprzątaníem — musi uczuwać zmęczenie w nocy. Bo przecież nie młodnieje z każdym rokiem.

A ta wieczna jej obawa suchot jest poprostu imaginacją. Przecież wie doskonale, że suchoty

są zawsze dziedziczne, a w rodzinie jej nikt na płuca nigdy nie chorował. A ona sama zaziębiła się jedynie przypadkowo. Zresztą wiadoma rzecz, że na suchoty zapada się zawsze przed trzydziestką. A stara baba, myśląca wciąż o suchotach — to tylko grzech przed Bogiem i tyle.

— Zresztą suchotnicy miewają zwykle krwotoki. A ja — nigdy. I nic mi właściwie nie dolega. Piersi mnie nie bołą. Jenó trochę osłabienia. No i ten przeklęty kaszel w nocy. Pozatem czuję się zupełnie dobrze. A chodzi przecież jedynie o to, aby Pawełek zdążył ukończyć nauki.

Poczęła myśleć o Pawelku. Pozostawił ją po raz pierwszy samą. Doskonale! Czyniła sobie oddawna wymówki, że ze względów egoistycznych przestawała z nim dla osobistej radości zazdrośnie sam na sam zbyt długo. I mimowoli udzielała mu się ta odziedziczona po niej skłonność unikania towarzysztw i lubowania się samotnością i marzycielstwem. Czy to było pedagogicznem dla młodego chłopca takie przestawanie ze starą matką wśród wiecznych kłopotów, w które wtajemniczała go dla własnej ulgi, jak starego przyjaciela?

Wychowywała syna bez słońca, bez śmiechu kolegów, zdala od dziecięcej swywoli — niepomna na to, że i tak posiadał wrodzone skłonności lubowania się myślami o niebieskich migdałach i przejmowania się piękną książką, muzyką i każ-

dem wrażeniem z przesubtelnią t. z. kobiecą (?) nadwrażliwością. Zupełnie tak, jak ona.

Wiedziała przecież, że na podwórzu wśród harców dzieci — Pawełek jest bardzo nieśmiały, że rówieśnicy uważają go pogardliwie za panienkę, lub za babę. Miała nadzieję, że w szkołach to się zmieni. Spełniło się jej stałe marzenie gimnazjum. Nie traciła nadziei, że ten trening poskutkuje.

Pomyliła się biedaczka. Bo tak samo, jak w latach dziecięcych oddzielała go od reszty stada jego odrębna swoista dusza samotnego wiecznie poety, którego nie łączą z kolegami ani harce „ekstry, palanta“, ani hazard gry w marki pocztowe, lub w stalówki. Tak samo oddzielać go będą następnie murem chińskim od młodzieńczej stadniny jego późniejsze gusty i zamiłowania. Nie będzie nigdy hołdował młodzieńczym harcom, wódce, kartom i wesołym dziewczynom. Nie będzie też ulegał starczym zacietrzewieniom walk politycznych, propagand, oraz wązkich i przejściowych prawd i parafjalnych komunałów.

I pod klątwą bezapelacyjnego wyroku niebios: Będiesz inny, niż wszyscy dokoła — będzie tułał się wiecznie sam — zbędny, jak piąte koło.

Lecz biedna Szykertowa wierzy, że ocalony syn przechodzi dziś nowy etap życia. Przypomina sobie na jego odchodnem radość, jaką wyczytała na otwartej dziecięcej twarzy.

Jakby wyciągał ramiona do tego nowego życia,

które go czeka już bez niej. Cały świat nieznanego nowego pokolenia jego przyjaciół, kolegów, szczęścia... Od dzisiejszego dnia poczyną już życie swojem własnem życiem... Nowy etap!

Jej rola już skończona. Nie będzie już tulił się, jak bezsilne pisklę do jej ramion. Będzie miał radosne tajemnice, z jakich przed matką nikt się już nie zwierza. A ona czyż ma znów powrócić do nieśczęsnej dawnej roli piątego koła?

— Jaka ja jestem jednak podła! — karcila ten swój egoizm zazdrosnej miłości. — Przecież będę mogła zawsze przypatrywać się jego szczęściu. A przecież w przypatrywaniu się radości ukochanych tkwi większa rozkosz, niż w osobistem szczęściu. Bo ono nie jest nigdy w rzeczywistości tak absolutnem, jak w egoistycznych marzeniach.

— Piastować na kolanach jego dzieci! — znowuż oczy łzami jej zasły. — Obym tylko dożyła do tej chwili — wycierała sobie nos dobytą z kieszeni chustką.

Nie, nie. I z tego marzenia już kwituje. Przecież istnienie ludzkie nie kończy się na tym nędznym padole płaczu. Dni życia jej są już policzone. Lecz Pawełek znalazł już ludzi, którzy nie dadzą mu zginąć. I w razie, kiedy jej już zabraknie, rękę mu podadzą i do ukończenia nauk pomogą. O to tylko jej chodziło. Bo potem cały świat stanie mu już otworem. A opieka starej zbiedzonej matki będzie mu już zupełnie zbiteczną.

— Kwituję już nawet — zdobyła się na królewską ofiarę — z rozkoszy chlubienia się wnukami.

Boć przecież jedynie jej ciało niebawem zamrze i rozłoży się — przemienione następnie w perzynę. Lecz duch jej żyć będzie.

Wtedy dopiero niewidzialna i niema, już bez ziemskiej powłoki — przemieniona w atom wieczności wszechświata: może w zapach kwiatów, lub w szelesty piasku pod nogami, lub w szmer rzecznych fal i liści, poruszanych wiatrem — będzie przypatrywała się jego szczęściu.

— Moja okruszyna, mój robak, mój gołąb biały!

Jeszcze o jedno jedynie błaga Boga — z oczami wpatrzonemi w niebo: Oby on nigdy w swoim życiu nie był piątem kołem tak, jak ongi ona.

Oby nie czuł się sam wśród tłumów ludzi, oby znalazł swoją wytyczną ścieżynę życia i cel istnienia. Oby nie błądził nigdy wśród pustyni z małemi ognikami, które gasłyby mu w oczach — zaledwie się nieco zbliżał.

Oby nie czuł nigdy żalu do matki za życie, które mu dała, a o które on nie prosił. Oby nie przeklinał oddziedziczonej po niej nieśmiałości i słabości, której przewyciężyć nie byłby w stanie. Oby nie był ciężarem sobie i innym. Ni z pierza, ni z mięsa, ni do tańca, ni do różańca, piątem kołem.

— Tak mi Boże dopomóż. Amen.

IV

O! Skarbie lat młodości! O! Niezapomniane przeżycia chwil nieuświadomienia z tego, że się żyje! O! Czasy, w których nie różnimy się niczem od ptactwa i motyli! O! Niewyczerpany oceanie radości dziecięcych! Hejże! Ty, jedyna krynico osłody piołunów późniejszego życia! Czemżeż wobec potęgi wspomnień pacholących są ulokowane w ogniotrwałych kasach miljarde wszystkich Rotszyldów? Czemżeż są spełnione marzenia wszystkich egoizmów, próżności i ambicji? Czemżeż jest łaknięcie sławy? Czemżeż sztuczność wielkich słów i małych czynów? Czemżeż miłość najczulszej kochanki?

Bo istotną nagrodą za wszystkie najboleśniej-sze zgrzyty życia pozostanie jedynie ta wzięta już z góry zapłata: Rozkosz twego dzieciństwa.

Szkoda tylko, że dziecko piaskarza z nad Wiśły nie wie tego, że o ile jest tylko sytem— jest szczęśliwszem od starego Vanderbildta, od starego Sienkiewicza i od każdego innego starego króla. Choć dopiero dowie się o tym fakcie, kiedy będzie już starcem. I wśród osiągniętej kariery lubować się będzie jedynie resztkami najcenniejszych honorarjów, wziętych już z góry: owemi wspomnieniami, kiedy, jako syn piaskarza harcował z rówieśnikami nad Wisłą.

Dzień, który Pawełek przebył u kolegi Szałow-

skiego, choć bez karetki z królewiczami, choć bez złotych harf, owitych wieńcami z róż i bez srebrno włosych dobrych starców — przeszedł wszelkie oczekiwania.

Niedziela ta, jak i wiele następnych, podobnych miały należeć do najpiękniejszych kart życia Pawełka. Jakby spiżowemi zgłoskami utrwalone miały jeszcze w starości nad grobem drgać w zepsutym zegarze mózgu melodją, która zagłuszała wszystkie jego późniejsze przeżycia. Wobec ich potęgi późniejsze wrażenia, jak kamfora zwietrzały.

I Szyłertowa nazajutrz nie mogła połapać się w tych wszystkich cudach, które Pawełek — zarumieniony po białka oczu — wyrzucał z siebie chaotycznie z potrzebą ekspansji swojej natłoczonej dziecięcej duszyczki.

Ku jego zdziwieniu sama matka ułatwiała mu jego zachwyty, ponieważ należała do tych niewielu starych, którzy niezapomnieli, że byli sami kiedyś młodymi, a nawet dziećmi. Zresztą znała dokładnie dzielnicę, zamieszkaną przez kolegę syna.

Sama posiadała w dziecięctwie krewnych, mających kamieniczkę na Bonifraterskiej, w niedalekiem sąsiedztwie ulicy Pokornej, która — podług systematycznych topograficznych nauk na pensji pani Pauliny Kraków — leży na północ Marymontu. Na południu zaś łączy się za pomocą dłu-

giej szyi ghetta Nalewek — ze stolicą. A na wschodzie jej gnieździ się brr... Cytadela wśród swoich szmaragdowych sztucznych pagórków, a raczej wałów.

Cytadela Brr... Ze swoją zagadkową grozą ruchomych mostów, ze swojemi strzeżonemi przez cerberów wrotami zakłętej jaskini 10-go pawilonu! Brr... Któż nie znał choćby z opowiadań dalszych, lub bliższych krewniaków tragicznych tajemnic tego miasta o zewnętrznym komforcie, przewyższającym tak znacznie kulturę ówczesnych szkół, szpitali i muzeów kraju Przywiślańskiego.

Ulubienica caratu, ustrojona w szmaragdy skwerów, błyszcząca blaskiem świateł elektrycznych, trotuarów zbytkownych i posadzek — stała się ulubioną rezydencją hojnie opłacanych w swoich zbytkownych pawilonach dygnitarzy-katów.

Golgota bohaterów, a zarazem ziemia obiecana zgrai szpiclów, tajnych agentów, całej sfory śledczej, uskuteczniającej w codziennych godzinach biurowych swoją prawidłową pracę urzędników podpisujących zbrodnicze wyroki męki wiecznej katorgi w syberyjskich lodowcach, lub edykty śmierci.

Na zachód od ulicy Pokornej ciągnął się rozległym stepem tak zwany Plac Wojenny, otoczony szeregiem stuletnich lip. A w pośrodku — Sahara. Codzienny teren mustrujących się obcych wojsk z komendą dziwaczного obcego języka,

z ceremonjałem wschodu, któremu uliczna dziatwa przypatrywała się z obojętnym gapiostwem — nęcona jedynie egzotykiem widowiska, przypominającego im pudełkową zabawkę blaszanych żołnierzy obcego wyrobu.

O! Ten śmieszny język, który przedrzeźniano, jak chińszczyznę:

— „Rebiata, szagom, w prawo, marsz! Hep, hep hurra! — darły się w niebogłosy, wtórując wojsku rozbawione dzieciaki z całej dzielnicy dorożkarzy, stróżów i piaskarzy.

A tam za Placem Wojennym już epilog wszystkiego, nawet Cytadeli i wojska — zaciszne nęcące spokojem Powązki. Jeden z najpiękniejszych cmentarnych ogrodów na świecie! Miejsce spaceru, odwiedzane jedynie przez kategorię ludzi o zranionych duszach, przez amatorów balsamu melancholji i cichej poezji smutku.

Śród bieli marmurowych pomników, łagodzonej ciemną bezsłoneczną zielenią cmentarnych roślin, spotykasz tu zawsze to najsympatyczniejsze towarzystwo, wprawdzie jeszcze nie z tego lepszego zaziemskiego świata, lecz już prawie i nie z tego gorszego naszego. Jakieś uduchowione typy w żałobnych strojach o dobrych, wyrozumiałych uśmiechach i o smutnych oczach, które wszystko już widziały, wszystko zrozumiały i wszystko przebaczyły. I koją swoje bóle przejściowej wędrówki życiowej refleksjami o znikomościach wszystkie-

go, co jest lilipucie, ziemskie i dumami o tytanicznej poezji wizji zaświatowych.

Już wiele lat dzieliło Szylertową od czasów jej dzieciństwa na Pradze i od wizyt ciotki z Bonifratskiej. Teraz na Lesznie wsłuchuje się z lubością w świeże dziecięce zachwyty Pawełka, tetrycząc z udanem znudzeniem:

— Dość już, dość, ty gaduło! — hamuje go z obawy o zbytnią emocję — opowiesz mi resztę jutro.

Szałowscy nie mieszkali właściwie na ulicy Pokornej, na której czerwienił się jedynie wzbudzający zachwyt okolicy budynek fabryczny z wielkim parkanem i z imponującym swoją wysokością ceglastym kominem. Lecz ich prywatny apartament mieścił się w parterowym domku, (zwanym przez niektórych pałacikiem), który wznosił się w sąsiedztwie na nieistniejącej oddawna ulicy Inflanckiej zburzonej wraz z przyległemi ulicami Kłopot, Nizką, Czarną przez rząd rosyjski za czasów namiestnictwa.

Na zakupionych terenach wraz z t. z. ongi placem Wojennym i Placem Broni — miała — podług niedoszłego planu panoszyć się coraz szerzej Cytaдела.

Owa wązka i krótka uliczka Inflancka była jedynie odnogą wielkiej ulicy Pokornej uchodzącej wobec bocznych arterji nieistniejących już wyżej wzmiankowanych wązkich, błotnistych, niewybru-

kowanych uliczek — za St. Germain dzielnicy ciągnącej się prostą linią aż hen! ku rogatom marymonckim.

I Szałowscy, wracając Muranowem i Pokorną z późnych zabaw śródmieścia do domu, informowali stereotypowo dorożkarza, drapiącego się po głowie z powodu odległości kursu:

—Uliczka na prawo, schodki na lewo!

I Pawełek do końca życia miał uplastyczniać sobie rozkoszne wspomnienia dziecięce tem lapidarnem określeniem: Uliczka na prawo, schodki na lewo.

I będąc już starcem miał budzić się nieraz przekonany śród nocy, że to on dyktuje drapiącemu się na koźle dorożkarzowi, który zawozi go tam, na Inflancką, gdzie przebył te cudne chwile dziecięce. Choć koszmar młodości znikł tak dawno już, jak baśń tęczowa.

O! Ta ulica Pokorna z domkami malowanemi na kolor różowy, niebieski i żółty, z zapadającemi się białemi parkanami, ozłocona promieniami słońca, w których srebrzyły się ostre polowe kamienie chodników z niewygracowaną śród nich szmaragdową trawą! O! Te chodniki wąskie i wysokie ponad rynsztokami o brunatnych cieczach, ściekających pod mostkami! A środek ulicy jeszcze bez bruku — ciągnął się ku Marymontowi wstęgą szosy, źle ożwirowanej kamykami, których sterty piętrzyły się wiecznie po obu stronach wybojów

blota ogniotrwałego; bo ani mróz go nie tykał, ani słońce.

I jakżeż charakterystyczną była ta ulica Pokorna ze swemi dworkami i pochyłemi parkanami o stepowych podwórzach, wśród których ginęły drewniane oficynki!

Te stopy stanowiły źródło rozkoszy dla harcujących, jak koty całych gromad dzieciarni. O! Te kryjówki, zakamarki z ganeczkami, drwalniami, suszarniami. O! Te pełne myszy i szczurów wozownie, stajnie dorożkarskie, strychy i komórki, w których hodowano króliki! I te obory z codziennym pełnym godności spacerem krów, wyprowadzanych bramą wchodową na pastwiska!

W uszach Pawełka nie zamrze nigdy gwar tego podwórza, gdzie wśród harców dziatwy i przekomarań starszych — dźwięczało gdakanie kur i kaczek, pianie kogutów, rzenie koni, bek krów i ryk jakiegoś starego emerytowanego osła.

I te malowane w pasy, uliczne drewniane słupy z liną, na którą opuszczano podczas zapalania oszklone latarnie naftowe! I ten przewlekły zgrzyt śruby przy opuszczanej w dół linie latarnianej. Trrr!

I te niezapomniane nigdy nazwiska właścicieli tych wszystkich okolicznych posesji z podwórzami, wielkimi, jak Sahara. Kamienica Wojdy, Petiskusa, Michalisowej, Iserowicza! Albo te straganiarki, sprzedające suszone pestki dyni: Szymonowa,

Ruchla, Aronkowa — wydobywają się nieraz śród nocy z większą precyzją, niż wykute w późniejszych latach nazwiska wszystkich astronomów, astrologów i innych proroków.

I te wszystkie szynki z miedzianemi półkwatrowemi czarkami do wódki na bufetach, okratowanych drewnianemi sztachetami dla bezpieczeństwa szynkarza w razie zbytńiego ożywienia gości. I wiecznie też same delicje w postaci obwarzanków, zeschłego sera i śledzi wędzonych! Ciekawe dziecięce śleпка, jak u małych psiaków to wszystko zwietrzyły.

A te traktjernie dla bardziej szanującej się socjety, i bawarje w ogródkach z szyldami malowanemi ze wzruszająco rozkoszną naiwnością!

Choć — rzecz prosta — te wszystkie pokusy nęciły tylko podniebienia gourmandów dorosłej złotej młodzieży dzielnicy Marymontu. Lecz dzieciarnia wzdychała nienasycenie do innych sezonowych specjałów u wzmiankowanych straganiarek Szymonowej, Ruchli i Aronkowej, które kusily wystawionemi deszczułkami u swoich koszyków. A dzieciakom aż oczy błyszczały na widok czerwieni świeżych wisien, uwiązanych kunsztownie w podłużne pęczki po cztery sztuki wraz z jasno zielonemi strączkami grochu. Lecz, jako nowalja delicje te kosztowały — nie bagatela — po sześć groszy! I wzdychano z cieknącą ślinką do pełni sezonu, kiedy krezusowska ich cena spadnie do

dwóch groszy. A wisien będzie już wtedy w pęczku conajmniej pięć, na czem ówczesne paskarki zarabiały conajmniej po groszu!

W następnych sezonach specjały zmieniały się: w małych blaszanych półkwaterkach srebrzyły się suszone pestki dyni, lub gotowany perlisty groch. A później wiecznie zgniłe ulegalki, jabłka kwaszone w beczkach wraz z kapustą, lub gotowane gruszki na zimno. I ten wieczny chleb świętojański, podobny w smaku do podeszwy, lub do ocukrzonych kawałków starej komody!

Większość tych delicji nie nęciła by tak dzieciarni, gdyby te smakołyki figurowały u ich domowego stołu. Lecz drażniła ich podniebienia swoim egzotyzysem owoców, wysoko zawieszonych.

Tak delektują się ukrycie smakosze gabinetowi specjałami ku utrapieniu żon, szczycących się, że w domu wszystko jest lepsze i zdrowsze, niż „w knajpie“. Ach! Ci podmiejscy Stępkowscy i Boquetowie z ich nieśmiertelnemi pokusami! Ach! Te sklepiki z delikatesami! Aż ślina ciekła na widok tych ogniotrwałych gomólek, obwarzanków, wędzonych śledzi, zeschłego sera i kielbas w rodzaju psiego kadryla!

Lecz należało tym synom marnotrawnym wyrzucić za okno przynajmniej ze dwa złote, aby drzwi Sezamu otwarły się: Pokoje podmiejskich Stępkowskich, malowane w zielone kraty, które—zdaje się — miały naśladować rośliny cieplar-

niane. Bywał tam i demi-monde z ulicy Kłopotkiej stale w chustkach, bez kapeluszy.

Dzieciarnia i o tem wiedziała, ale tak niewyraźnie, jak o sprawach, dziejących się na innej planecie. A w tych wspomnieniach wrażenia huczą chaotycznie, jak w starych klekotach przy niezmiennym pedale na klawiaturze, w której wiele tonów wcale już nie odpowiada.

O! Te wieczne wystawania przed domami w grupach malowniczo jaskrawego sztafażu! O! Te wozy chłopskie, z których niecierpliwi kmiotkowie wyprzedawali tu swoje wszystkie wiejskie produkty jeszcze przed dojazdem do Molocha — stolicy.

Dokoła tych wiejskich drabiniastych wozów koncentrują się ludziska. Nie sądźcie, że to tylko debiutująca służba, bardzo jeszcze nieudolna w tej przejściowej fazie z chałupy do przedmieścia. Nie! Przepraszam bardzo: zbierają się tu nie żadne debiutujące kocmołuchy kuchty, lecz damy. Przychodzi się tu nieraz ot tak — pour passer le temps. A godziny zlatują tu jak minuty. I proszę się nie śmiać: Przychodzą tu nawet panowie, przejęci ogromnie cenami wiązek drzewa, lub wązkich podłużnych beczulek tak zwanych solówek ze śliwkami na powidła.

Mam dotąd w uszach gwar targów i komeraży tej całej elity z podmiejskiej dzielnicy, zbierającej się przy stojących wozach na ulicy, jak w klu-

bie myśliwskim lub w resursie. Towarzystwo schodzi się tu nieraz ot tak „na gapę“ w braku innych rozrywek wśród leniwego naiwnego życia małomieszczan.

A w środku nich jaśnieje barwna plama, przyciągająca ogólną uwagę tłumu — niby scena ruchomego teatru, który zatrzymał się przypadkiem w dzielnicy, w całym majestacie swojego dekoracyjnego szychu i niepowszednich efektów. A ta barwna plama — to wóz chłopski ze swojemi siwoszami, żującemi najspokojniej obrok, ustawiony przed ich filozoficznie zrezygnowanemi łbami. Łśni w słońcu nie tylko srebrem maści koni, lecz wszystkimi kolorami tęczy. Bo oto na scenie wśród zieleni świeżego siana, którym cały wóz drabiniasty wysłano — barwią się swemi piaskowo żółtymi sukmanami kmiotkowie i ich baby w fartuchach o krzyczących w niebogłosy samodziślowych kolorach. I ugrupowane malowniczo wśród osełek masła, wielkich „krowich“ serów w kształcie serca, wśród kobiałek z jajami i kojców z wystraszonemi zgietkliwie kurakami „zgrywają się“ w swoich rolach kupcowych.

Lecz wozy już wysprzedane. Solidniejsi gospodarze z nabitemi kabzami „dydków“ zawracają swoje siwosze w stronę rogatek marymonckich. A lekkomyślniejsi z nich suną na rozkosze do podmiejskich Stępkowskich i Boquetów.

Lecz nie można pomijać słoni i lwów w opiewa-

niu mrówek. Bo oto wśród tych karlich domków w pamięci starców z tamtej epoki tkwi niezatarcie panoszący się wśród oparkanionych szumiących ogrodów wielki gmach nieistniejącego już tam szpitala żydowskiego.

Ta świątynia codziennych tragedji w większym stylu z całą swoją zagadkowością strzeżonych szczelnie wrót zaryglowanych — opatrzyła się już nieco sąsiadom, zupełnie zblazowanym na punkcie codziennego widowiska sunących z kaplicy szpitalnej pogrzebów, które tak charakterystycznie odbijają swoją czernią *sui generis* karawanu — na tle zaniebieszczonych mgłami, jaskrawych barw pejzażu. I ten sztafaż z innej epoki, z innej planety brutalizuje swoją odrębnością zwyczajów, form, stroju i języka, z jakim sunąca za karawanem garstka rodziny zawodzi krzykliwe lamentey wschodniego autoramentu.

Nie przejmowano się też zbytnio w dzielnicy losem tych pozostałych wdów i sierot, filozofując, że w szpitalu musi przecież część chorych umierać. A nonsensem ze strony zdrowych byłoby przewidywać dla samych siebie szpital i śmierć, od której Bóg strzeże.

Tylko w legendach podwórza dzieciaki komentowały widziane przez wybrańców losu zaryglowane cuda tajemniczego sezamu. Dziwa zamkniętych za murem, szalejących warjatów, oddziały chorób zakaźnych dżumy, cholery, tyfusów pla-

naistych. Pawilony ślepych i paralityków. Sekcje w trupiarniach. Brz... Aż włosy stawały od legiendowych szczegółów.

Lecz pozatem zarówno dla Jurka jak i dla całej dzielnicy ta zaryglowana twierdza wydawała się jakąś obcą planetą, złym koszmarem, który w gruncie nie istnieje.

Radowano się jedynie tem, co jest. Tem, co jest blizkie, zrozumiałe i co się kocha. Lubowano się jedynie życiem fal, które dokoła tej zamkniętej skały płynęły niezmordowane, wieczne...

Te okoliczne domki parterowe z doniczkami gieranji i fukeji w ufirankowanych małych okienkach — różowe, niebieskie, żółte! Coraz rzadsze wśród wyżwirowanej szosy, coraz mniejsze wśród natfowych latarni, zawieszonych na linie u słupów, malowanych w pasy...

Aż tam wreszcie ho, ho, koniec świata, rogatki Marymonckie! I wieś ze swemi chałupami, krytymi słomą, jak na dalekim Podlasiu, ze swemi źle osztachetowanemi ogródkami, w których barwią się jakieś niewyszukane blade kwiatki. Tuż obok zórawie z wodą, czerpaną przez baby wiejskie, pysznie, jako sztafaż stonowane z pejzażem.

I wszędzie, gdzie okiem zasięgnąć — ledwie od ziemi odrosłe lnianowłose dzieciaki, zamorusane, jako kwiaty niezmordowanej w swojej urodzajności — gleby. Wszędzie kury gdakające i to

wieczne śród ciszy wiejskiej szczekanie psów, pianie kogutów i kwik wieprzy.

I wiatraki, sterczące śród pól i krowy na łąkach i gaiki brzóz srebrzystych i zamykające szafirowym murem skłony horyzontu — dalekie lasy sosnowe...

I myśl dziecięca wybiega hen dalej, do tych odległych złotych krain, których poza ulicą Inflancką — dotąd nie znają, do krain z tysiąca i jednej nocy... A starsi wiedzą już dokładnie, że takich krain na świecie niema. A za ulicą Pokorną wiję się poprostu szosa, skręcająca w dół ku Marymontowi. A potem jest Kaskada, z pałacem o balkonowym podjeździe, na pięknych kolumnach. W nawpół rozwalonej martwej sali, ongi balowej, mieścił się tam natenczas bufet restauracji, już wtedy chylącej się ku upadkowi, zatechłej i pustej ze swoim z arki Noego fortepianem, wydłużającym się bez końca w wiecznych mrokach, które przedostają się tu z zarosłego zieliskiem dzikiego parku.

Z poźółkłych klawiszów przedpotowego klekotu rozlegał się za dotknięciem niedyskretnych rzadkich gości ochryply jęk jakby starej zepsutej harfy, rozbrzmiewającej żalosnem sowiem echem śród tego cmentarnego zapuszczenia. I te wiecznie puste martwe restauracyjne stoliki dokoła podjazdu pałacowego — tonące w ciemni zagajenia i zachwaszczenia ogrodu...

A tuż w sąsiedztwie szereg drewnianych domków z ganeczkami — dla letników, którzy doskonale obywali się wtedy bez majolikowych pieców i gipsatur sufitowych, dzisiejszych letnich pałacików.

A za kaskadą świeciły już wreszcie w swoich srebrnych ramach Wisły — Bielany z kościołkiem i klasztorem, któremu rząd rosyjski wspaniałomyślnie pozwolił istnieć aż do wymarcia tych kilku jeszcze, upierających się przy życiu, pozostałych kamedułów. Srebrno brodaci smutni starcy, o woskowych twarzach, z różańcem u pasa swoich żółtych habitów — wydawali się wyczekiwać z utratą każdego kolegi — nie tylko własnej śmierci lecz i idei całego zakonu.

W wiecznej cichej zadumie i w melancholijnej kontemplacji — wyglądali, jak zabłąkane widma legend średniowiecznych, lub jak symbole ascezy Quatrocenta.

A dzieciakom, przyjeżdżającym na odpusty w Zielone Świątki wydawało się, że to sam Pan Bóg wraz z apostołami spaceruje wśród stuletnich kasztanów wzdłuż żółtego muru kościoła na Bielanych!

O! Te pierwsze wrażenia! O! Dzięcięca wrażliwości niezapisanych jeszcze kartek welinu! Z jaką tytaniczną siłą utrwalasz się w mózgach aż do grobu!

Żadna zasłyszana w późniejszych latach, be-

thovenowska symfonia — nie zatrze w tobie dźwięków opuszczanej z szelestem na linie naftowej ulicznej latarni, ani dźwięku poruszanego dzwonka w sklepiku czytelnika na Lesznie. Ani gwaru zaśmieconego podwórza na Inflanckiej.

Tak, jak żaden pejzaż Neapolu nie zatrze ci w pamięci tej ulicy Pokornej, z jej pochyłającymi się parkanami, sklepikami, wozami chłopskimi, z wertepami uschłych lip wśród chwastów i kąkoli Placu Wojennego.

I żaden smakołyk w postaci tiurbota w sosie holenderskim u Paillarda — nie zatrze w twoim mózgu rozkoszy, z jaką delektowały się twoje dziecięce usta chlebem świętojańskim i ulegałkami.

Jak to wszystko smakowało! Wielki Boże! I jakież bezmiar niezatartego nigdy szczęścia dawały te wszystkie rozkosze podwórza! To bicie dziecięcego serca, kiedy przy grze uderzało się palantem „domową“ z okrawków piłkę i stawiało się wszystko na jedną kartę! Bo chodziło tu o ocalenie honoru t. z. bachorów t. j. młodszych, mniej zręcznych uczestników zabawy. Jeden mniej zręczny ruch piłką i cała gra stracona. I zapowiadało się z pełnym zwycięskiej nadziei hazardem:

— „Fanga pierwsza, druga, jeżeli dobra — to ostatnia!“

I biegło się przez całą długość stepowego podwórza „z bachorami“ aż do mety, niby stado

ptaków z piskletami, w które przeciwnicy skierowywali swoje piłki, jak wrogie grota. Lecz nie-
dość celne strzały chybiły. Dobiegło się do mety.
Och! Jakżeż serca drżały! „Bachory“, czerwone
jak buraki, ocalone! Partja wygrana! I cóż wobec
tego znaczy emocja w salonach Monte-Carla, lub
wygrana wielkiego Derby w Neuilly?

Lecz dzieci zapatrują się na życie, jak motyle
i kwiaty. Ta cała słoneczna toń codziennych
faktów — wydaje się im wiecznością bez początku
i bez końca. W ich ptasich główkach, niezdatnych
zarównie do wspomnień, jak i do rojeń o przy-
szłości — krysztalizują się jedynie najważniej-
sze ewenementy. Tak ptactwo zapamiętywało,
w jakim miejscu i o jakiej godzinie litościwe ręce
rozsypują im regularnie ziarna. Tak róże rozchy-
lają wdzięczne swoje listki pod srebrnymi kropla-
mi rafreszysera.

Taką znamiennej uroczystością całej odludnej
sennej dzielnicy bywał, drugi dzień Zielonych
Świątek, kiedy cała Warszawa wyruszała na mod-
ne ongi Bielany. Lecz high life ulicy Pokornej
nie hazardował się na tak silne emocje. Dosta-
tecznym dla niego ewenementem był bierny
udział, polegający na kontemplacji ciągnących od
samego rana spacerowiczów. Widok niezwykle
i aż nadto sensacyjny dla ich całorocznego dolce
far niente, niezamąconego nigdy przejazdem sto-
licy.

Cała ulica wtedy przywdziewała faktycznie szaty niezwykle. Wszystkie bramy i parkany dekorowano gałęzmi okwitłych już bzów i akacji, pozrywanych w sąsiednich t. z. dzikich ogrodach. W owych czasach zrywania jakby nie zasianych przez nikogo krzewów nie uważano za kradzież. I choć, mało słyszano jeszcze wtedy o socjalizmie — uważano krzewy i kwiaty za własność ogółu.

Komisarze cyrkulowi zameczali od samego rana stróżów o obfite polewanie ulicy. A gospodarzy zmuszano już od miesiąca do bielienia domów. Nawet mowy nie mogło być o łapówkach, ponieważ wiedziało się, że na Bielany jedzie tedy co-rocennie sam pan namiestnik Berg w eskorcie swoich kozaków.

Nastawał wreszcie ten dzień, tak uroczysty. W panicznym postrachu przed rozjeżdżającym w swojej prelotce pomocnikiem oberpolicmajstra, znikły z ulic pochowane do bram stragany Aronki, Ruchli i Szymonowej. Ani śladu na ulicach chleba świętojańskiego, czerwonych buldygonów w słóikach, suszonych pestek od dyni, mierzonych za śniedziałami półkwatrkami i wisien w pęczkach wraz ze strączkami grochu.

Sznury gapiów na chodnikach — tratuje już od samego rana konna żandarmerja i kozacy ze swoim specjalnym darem doprowadzania swoiste-

mi dzikimi ogłupiającymi tłum nawoływaniem do zenitu rozgardjaszu.

Wszyscy lokatorowie mieszkań frontowych tradycyjnie zapraszają swoich najdystyngowańszych znajomych ze śródmieścia na białą kawę z ciastkami, podawaną na szerokich framugach okien, z których goście, ogromnie łasi na to sensacyjne zaproszenie, przypatrują się, chrupiąc ciastka (srowadzane — nie bagatela — aż od samego Filcera, z cukierni w ogrodzie Krasińskich!) pojazdom, ciągnącym nieprzerwanym sznurem od samego rana. Gościnność polska, rozszerzająca podobno mury — nie mogła jednak rozszerzyć tych okien, usianych głowami, piętrzącemi się jedna nad drugą z tem zaciekawieniem, jakie charakteryzowało dobroduszną naiwność dawnych ludzi, niezblazowanych na punkcie ulicznych obchodów, których tak skąpiono im w stuletniej niewoli.

Przed ulornetowanymi gośćmi — jaśniała ni by wydobyta z puszkii Pandory, lub z bezdennej beczki czarodzieja — rozmotana wstęga pojazdów, wyświeżonych specjalnie na dzień dzisiejszy, pojazd za pojazdem bez przerwy... Niezależnie od tego dorożki, omnibussy, bryczki, platformy przewozowe, umajone zielenią z prowizorycznemi ławkami, uginającemi się pod całym towarzystwem majówkowiczów. Na kozłach dusili się powożący od ścisku dzieciaków i koszów, pełnych prowizji,

butelek, pieczeni i ciast domowych, strzeżonych przez zabierane przez państwo Magdy i Marysie.

I te twarze rozanielone na samą myśl rozkoszy, które ich tam na Bielanach czekają! Bo oto hen na murawie rozłożą się taborem całe towarzystwa. Wypakują z koszów talerze, nastawią przywieziony samowar, otworzą butelki... Zagrzmi muzyka katarynki... I rozpoczną się płasy, o wieleż miłsze, niż na woskowanych posadzkach bali kostjumowych w ratuszu!

I zabawa przeciągnie się do nocy. A poza tańcami czekają tam jeszcze i inne rozkosze: Huśtawki, karuzele, czółna. I pour la bonne bouche wyrozumiały księżyc, gwiazdy i te tak dyskretnie o zmroku gęstwiny!

Niez mordowani widowiskiem goście w oknach ulicy Pokornej ukazywali sobie wciąż najbardziej sensacyjne powozy arcybiskupa, pięknej pani ordynatowej, konsulowej angielskiej miedziano włoskiej pani Mansfeeldowej, prezesowej teatru pani Muchanowej-Calerghi, Deotymy, Modrzejewskiej, Popielki. A oto czterokonny break, powożony przez popularnego w wesołych kołach „Gucia“ Potockiego. Wreszcie great attraction — oto pędzi po azjatycku swoją trójką — nie bagatela — sam namiestnik hrabia Berg, któremu nie ze czci, lecz z przyjemności wyładowania głosu — towarzysząc okrzyki „hurra“, wybiegające z ust zamiejskich urwisów.

Lecz niezmordowaną w oknach ulornetowaną publiczność czekał jeszcze inny widok. Bo oto zachodzące słońce poczęło już wreszcie zatapiać w swoim łagodnym złocie cały Plac Wojenny. I niebieszczący się w przejrzystej gazie, zachodzących mroków drugi dzień Zielonych Świątek chylił się już wreszcie ku końcowi ze zwykłą znikomością wszystkiego na świecie.

Z wielkim zgrzytem opuszczanych sznurów zapalono naftowej latarnie uliczne. Czerwone ich płomyki kłóciły się w lawie rozpuszczonych amethystów, jasnych rubinów z domieszką bladego srebra, tworząc fantastyczną symfonię półtonów. Balsamiczny wieczorny wiaterek łaskotał zmęczone od wrażeń twarze spektatorów.

I serni już nieco w swoich łóżach framug okiennych, przypatrują się teraz powracającym z Biełan falom, płynącym ku miastu z powrotem, kontrolując powrót hrabiego Berga, pięknej pani Ordynatowej, „Gucia“, Modrzejewskiej i Deotymy.

Nieczekając już na ostatni akt do końca — pustoszeją okna spektatorów. I już bez zaciekawienia sytej wrażeń publiki — powracają aktorowie uroczystości. Do późnej nocy powrotnie suną ku domom bez końca w szarych kłębach drapiącego kurzu setki dorożek, bryczek, cudackich prowizorycznych platform i wozów. A wszystko umajone całym lasem pozrywanych gałęzi i krzewów.

Śród pustych już koszów z prowiantem matki tulą na rękach zmordowane wrażeniami uśpione dzieciaki, którym wypadają z rączek zakupione na straganach przed kościołem garnuszki, obwarzanki i inne wzruszające swoją naiwnością cuda z Bielan.

W dorożkach źle oświetlonych latarkami tulą się do siebie zakwefione dyskretnie całunem nocy czułe parki. Słaniając się na niepewnych nogach od zbytnich libacji, suną piesi, wspierając się na ramieniu swoich również niezbyt trzeźwych kamradów, lub żon, okazujących dla niepoczytalnego stanu swych mężów znacznie mniej wyrozumiałości, niż ich pijani współtowarzysze. Nie wstrzymują się też one od manifestowania pogardy dla pijaków i admonicji o skutkach nałogu pijaństwa, tak rzadko spotykanego u grzesznych na innych punktach kobiet.

Teraz odpływają już z Bielan ostatnie fale: Zadowoleni z obfitego żniwa grajkwie, kataryniarze, przekupnie, „sachar marożnyj“ i żebracy. „Antreprenerzy“ zwożą wynajęte tylko na ten dzień ławki, karuzele, huśtawki i inne cudowności. Śród gęstniejącej wciąż prawie już czarnej nocy rozlegają się ostatnie dźwięki harmonijki, głosy pijanych przekomarzań i śpiewy. Na niebo wypływa księżyc, zamiljardziły się gwiazdy...

I w głowie Pawelka wspomnienia tych wszystkich cudów miały zrosnąć się z jego wrażliwym

mózgiem jeszcze intensywniej, niż u stałych mieszkańców marymonckiej dzielnicy.

Bo stanowiły dla niego przemijający egzotyzm, który nie powszednieje, jak do dna wypita czara. Pozatem wspomnienia te łączyły się u niego z sentymentem ku pierwszym ludziom, których spotkał poza gniazdem rodzinnem, i których pokochał jedyną prawdziwą pierwszą miłością.

Naprzekór uczuciom, pani Romy i Jurka którzy najedli się tej dzielnicy do syta — dla Pawełka widziana od święta ulica Pokorna, Inflancka. Plac Broni wraz z musztrami, Bielekanami, straganami, barwnymi chłopskimi wozami, z palantem dzieciaków i ze wszystkimi zakamarkami dzikich ogrodów i podwórza — stała się we wspomnieniach tym raz tylko widzianym Napoleonem. Tą zgasłą przedwcześnie narzeczoną, której nie zdążył jeszcze tulić w swoich ramionach i która w roli dozgonnej małżonki nie zdążyła zestarzeć się i zdemaskować wszystkich swoich ułomności, jakich nie posiadają jedynie ideały, niespełnione...

V

Niedziela. „Uliczka na prawo, schodki na lewo...” Pawełek ciągnie za znany mu już od kilku lat dzwonek z porcelanową rączką; bo jako habitué spędza u państwa Szałowskich już nie tylko

niedziele i wszystkie święta; i jako prawie domowy bardzo często jest wzywany i wśród tygodnia, kiedy nieuważny na lekcjach Jureczek nie umiał wskazać dokładnie swemu korepetytorowi żądań profesora gimnazjalnego.

Pawełek, znając już zwyczaje domu, dzwoni cierpliwie, nieździwiony brakiem pośpiechu w otwieraniu drzwi. Wie, że bardzo liczna służba w domu państwa Szałowskich z niezbyt określonym trybem zajęć, niezależnie od gderań panny Petroneli — nie bardzo kwapi się do roboty. A i sama panna Petronela jest skłonniejszą do dawania bardzo obfitych i przewlekłych wskazówek życiowych, (przez nikogo zresztą nie przestrzeganych), niż do zdecydowania się na osobistą jakąś fatygę.

Poważny znacznie starszy od niezwykle pięknej swojej żony inżynier Szałowski — zbytnio ją kochał, aby móc być jej mentorem. Ona zaś, jako młodziutka bezposażna „panienka ze wsi“ wniosła do domu męża mieszczanina i inteligenta starszylachecki tryb prowadzenia domu na szeroką stopę.

Ten stary kurs, jak wiadomo — polegał na przesadnej liczbie niezbyt świetnie urządzonych zbędnych pokojów, na zbyt obfitej niezbyt wyszukanej kuchni, na pełnej piwnicy i na nadmiarze drepcącej sobie po piętach niezorganizowanej i krzykliwej służby i domowników.

Pani Roma, choć zamieszkiwała już od dość

dawna przedmieście stolicy — nietrafiła jeszcze do zbyt drogich, modnych magazynów Włodkowskiej i Kunke. Lecz najdroższe jedwabie i aksamity przykrawały jej stale w domu przebywające „dla oszczędności“ dwie szwaczki, których arcydzieła, zrodzone pod wodzą dyletantyzmu panny Petroneli — trzeba było rozdarowywać bo najczęściej „nie udawały się“.

W budzecie domu nie mieściło się też nigdy kupno simblerowskich mebli, ani obrazów Lesera, Symlera, lub Giersona; ani na ciasta od Clottin'a. Ponieważ — pomimo rocznego wydawania sum bajonkich — oszczędzało się na tegoczesnym komforcie kosztem szerokiej i bujnej szlacheckiej fantazji starego kursu.

W tym rozgardjaszu źle zorganizowanego domu pani Roma trawiła dni beczynnie — niezdolna ani do zawierania stosunków towarzyskich, ani do stworzenia sobie jakiegokolwiek intelektualnego modum vivendi.

I czuła by się najnieszczęśliwszą w tym kosztownym deptaku wiecznych kolizji ze służbą i z domownikami, które jej całe puste życie wypełniały, gdyby nie opromieniała go bałwochwalcza miłość dla jej bożka Jureczka, którego hojne w swej dobroci niebo — w rok po ślubie jej zesłało. A dobry jej w gruncie charakter na łasce tej się poznał.

Jureczek od poduszki nadawał się do takiej

bałwochwalczej miłości. Poza urodą swojej befrasobliwej twarzyczki i poza kształtami małego bożka — posiadał urok, który miał go charakteryzować przez ciąg całego życia. Urok ten polegał na królewskim wdzięku nie zdawania sobie sprawy ani z dodatniego wrażenia, jakie dokoła siebie roztaczał, ani ze składanych mu hołdów, które uważał za należne i normalne. Nie starał się przecież o nie, ani nie przymilał. Nie czuł więc z tego powodu ani dumy, ani tryumfu, ani wdzięczności. Jakgdyby przewidywał, że jest większem szczęściem zdolność podziwiania, kochania i poświęcania, niż być samemu kochanym, podziwianym i korzystać lekko z ofiar innych.

Rzecz prosta, iż był nieświadom tej logiki swego charakteru tak, jak kwiaty nie zdają sobie sprawy z tego, że pachną, lub motyle z tego, że są barwne. Tak jak również nie widział nigdy rozpromienienia matczynej twarzy z powodu każdego jego odezwania się, ani bladeści jej lic z przestrachu, kiedy upadł lub żalił się na jakiś ból przejściowy...

Pani Roma w swojej bezmiernej miłości, której nagromadzonych zapasów nie miała okazji nikomu udzielić, nie rozstawiała się z synem nigdy. Jurczek posiadał ubranka i zabawki pretendenta do korony. Wraz z jego boną zabierała go matka ze sobą wszędzie i stale do wód zagranicznych. I wysmiewano ją wszystkich granicznych komorach

„polnische Wirtschaft“, z jaką ta zbytnica-matka przewoziła wszędzie białe dziecięce łóżeczko królewicza syna, uważając za crimen lesae majestatis, aby układać jego ekscelencję w obcym hotelowym łóżku.

Pięknością syna szczyciła się znacznie więcej, niż swoją własną. I ślepa zupełnie na nieme hołdy, które jej osobista uroda roztaczała dokoła — nie zdawała sobie sprawy, że jej piękność zwraca za granicą daleko więcej uwagi, niż w zaciszu domowego podmiejskiego pastkowania.

Dopiero w ostatnich latach zagustowała piękna pani Roma w tych podróżach do zagranicznych „badów“ tak nieuniknionych według lekarzy dla zdrowia bogatych pacjentów. W Ems, w Homburgu, w Ischl i w Spaa otworzyły się jej oczy na europeizm i na nowy kurs życia.

Tam też poznała „tego drugiego“, który — ani spostrzegła, jak stał się w Warszawie przyjacielem domu, habitué, domownikiem.

To on otworzył jej oczy i na własną jej urodę, której nie doceniało dotąd jej zwierciadło i na szarzyznę jej życia, z której bez lustra duszy — także sprawy sobie nie zdawała. To — on zbrzydził jej staroświecczyzną kroju i koloru jej sukien, mowę zbyt szczerą i ten brak kokieteryj i pewności siebie, wynikający z niezdawania sobie sprawy ze swoich życiowych atutów.

— He, he. Ludzie są tak głupi — uczył ją —

że jeżeli kobieta nie krzyczy sama o sobie „patrzcie, jaka ja jestem piękna“ — to tego sam przez się nikt nie zauważy.

To samo dzieje się z naszym umysłem i z naszymi duchowymi zasługami. Jeżeli ktoś nie jest zręcznie reklamującym się własnym impresarjem — to ze wszystkimi swojemi zapasami ciała i duszy, nie zaangażowany na rynku i nie nabyty — pozostanie na koszu. Bo zupełnie przestarzałym jest idiotyczny aksjomat: siedź w kącie — znajdą cię.

Pan Witold, a właściwie podług metryk i paszportu — Maciej Czyżyk z nieznanej nikomu rodziny i spadły od kilku lat w Warszawie niewiadomo skąd — zajmował ostatnio wybitne stanowisko dyrektora rosyjskiego towarzystwa asekuracyjnego „Flama“. Jego dyrektorska pensja, oraz djety, dywidendy i tantjemy, szafowane przez zwierzchnią władzę z hojnością moskiewskiej anarchji — przekraczały o wiele ówczesną płacę premiera ministrów angielskich oraz prezydentów niejednej republiki. Pan Witold Czyżyk, rodem z Wilna, czy też z Kijowa — pochodził podobno z gminu. Ojciec jego był — zdaje się — woźnym w jakimś biurze. A sądząc z ortografji listów pana dyrektora, i on sam musiał przebywać w gimnazjum bardzo krótko.

Faktem, że dyplomu żadnego nie posiadał, i sam przyznawał się, iż rozpoczął swoją asekuracyjną karierę od 20-rublowej miesięcznej pensji. Dziś

uchodził w dziale taryfowo asekuracyjnym za powagę w całym państwie. Różne towarzystwa wyrzywały go sobie i przelicytowywały te intuicyjne zdolności organizacji prędkich pomysłów. Wszyscy klienci zdawali się być pod urokiem tej jego żywiołowej werwy, pewności siebie i zadowolenia z życia, w którym doszedł własną siłą do kariery. Lecz w salonach jedynie wobec jego „szerokiej ręki“ przebaczano mu niektóre „gaffy“ towarzyskie świeżego dorobkiewicza.

Pani Roma poznała go w Ems, dokąd przyjechał w pierwszym roku z żoną brzydką i starą i gdzie zwrócił uwagę ziomków, swoim życiem na szeroką stopę, która nigdy nie przestaje ludziom imponować. Odtąd zjawiał się bez umawiań corocznie w tych samych miejscowościach, w których bawiła pani Roma.

Przyjeżdżał już sam. O żonie mówił z wielką niechęcią. Zdaje się, że to małżeństwo już ostatecznie się rozpadło. Pan Witold był młodszy od męża pani Romy i stanowczo zabawniejszy. Był ożywiony, dowcipny i potrafił konwersować z kobietami. W mylnej obserwacji mniej wybrednych uchodził nawet za wykwintnisia. Faktycznie ubierał się bardzo starannie, choć nie zbyt gustownie. Nościł monokl na grubej podług ówczesnej mody wstążeczce i nie żałował pieniędzy na kwiaty, na improwizowane powozowe wycieczki i na hojne napiwki służbie.

W kulcie dla jego „szerokiej natury“ — prześlepiono nawet wady dorobkiewicza; zbyt wielką pewność siebie, zbyt jaskrawe krawaty, zbyt głośne wybuchy śmiechu, nieumiejętność francuszczyzny i inne drobne towarzyskie uchybienia, świadczące o braku bony w jego dziecięctwie, w którym brakło tych wszystkich (zręcznie jeno odgadywanych powierzchownych) walorów salonowych.

Nie był brzydki ze swemi dość regularnemi rysami, z niezbyt już bujną czupryną i z czarnemi długimi bokobrodami. Doświadczone kobiety rychło pojęły, iż ten Krezus najwidoczniej pretenduje o względy pięknej pani Romy. Najsprawiedliwsze pośród nich godziły się, że wybór jego jest trafny i przyznawały, że jej *k o n d u i t a* jest bez zarzutu. Złośliwsze kładły to na karb jej braku temperamentu.

Faktem, że pani Roma zdawała się nie rozumieć jego zabiegów na serjo. Była dla niego bardzo miłą i flirtowała z upodobaniem, jak z każdym z tych innych wielbicieli, którym wystarczały uczucia platoniczne. Wynajdywała zresztą dotąd sporo takich zwolenników sezonowego flirtu, którym niechciało się wikłać u wód w poważne awantury, a wystarczał platonizm z estetycznemi uczciwemi meżatkami.

I rozważny pan Witold, aby nie być odprawionym z kwitkiem — nie demaskował swojej gry serjo. Lecz w nader dyskretniej akcji zręcznego

agenta asekuracyjnego — nie prześlepiał żadnego atutu. W ostatnich czasach počzał najudatniej spekulować przez dziecko do matki.

Obrzucał Jureczka niespodziankami, wyszukiwaniem łakociami, wymarzonemi zabawkami. Sprowadził mu udekorowanego z tysiąca i jednej nocy osiołka do jazdy. Jurek, uszczęśliwiony — przyjmował jednak te hołdy bez nerwowych porywów wdzięczności, z charakteryzującą go od kolebki królewską równowagą pogodnego ładnego chłopca.

Lecz ani chłód dziecka, ani brak zachęty ze strony pani Romy nie zniechęcały zaciętości wielbiciela, który z uporem self — helpmana — powiedział sobie od pierwszej chwili:

— Żadna inna. Jedynie ta! Wszystko jedno, czy dziś, czy hen! po latach.

Pieczone gołąbki nigdy do ust same mu nie wpadały. Tem lepiej, że to nie materiał na sezonową miłośćkę, lecz na całe życie. Należy czekać, a raczej działać. Lecz unikać fałszywych kroków, bo chodzi tu przecież o szczęście całego jego życia, które może zakwitnąć jedynie u jej boku.

Miłość jego nie była ślepą. Pani Roma zwracała u wód powszechną uwagę swoją fenomenalną urodą dużej posągowej brunety o alabastrowej cerze i o rysach, jakby wykutych z trochę zbyt zimnego marmuru, która dopiero w balzakowskich swoich latach doszła do rozkwitu.

Pan Witold od kilku lat bywał u niej w Warszawie, jako przyjaciel domu, jako prawie jedyny stały gość i rzecz zwykła — jako powiernik męża, który ogromnie zaprzyjaźnił się z nim i wtajemniczał go we wszystkie swoje zawodowe sprawy.

Pan Witold, jak każdy bez tradycji dorobkiewicz był fanatycznym hołdownikiem „ostatniego krzyku mody“. I, choć nie udało mu się zmienić całkowicie trybu domu pani Romy, lecz znać w nim było po pewnym czasie nowe wpływy i inklinacje.

Rzecz prosta, nie zmieniono mebli, które nie były antykami, lecz poprostu starzyzną. Czasy na to były wtedy — jak to mawia się zwykłe — zbyt ciężkie. Fabryka Szałowskiego chromała chronicznie na brak gotówki, po którą należało urządzać specjalne wyprawy do miasta przy każdej trzytygodniowej wypłacie robotnika.

Pani Romy nie przerażała już epidemiczna żółtość twarzy męża i skonstatowana przez lekarzy wada serca.

— Z wadą serca można żyć do późnej starości. A pieniądze na rzeczy konieczne — muszą się zawsze wynaleźć — rozumowała z logiką wszystkich żon na świecie.

Nie uważała się za zbyt starą, choć kurs jej szerokiej domowej staroświecczyny okazywał się przy zmienionych warunkach bytu znacznie kosztowniejszym od komfortu stołecznego.

Pan Witold nieraz łątał grozę sytuacji pożycz-

kami. Lecz radykalnie pan dyrektor ocalić Szalowskiego nie mógł, ponieważ nie posiadał nagromadzonych kapitałów z powodu bająskich rozchodów, których część przeznaczał rozseparowanej z nim żonie. A reszta jego wielkich rocznych zysków topniała w jego rękach w wiecznym kulcie dla wielkopańskiego szyku i „ostatniego krzyku“ mody, któremu hołdował z pasją murzyna, przejętego błyskiem nieoddawna znanych mu złoconych guzików.

Ulegając jego radom, pani Roma zastąpiła jedną z pokojówek lokajem, który w białych rękawiczkach począł obnosić przy stole półmiski i drzwi wchodzącym otwierał.

Pokój pani domu, zbyt jasny — przyciemniono podług świeżej ówczesnej mody jednobarwnymi ciemnymi tapetami. Pozawieszano duszne grobowe portjery u supraportów, a piec zamaskowano ze szkodą ciepła — ciemnymi grubymi draperjami. Stonowano ciemną farbą dawną białość błyszczu lakierowanych drzwi i okien. Przyciemniono naftowe lampy olbrzymimi abażurami. I porozstawiano kanapy, stoły i fotele podług nowej mody — nie przyparte o ścianę, lecz po rogach i w środku pokoju w powodzi natłoczonych mebli i bibelotów.

— To jest przynajmniej kultura, wdzięk, ciepło rodzinne — „snobował“ się pan Witold, dumny z powodu przybitych własnoręcznie nowomodnych wtedy japońskich wachlarzyków,

z rozwieszonego chińskiego parasola w rogu i z wielkiej rozłożystej palmy, ofiarowanej w dniu imienin pani Romie.

Nieśmieli mu się sprzeciwiać domownicy — średnio przejęci tą nową modą, tamującą wszelki ruch w pokoju — nieprzyzwyczajeni do tego tłoku gratów, wśród którego obijali się, stracając ze stolików, wydobyte z ukrycia dawnych rodzinnych serwantek, chmary najcenniejszych porcelan i majoliki dawnego Belwederu, z Nieświeża i z Korca. Z nich wszystkich jedynie pani Roma okazała się uczennicą, tak zdolną, iż przewyższyła rychło swego nauczyciela. I pan Witold, pomimo intuicji, znakomitej obserwacji i kultu dla wszystkiego świeżo zapożyczanego wśród swoich wywczaśów „w Europie“ — musiał jednak schylać głowę przed jej znajomością obcych języków i przed jej staro szlachecką kulturą, która po oskrobaniu zaściankowej prowincjonalnej śniedzi — błyszczała w jego przekonaniu szlachetniej od jego poślacanego chamstwa.

I pod jej urokiem kładąc się do łóżka, nie przedstawiał każdej nocy usypiać się uporeczywą myślą:

— To jest królewski kąsek. Kiep żoźmierz, któremu nie roją się epolety gieneralskie. To tchórze wymyślili przysłowie: Nie dla psa kielbasa. Bo nawet żadnemu psu nie przychodzi do głowy taka rezygnacja. Tembardziej, kiedy człowiek do swych psich pragnień może przywołać na pomoc... lisa.

I pan Witold konkurował, zabiegał, czekał. A pani Roma musiała mu przyznać, że było wielką szansą w jej szarem życiu znaleźć takiego przyjaciela, który stanowczo wart jest za tyle dowodów przyjaźni dla jej domu i dla Jurka tych uśmiechów i szczerego zadowolenia, z jakim go stale witała i do dalszych wizyt zachęcała.

Coraz bardziej przeświadczona, że życie nie jej nie dało i że na mężu zawiodła się, zapomniała zupełnie o swoich czasach panińskich.

Były to czasy, kiedy panny, nieposiadające posagów na kupno sympatycznych mężów — musiały godzić się od biedy na pierwszego lepszego — pod grozą tragiedji staro panińskiej rezydencji i kominkowania u dworów choćby najdalszych, i najniesympatyczniejszych krewnych.

Bo pracować nie wypadało i nie potrafiło się po skończonej edukacji, w której mieściła się jedynie umiejętność smażenia konfitur, robienia czólenkowych frywolitek i wybrzdękiwania na klawikordzie: „*Prière d'une vierge*“ Bądarzewskiej. Właśnie ta „*Prière d'une vierge*“ sprowadziła bezposażnej pięknej pannie Romie człowieka o dwadzieścia lat od niej starszego, w roli raka na bezrybiu.

Cóż było robić? Niekończyła uniwersytetu, ani politechniki, o której jeszcze nie słyszało się. Nie było jeszcze wtedy ani maszyn do pisania, ani urzędniczek, ani manikiurzystek, ani masażystek „z towarzystwa“. Było jedynie pieczeniarsze-

nie u krewnych i ciągle peregrynacje od jednego kominka do drugiego wraz z matką rezydentką, która z tak idealizowanej obecnie, a tak zapuszczonej wioszczyzny wyleciała wraz z panną Romą ongi z powodu anarchji życia, jak z procy bez szeląga. Należało się więc sprzedać mężowi, choćby garbatemu i kulawemu, aby tylko módz po obcych kątach się nie tułać i posiadać zapewnioną własną norę.

Wynaleziony cudem przez krewnych, spadły konkurent Szałowski był bezdzietnym wdowcem, niezbyt młodym, lecz dość sympatycznym i dość zamożnym posiadaczem jakiejś fabryczki na przedmieściu Warszawy.

Kiedy olśniony jej urodą zaczął najwidoczniej konkurować o rękę — matka oszołomiona — zdecydowała:

— Wiesz, Roma, obawiam się tylko, czy ja z tego powodu nie oszaleję.

— Niech się mama jeszcze trochę wstrzyma — dowcipkowała zaniepokojona zwlekaniem konkurenta córka. — Nie mów hop! — póki nie przeskoczysz.

Po dziesięciu latach ta rozmowa z nieżyjącą już matką pierzchła oddawna z głowy pani Romy. I zupełnie niepomnej na dawną swoją psychologję i na dawne konjunktury — tradycyjny szlachecki arystokratyzm podszeptał jej z latami, iż popełniła ostatecznie megaljans. I ze znaną u nas manją

przeświadczenia, że pochodzi się z lepszej rodziny, niż inni, skonstatowała, iż nie może nawet dziwić się, że tak prosty człowiek, którego dziad do kościoła jeździł bryczką — podczas kiedy jej dziadowie — landarą, zaprzężoną w cztery szkappy, nie może zrozumieć ani delikatności jej duszy, ani estetycznych wymogów jej życia.

Teraz doszła do przekonania, że poza jedynym jej promieniem słońca — Jurkiem i przyjaźnią tego pocziwego pana Witolda — zawiodła się na małżeństwie. Bo mąż kocha ją — to prawda. Wiedziała także, wychodząc za niego, że nie jest młody. Lecz przecież i pan Witold nie jest ani bardzo powabnym, ani dobrze urodzonym — a jednak „pojmuje ją“ i nie razi tak swoją odrębnością z innej parafji, z innej planety.

Prawda, że zaharowany od rana do nocy w swojej fabryce Szałowski zapuścił się z kretelem — nie czuły ani na literaturę, ani na piękno, ani na podróże, ani na mody.

Gdybyż przynajmniej ta jego wieczna praca przynosiła jakie owoce! Ale cóż przychodzi żonie z jego miłości, kiedy on nie jest w stanie uczynić zadość jej potrzebom. Bo przecież ona nie jest nawet zbytnią. I nie wielka to przecież rozkosz gnieździć się wiecznie na przedpieklu Inflanckiej ulicy w chałupie wśród starych gratów, których z powodu wiecznych ciężkich czasów nie można

nawet po dziesięciu latach zastąpić meblami, jakie „inni ludzie“ mają.

W takim mieszkaniu i w takiej dzielnicy nie sposób nawet zawierać towarzyskich stosunków. Nie każdy posiada wyrozumiałość pana Witolda. Lecz wszystkie inne jej zagraniczne sezonowe przyjaźnie zrywały się w Warszawie z powodu zaściankowej staroświecczyny jej domowego trybu. Bo parafjańszczyzna jej służby, jej zastawy stołowej tchnie myszką o milę dokoła.

Albo ten przedpotopowy ekwipaż, ze stangretem w ceratowej czapce z fabrycznemi szkapami bez dźbła brązów w uprząży! Aż żenowało ją za jeźdźcą tą arkę Noego na symfonje Bilsego do Doliny Szwajcarskiej. A jeszcze większy wstyd, kiedy szwajcar głośno wywoływał z długiego szeregu wyczekujących ekwipaży, których sznur ciągnął się aż do nieistniejącego jeszcze wtedy korpusu kadetów — powóz (o! wstydzie!) z ulicy Inflanckiej!

I kiedy po skończonym koncercie zajeżdżała ta przedpotopowa ohyda! I ta landara, którą ongi tradycyjnie szczyciła się jako symbolem szlacheckiej rozrzutności — dziś w jej nowoczesnym hołdzie dla wielkomieszczańskiego życia nad stan — napawała ją wstydem zbyt mało błyszczącej staroświecczyny.

Jeszcze stosunkowo jej toalety zagraniczne z ostatnich lat były najbardziej z tego świata.

Choć musi to przyznać, uderzywszy się w piersi, że — jeżeli „jest podobną teraz do ludzi“ — to zawdzięcza to nie sobie, ani — rzecz pewna — nie mężowi; choć przecież powinien dbać o nią i być jej wdzięcznym, iż nie przyprowadza mu rogów, jak „inne“ żony, pomimo, iż on na to zasługuje bardziej, niż inni. A ona żyje jedynie kultem dziecka i ładem życiowym.

— A on jest wględem mnie w nieporządku — roztkliwiała się nad sobą. — Nie będąc ani młodym, ani powabnym, powinien przynajmniej starać się, aby żonie na niczem nie zbywało. Sądzę, że należy mi się za moją wierność przynajmniej trochę atmosfery kulturalnej i estetycznej.

Z tem najwidoczniejszym mężowskim pokrzywdzeniem solidaryzował dokoła niej cały dom, nie wyłączając samego małżonka.

I pani Roma, nie zdając sobie dokładnej sprawy z wyniku tych refleksji — rozkoszowała się jednak w głębi pozą „ofiary“, której losy za jej cnotę nie nie dały za wyjątkiem jedyne go promienia: macierzyństwa.

Niekiedy wpadał jej wprawdzie do głowy ów tryumfalny wykrzyk nieboszczki z powodu życiowej kariery córki: „Gdyby się to stało, oszalałabym chyba ze szczęścia“. Lecz pani Roma kładła to matczyne zniecierpliwienie na karb jej starczego przewidywania rychłej śmierci.

— Bo przecież nie jest się jeszcze starą pan-

na — kłamała sobie teraz pani Roma po kobiece-
mu, nawet we własnej duszy — kiedy ma się
do ślubu, lat osiemnaście. (Choć w dzień ślubu
skończyła już lat dwadzieścia dwa!) Nie jeden
konkurent mógł się jeszcze znaleźć. Nie byłam
przecież pokraką.

Przypomniała sobie z panińskiego karnawału
umizgi jednego z młodych sąsiadów, który ją sta-
le do mazura wybierał. I te miłe liściki, które jej
kuzynek student dorpockiej politechniki stale na
imieniny przysyłał.

W tradycji idealizowanych wspomnień ci dwaj
młodzieńcy przemienili się teraz w pretendenta, w
których ona odrzuciła dla obecnego męża, umięja-
cego już na pamięć tę piosenkę. Choć matka stale
nazywała owe umizgi gruszkami na wierzbie, bo
się już od lat ciągnęły bez rezultatów decyzji.

Lecz najbardziej chlubiła się pani Roma sama
przed sobą swoją cnotą mężatki; i to już zupełnie
słusznie.

Faktem, że pan Witold kochał ją uczuciem
tego rodzaju, jakim nie każda kobieta może po-
szczycić się, że wzbudziła. Był to jeden z owych
poważnych, rzadkich sentymentów, wypełniają-
cych wieczyście całe życie bez zastrzeżeń. Nie
jest to już nawet upór zniecierpliwionej żądz;
lecz kult i pragnienie poświęcenia całego życia.
Uczucie, jakie nie ogarnia nigdy ani donżuanów,
ani lekkoduchów, owych tak sympatycznych do-

brych chłopców, którzy w drobnej monecie wszystkie swoje uczucia ekspansują.

To było uczucie, które, jak spiżowy orzeł — rodzi się jedynie w duszach ludzi silnych, z jednej sztuki, zaciętych, poważnych, dotąd oschłych, posiadających w skarbcu swoich serc cały nienaruszony kapitał uzbieranych bogactw krezusa, uginającego się aż pod zbytym ciężarem bogactwa.

— Przyjdź — zdaje się krzyczeć taki bogacz, chcący uwolnić się od męki — weź to sobie odemnie. Po co mi? Oddam ci wszystko. U stóp złożę. Szczeście leży nie w posiadaniu, lecz w ofiarach. Oddam ci moją dobroć, wszystkie moje ideały, ambicje — tobie jednej, całe życie moje.

A cnota, którą pani Roma tak szczyliła się przed sobą — kosztowała ją mniej, niż jej się samej zdawało. W otoczeniu jej ciotek, kuzynek i przyjaciółek nie było wtedy jakoś przyjemem, aby mieć kochanków. Mężatka, o której twierdzono że „ma gruby romans“ — była u nich na indeksie, jako „kobieta złego prowadzenia“.

Lecz — niezależnie od tego, iż pani Roma przyjmowała bez dźbła wdzięczności składane jej poddańczo u stóp wszystkie plony ciężkiej pracy rozkochanego męża — (bo takie hołdy nie wzruszają nigdy kobiety, która nie kocha) — nie można było nazwać pożycia Szałowskich nie-szczęśliwem.

Pani Roma posiadała od natury charakter ła-

godny, niewybuchowy, równy. I nawet, kiedy mąż w chwilach bolesnych zwątpień co do jej uczuć — wybuchał w bezradnej rozpacz scenami, których treści nie potrafiłby wytłumaczyć — ona zawsze estetyczna, pogodna, ugodowa — znosiła z wyrozumiałością, uniemożliwiając dłuższe małżeńskie kolizje.

Bo w gruncie pani Roma zasmakowała w wygodach swego dostatniego życia: w późnem wstawaniu z łóżka, w wylegiwaniu się na kanapach z romansami Feuilleta, Delpita, Cherbulieza, Gaboriaua i Kocka. Bawiły ją usługi wpatrzonych w nią niewolnic: panny Petroneli „Fräulein“ i dwóch pokojówek.

Złe uświadomiona erotycznie przez niezbyt nęcącego ją małżonka — uważała wogóle, że rozkosze miłości są... przereklamowane.

Być może gdyby pan Witold był młodszym... Lecz takim, jakim był — wołałaby go wprowadzić pod względem towarzyskim, intelektualnym i estetycznym od męża. Lecz znowuż nie o tak wiele...

I kokietowała bardziej pozą swego życiowego niezadowolenia, niż było w istocie. A w gruncie zagustowała w swoim dolce for niente, wśród dostatku, na jakim jej zamłodu zbywało, wśród słońca najrozkoszniejszego na świecie jedynaka i w promieniach miłości tych dwóch mężczyzn, którzy żyli wyłącznie tem, aby chmury z jej pięknego,

choć nieco chłodnego czoła odgadnąć i kafelki z pieca i gwiazdki z nieba u stóp jej składać.

I tylko w wyjątkowo już szczerych rzadkich nocnych refleksjach piękna pani Roma, rozglądając się po swojej wygodnej sypialni — konkludowała z zaciśniętymi ustami, jakby z obawy, aby jaki z nocnych chochlików tego nie usłyszał:

— A może nieboszczka mama miała słuszość? E! — gromiła wnet swoją szczerość, zasypiając — Bo mama była znaną pesymistką. W swojej stałej obawie przyszłości — cieszyła się zawsze wszystkim, co ją spotkało z obawy, że mogło być jeszcze znacznie gorzej.

VI.

Pani Roma spędziła dziś cały dzień w pokoju chorego syna. Nie była to wielka choroba. Szczepiono mu po raz drugi ospę, która się przyjęła. Pani Roma skonstatowała, że Jureczek ma gorączkę i że mundurek szkolny musi go uwierać i powiększać swędzenie. Skorzystała, aby nie posyłać go przez kilka dni do gimnazjum i móżdż rozkoszować się całodziennym jego widokiem.

Jurek siedział w swoim ślicznym kordonkowym łóżku i przyklepał do albumu nowy zbiór bardzo cennych marek pocztowych, który matka mu dziś zakupiła. Fräulein tylko co przyniosła mu w szklance sok z wyciśniętej pomarańczy, a panna

Petronela zameczała go, aby zjadł jeszcze kawałek kurczęcia w potrawce.

Do pokoju wszedł stary Szałowski, w którego oczach miłość ku żonie i synowi borykała zawsze z pasją nawracania ich; aby byli inni, choć kochał ich nad życie takimi, jakimi są. Ten cały jego genre — należało mu przyznać — nie posiadał odrobiny wdzięku, który zmniejszał się jeszcze u niego z latami, wraz z powiększeniem kłopotów i z coraz gorszym stanem serca, chylącego się sklerotycznie ku końcowi.

I dziś (dla płytkich obserwatorów) niechęć błyszczała w jego oczach znacznie wyraźniej od miłości.

— Więc znowuż nie posłałaś, jak prosiłem Jurka do szkoły? Chcecie koniecznie, aby nie dostał promocji.

— Dla mnie jego zdrowie jest ważniejsze od promocji — podkreśliła oziębłość charakteru męża — matka.

— A czy nie można było tego szczepienia ospy odłożyć do wakacji?

— A rzeczywiście! Doskonała pora do ospy, kiedy pakuje się już kufry i ma się wsiadać do wagonu!

— Tatuś myśli — ujmował się zawsze za matką Jurek, wychowany przez matkę w niezbyt wielkim kulcie dla autorytetu ojca (podług zwykłego systemu żon, mszczących się w ten sposób na mę-

żach, za słuszne, lub urojone krzywdy małżeńskie) — że ja nie wolałbym iść do szkoły, niż siedzieć zamknięty w pokoju?

— Wiem doskonale — bąknął opryskliwie stary, maskując zachwyt z powodu dźwięku głosu synowskiego straszynem marsem, z którym z porady diabła uważał za właściwe nie rozstawać się — że nęci cię bardzo szkoła; szczególnie podczas wielkiej pauzy na podwórzu. A zamiast tych głupich marek — zrzędził niemiłe z porady szatańskie — przejrzałbyś lepiej ilustracje Dorego do Guliwera, którego pan Witold wczoraj ci przyniósł.

— Niecierpię Guliwera.

— Dlaczego?

— Bo to wszystko kłamstwo. Na świecie niema krajów karłów, ani olbrzymów.

— Głupi jesteś. Dostałeś książkę — to ją czytaj.

— Nie prosiłem o nią. Może pan Witold ją sobie zabrać.

— Bardzo ładnie wychowujesz swego syna — ujmował się za poradą tychże figlarnych diablów za swym przyjacielem.

— Może i pana Witolda nie cierpisz?

— I pana Witolda.

— Dlaczego?

— Bo Czyżyk nie powinien być łysy — najspokojniej zdecydował z ogromnie komiczną dziecięcą powagą, nie przerywając swego nalepia-

nia marek — Czy widział tatuś kiedy łysego wróbla albo kukułkę, albo innego ptaka?

Pani Roma, jak gdyby ją kto na sto koni wsadził; pochyliła aż oczy z zachwyty nad tym dowcipem. A Fräulein i panna Petronela wtórowały jej, zagryzając usta od śmiechu.

Tylko stary nie przestawał maskować swojej miłości tak zwanemi przekornie w całym domu „zbawiennemi wskazówkami życia“.

— Nie wolno wyrażać się w ten sposób o starszych.

— A czy pan Witold nie jest łysy?

— Jest. Ale tego się nie mówi.

— A mamusia mi mówiła, że tylko kłamać nie wolno. Więc co ja mam mówić? Prawdy — nie wolno, kłamać nie wolno.

— Idjota jesteś — zwabiony dzwonkiem zmierzał ku niecierpliwie wyczekiwanemu w kancelarji interesantowi; lecz w drzwiach z nagłą myślą zawrócił się, badając żonę:

— A czy pamiętałaś posłać po Pawelka, aby dopędził z Jurkiem to wszystko, co zdążyli w szkole przejść przez czas jego nieobecności?

— Jezus Marja! — porozumiewała się ocznie ze swemi frajlinami zniecierpliwiona każdym odezwaniem się męża. — Rzeczywiście! Czekałam jedynie na twoją poradę, bez której wszystko poszło by w domu na opak.

— Nie wiedziałem, że nie wolno mi o nic się

zapytać. — I wnet z obawy, czy nie jest faktycznie dla tych swoich ukochanych zbyt nieznosnym — łagodził sytuację łapówkami: — Co się zaś tyczy wyjazdu matki Pawelka do Szczawnicy, bo ona podobno coraz więcej kaszle — to mam już zapewnioną dla niej redukcję cen kuracji. A na bilet jazdy w obie strony ode mnie dostanie. Może jeszcze będę mógł jej ze sto rubli dołożyć. Naturalnie w formie pożyczki, bo na darowiznę by nie przystała. Wobec tego, że panna Petronela zgodziła się zastępować ją czasowo w czytelnicy — sprawa ta jest już jakby załatwioną. A jeżeli gorączka Jurka nie zmniejszy się do wieczora — dodał na zakończenie — to powiedz lekarzowi, że zapytuję, czy nie należałoby wezwać kogoś na konsultację. Może Chałubińskiego? — zamknął drzwi za sobą.

Pani Roma wzruszyła ramionami.

— Słyszeliście? Raz każe mu pan iść do szkoły, a teraz potrzebny jest znów Chałubiński!

Jurek swoim dziecięcym dźwięcznym, jak cudny dzwonek głosem roześmiał się do rozpuku.

Stary Szałowski, zawiódłszy się na dzwonku, który oczekiwanego gościa nie sprowadził — pogrążył się w bardzo smutnych rozmyślaniach. Czuł się winnym wobec żony. Jej widoczny zły humor i zawód uważał za słuszny. Nie powinien był jej zaślubić. Prawda, że bronił się ongi od tego ostatecznego postanowienia. Lecz — pomimo aż na-

zbyt łatwych konkurów i zachęcania całej jej rodziny — powinien był pamiętać, że jest dla niego za młodą, za piękną i za wytworną. Bo sam nie był ani młodym, ani miłym, ani pociągającym.

Działał bez rozwagi pod afektem. I teraz nie żałł się ani na jej dasy, ani na dziecięce przekomarzania. Czuje się szczęśliwym — kocha ją i uwielbia syna, którego mu dała. Mniejsza, że nie potrafi okazać jej swojej wdzięczności. Brak mu do tego daru konwersacyjnego, humoru i wdzięku towarzyskiego. Takie cukierki uprzyjemniają wprawdzie życie młodej i pięknej kobiecie. Lecz to wszystko jednak — są faramuszeki.

Ale prawdziwą jego tragiedją jest inna zatruta myśl, która mu życie zgangrenowała. Oto on nie jest z nią w porządku. Oszukał ją. Jak ostatni rzezimieszek zerwał bezmyślnie wonny kwiat, który może uschnąć na śmieciach.

Bo tu nie chodzi już o dziecięce grymasiki, dasy i sprzeczki. Tu chodzi o całą przyszłość jej i jej syna, ich syna. Bo w razie jego śmierci — oboje pod płotem zmarnieją.

Na samą myśl siwe włosy na głowie mu powstają; chory dreszcz całe ciało jego przeszywa, a serce, jak buntujący się w klatce ptak piersi mu rozsadza. — Oboje pod płotem! — nie przestaje syczyć mu dusza swoim leitmotiwem we wszystkich tonacjach.

Zrzucił cisnący go kołnierzyk i otworzył okno.

Rzeźenie piersi trochę ucichło. Zaczął rozważać wszystko najskrupulatniej: Przecież żadnych zbytków w domu nie robią. Żona nie uczęszcza na bale; nie spraszają gości. Prawda. Lecz ta podła fabryka nie pokrywała w ostatnich latach tego quasi skromnego domowego budżetu.

Wszystkie zapasy gotówki wyczerpywał do tego stopnia, że przy wypłacie robotników należało już teraz urządzać nie tylko wyprawy po bankach, lecz co gorzej po lichwiarzach.

Oczywiście należało fabrykę rozszerzyć, iść z postępem i nie dać zakasowywać się jakością produkcji wchodzącym w modę nowszym młodym firmom. Przecież nie był jeszcze tak starym. I gdyby tylko znalazł kapitał na remont budynków, na nową instalację, na maszyny elektryczne...

— Bij głową o ścianę, a bez odpowiednich funduszków i bez kredytu muru nie przebijesz.

W ostatnich czasach, jak koniowi, usiłującemu dobiec ostatnim tchem do mety zaświtały mu jakieś nowe nadzieje w jego zmęczonym, starczym mózgu z pasją zwycięstwa à tout prix. Niestety — ~~bardzo~~ **rychło** ze zwykłym czadem zawodu i ryzykownych ofiar nadzieja ta zgasła.

Bo oto nowozałożone na Zjeździe przy samym moście Kierbedzia Wielkie Kąpiele parowe Zdanowicza (owa nikła dziś kamienica wydawała się ongi fenomenalnym gmachem) z ogromnie imponującym wtedy zawieszonym pomostem wejścia

od Zjazdu — traktowała z Szałowskim o stałą roczną dostawę mydła do łaźni i krochmalu do pralni parowej.

W tym celu Szałowski zahazardował się na rujnujący go kredyt lichwiarski w celu renowacji budynków fabrycznych, maszyn i t. d.

Lecz przeciągające się pertraktacje ze Zdaniem przecięła niespodzianie jakaś firma prowincjonalna, która na dogodniejszych warunkach rocznej dostawy mydła podjęła się.

Był to cios dla Szałowskiego bardzo dotkliwy. Lecz naraz nowa nadzieja mu zaświtała. Zaczął traktować z jakimiś zagranicznymi kapitalistami o przerobienie swojej rozszerzonej ostatnim wysiłkiem fabryczki na towarzystwo udziałowe, które spłaciłoby jego część nowo wypuszczonemi akcjami i naznaczyło by go dyrektorem tej znacznie powiększonej fabryki z pensją, tantiemami, z dochodami od akcji i z ewentualną emeryturą dla żony po jego śmierci.

Szałowski myślał o tych projektach całemi dniami i nocami. Nie uziwnego, że w ciągłej burzy tych wewnętrznych niepokojów — stał się towarzysko jeszcze stokroć nieznośniejszym, niż zwykle. Choć w domu jak to zwykle bywa — nie uwzględniono tych łagodzących okoliczności.

— Czy to ja jestem winna — utyskiwała żona — że fabryka nie idzie i że on ma kłopoty? Czego on chce od nas? Trzeba było nie żenić się.

W tej domowej niechęci ku impetykowi i mrukowi nie uwzględniano nawet jego nieuleczalnej ciężkiej choroby, którą lekarze nie chcieli płoszyć żony, niezdającej sobie zupełnie sprawy ze zgrozy sytuacji.

Oczekiwany już od kilku godzin plenipotent „Anglików“, pomimo swojej zapowiedzi, nie zjawiał się. Lecz oto nie solidaryzująca z jego grymasami i z dokuczaniem żonie — panna Petronela wnosi mu do gabinetu list. I wyniosła i zimna wnet znika.

Szałowski z wypiekami na twarzy i z zanikającym oddechem rozdziera drżącymi rękami kopertę, przeświadczony, że wnet wyczyta swój ostateczny wyrok życia, lub śmierci... Nie może czytać... Litery skaczą mu przed oczami... Cóż za głupstwo! Ociera sobie czoło ręką, aby upewnić się, że jest zupełnie przytomny. Usiłuje być spokojnym, aby mózg rozważać każde przeczytane słowo, czy ewentualny ciężar nowych warunków nie będzie ponad jego siły. Lecz słowa listu brzmią kategorycznie. „Na ogólnem zgromadzeniu akcjonariuszów projekt zakupu fabryki został większością kilku głosów przebalatowany“.

— A więc śmierć! Jezus Marja! — rzucił się do drzwi po szklankę wody, lecz czując, że sił mu braknie, począł klaskać w dłonie i uderzać laską w podłogę.

— Ratunku, powietrza! — zdołał ryknąć przy-

biegającej pannie Petroneli i, jak kłoda bezwładnym ciężarem zwałił się na ziemię.

Kiedy po chwili złowiono w przedpokoju lekarza, dążącego z wielkiem przejęciem badać wyniki zaszczepionej ospy Jureczka i osłabione nerwy pięknej pani Romy — „głowa domu“ już ku innym lepszym światom się przeniosła.

Pani Roma jeszcze zanim poznała rozpaczliwy stan majątkowy — odczuła bardzo głęboko śmierć męża. Pojęła nareszcie, że to był ostatecznie ojciec jej ukochanego Jureczka i że za życia męża mogła spać w spokoju o los własny i syna. I że niezdolna do żadnego kroku bez obrony i ramienia karmiciela nie wie, co teraz w życiu uczyni. Zrozumiała, że to jest poprostu tragedja.

— Gdyby nie Jurek — pozostałby mi jedynie kamień do szyi i Wisła. Ale w czym ja Jurkowi mogę być pomocną? — wylewała łzy całemi dniami. — Przecież ja o fabryce nie mam żadnego pojęcia.

Niezdolna do żadnej inicjatywy, do żadnej akcji faktycznie nie miała na świecie nikogo. Ani braci, ani sióstr. A z dalszą wiejską rodziną stosunki były oddawna prawie zerwane. Nie poczuwała się do wdzięczności względem nich za ohydę swoich panięńskich wspomnień.

— I co teraz czynić? — żaliła się bezradnie, przyciskając z całych sił do piersi oszołomionego Jureczka.

Domownicy chodzili koło niej na palcach i mówili szeptem, aby nie zbudzić jej do rzeczywistości, znacznie gorszej jeszcze, niż przewidywała. Bo nie chodziło już teraz o to, kto zajmie się wystaraniem o paszport do projektowanego na przyszły tydzień wyjazdu do wód. Kto ułoży walizki w wagonie, zamówi telegraficznie mieszkanie w hotelu.

Nie chodziło już nawet o to, kto zajmie się fabryką, którą, jak się wkrótce dowiedziała — zabiorą wierzyciele.

Teraz chodzi już po prostu jedynie o chleb codzienny i o dach nad głową dla niej i dla dziecka.

Pan Witold, zajęty formalnościami pogrzebu, wyszukiwaniem miejsca na Powązkach i t. d. — bardzo taktownie nie narzucał się wdowie. Wreszcie — naglony depesзами — w sprawach Towarzystwa „Flamma“ — był zmuszony wyjechać do Petersburga.

Pani Roma w swoim rozgoryczeniu uważała za bardzo naturalny fakt usuwania się przyjaciół w chwilach nieszczęścia. W trakcie tym dowiedziała się też najdokładniej od prokurenta fabryki różnych szczegółów. Zgodnie z decyzją ich długoletniego doradcy prawnego należało ogłosić tak zwaną upadłość; i fabrykę i ogród i dom, nie wyłączając prywatnych mebli, puścić na subhastację.

— A cóż zostanie dla mnie i dla syna? — bała, wachając sole angielskie.

— Są jeszcze niezlikwidowane weksle, różne należności, niezbyt pewne — płatał się wymijająco adwokat — choć i one, o ile licytacja nie pokryje długów, będą należały do masy upadłości.

— Doskonale — zęgnąła go, zwierając się po jego wyjściu pannie Petroneli i Fräulein. — Nie pozostaje mi nic innego, jak otruć zapalkami Jurka i siebie.

Siedziała z załamanemi rękami w buduaru pod palmą — bardzo piękna w czerni swoich zbyt kojących krep od Włódkowskiej. I, rzucając okiem na świeżo przysłany jej ze sklepu nowy kufer podróżny, neseser i pudło do kapeluszy — rzuciła gorzko:

— O! Ironjo życia! Pomyśleć, że jeszcze tydzień temu byłam pewną, że wnet po wyzdrowieniu Jureczka pojedziemy do Gasteinu, ponieważ lekarze uważali, że nieuniknionem dla moich nerwów i dla niego jest pobyt w Salzkamergut. Skończyła się zagranica! Całe życie moje skończyło się. Biedny Jurek-sierota! — rozplakała się.

W pokoju nieoczekiwanie zjawił się pan Witold, tylko co przybyły z Petersburga, z którego, jak na złość nie mógł wydostać się wcześniej, choć dusza do Warszawy mu się rwała. Teraz doszły do jego uszu ostatnie jej słowa skargi. Witowała go z powstrzymywanym z całych sił płaczem, tamowanym ukradkiem mokrą od łez chusteczką.

Była dla niego zimną, rozżaloną, że za mało

okazał jej w nieszczęściu współczucia i że nie powinien był przed samym pogrzebem wyjeżdżać z Warszawy. W swoim rozgoryczeniu nie przedstawiała oskarżać go o egoizm człowieka, unikającego domu przyjaciół z chwilą, kiedy nie jest już w nim „zabawnie“.

A pan Witold, całując na powitanie w rękę — bardzo ceremonjalny i poważny prosił o poufną audjencję. Osowiałe jej duenny, nie pewne teraz własnych losów — opuściły dyskretnie pokój.

— Pani Romo — rozpoczął po ich odejściu pan Witold głosem, nieco tkliwszym — chciałbym pomówić z panią serjo. Umarłych bólem nie wskrzesza się. A żywi muszą żyć — zadecydował bezapelacyjnie.

— Należałoby raczej, jak ongi opuszczone samotne wdowy grzebać żywcem wraz ze zmarłymi mężami — skrzywiła nerwowo usta drgające, gwałtem powstrzymywanemi łzami, które przelewała teraz na skinienie palca od rana do nocy.

Lecz zimny ton mowy pana Witolda wciąż łagodniał: Oto począł zapewniać ją, że grzeszy, uważając się za opuszczoną przez wszystkich i zupełnie samotną na świecie. Nie powinno się nigdy tracić wiary i nadziei w ludzi. On czcił i kochał nieboszczyka i nie dopuści nigdy, aby za jego życia działa się jaka drzywda wdowie i sierocie. Domyśla się, że ona nie przyjmie od nikogo żadnej

jałmużny i że chodzi jedynie o wynalezienie jakiegś zarobkowej pracy.

— Jakiej pracy? Przecież pan wie doskonale, że ja do niczego nie jestem zdolną. Niczego mnie nie uczyli; nie nie umiem. Potrafię tylko wydawać pieniądze — znów się rozplakała.

Pan Witold począł przekonywać ją, że najgorszem jest zwątpienie we własne siły. On sam był rzucony dzieckiem na bruk jedynie z dziesięcioma palcami u rąk — a jednak siłą i wolą zdobył sobie byt i stanowisko. Pierwszym warunkiem jest wiara w siebie. A do tego niezbędnem jest zdrowie. W obecnym nastroju — rzecz pewna — nic by zdziałać nie mogła. Należy wyleczyć się z ran. Dopiero w zdrowem ciele zrodzi się zdrowa dusza. Dlatego też pani Roma musi — zgodnie z postanowieniem lekarzy i z wolą nieboszczyka (odpowiednio jego postanowieniom z przed miesiąca) — wyjechać niezwłocznie wraz z Jurkiem do Gastejnu. A dopiero po dwumiesięcznym pobycie w Salzkamergut — pomyśli się o jej przyszłości. Teraz musi przyjąć od niego pożyczkę na tę podróż, którą spłaci następnie w lepszej sytuacji.

— W jakiej lepszej sytuacji?

Myślał o tem długo i ot co postanowił: Wyzna-
czył jej posadę w swoim biurze Towarzystwa „Flamma“. Nie wie jeszcze dokładnie, jaką powierzy jej czynność: inspektora, a może kasjera? Zainstalować się może wraz z Jurkiem w samym

biurze, w którem właśnie jest kilka zupełnie wolnych pokoiów, ponieważ on sam zamierza mieszkać w hotelu. Choć proponują mu także bardzo nęcącą garsonierę w pałacyku w Alejach Ujazdowskich.

— Co się tyczy mojej osoby i planów willegiaty tegorocznej — to niestety z powodu nawału zajęć mój urlop jest wykluczony. Będę musiał pozostać tego lata przez cały sezon w syrenim grodzie.

Wdowa wyciągnęła do niego rękę. Pojęła, że nie czas na kaprysy, odmowy i skrupuły, które mogłyby usunąć jedyną deskę zbawienia i bardzo *contre coeur* godziła się na te łaski obcego bądź co bądź człowieka.

— Dziękuję za słowa otuchy. Dziękuję za wszystko; będę z całych sił starała się nie być synekurzystką, ani ciężarem biura. Może Bóg zesła mi zdolność do pracy. Chodzi mi jedynie o wychowanie syna.

Wobec tego, że licytacja wszystkich ruchomości miała odbyć się już w przyszłym tygodniu, pan Witold postanowił, aby wdowa dla oszczędzenia sobie tego tragicznego widoku — wyjechała wraz z synem w ciągu trzech dni. Usłuchała jego nakazu. Zdażyła zaledwie zakupić jeszcze jeden kapelusz krepowy, czarną suknię podróżną i jedyną żalobną letnią. I wyjechała z synem dla oszczęd-

ności bez Fräulein i bez panny Petroneli drugą klasą do Gastejnu.

Zresztą wszystko ułożyło się według wskazań pana Witolda, który nie mógł wprowadzić odwieść jej nawet do granicy, mimo znanej mu dobrze jej niezaradności życiowej; lecz pisywał do niej często; a w końcu — mimo braku urlopu — korzystając z listownie wyrażanej mu chęci widzenia „znajomej żywej duszy w swoim osamotnieniu“ — odwiedził ją w Interlacken. I cały tydzień z niepokieszoną wdową, unikającą wszelkich towarzysztw — spędził.

Wszystkie projekty jego urzeczywistniały się. Pani Roma powróciła wreszcie do Warszawy. Zerwała na koniec wszystkie węzły łączące ją z ulicą Inflancką, za którą — co prawda nigdy nie przepadała; której nazwy nawet wstydziła się przed znajomymi.

Zajmowała teraz pokoje, graniczące z biurem Towarzystwa „Flama“, przy ulicy Królewskiej, w sąsiedztwie ogrodu Saskiego. W dawnych najśmielszych marzeniach nie roiła o sympatyczniejszej dzielnicy.

Codziennie od godziny 9-tej rano piękna w swoich wdowich szatach zasiadała przy biurku, rozkoszując się uznaniem całego personelu, który prześcigał się wzajemnie w okazywaniu jej uprzejmości i drobnych usług.

Aż ją zawstydzały te dyskretnie ich korekty

wszystkich pomyłek, jakie popełniała i niezmordowane informacje, które nie bardzo jej mózgu się trzymały. I zadziwiało ją, czem potrafiła tak zjednać sobie tych wszystkich mentorów, którzy bez dźbła zawiści zawodowej okazywali jej swoje usługi, pomimo, iż wynagrodzenie ich było mniejszem od pensji nowomianowanej urzędniczki. Kładła to na karb swojej rasowej kultury i ułożenia, którego jedynie ś. p. mąż jej nie uwzględniał.

I kładąc się wieczorem do łóżka w najlepszym nastroju — myślała o nieboszczyku. I, składając, jak do modlitwy ręce — zwierzała mu się, jakby w poufnej rozmowie:

— Jestem przekonana, że to jedynie twojemu błogosławieństwu zawdzięczam ten cały los mój i Jurka. A jednak nie sądziłeś nigdy — przyznaj — że potrafię tak sama dać sobie rady na świecie. Prawda? Byłeś zawsze pewny, że zmarnięję bez ciebie. Widzisz, nie jestem ani taką niezdarą, ani taką kapryśnicą, jak ci się wydawało. Byłeś zawsze najzaczniejszym człowiekiem pod słońcem. Lecz sam musisz to przyznać, że bywałeś w pożyciu nieraz bardzo przykry, choć sam wiesz najlepiej, że nie czułam z tego powodu żadnego żalu do ciebie.

I zwracała się myślą do pana Witolda:

— Jakieś niebo mi go zesłało — uśmiechała się z ulgą na samo jego wspomnienie. To jakiś wyjątkowy człowiek z tysiąca i jednej nocy. Prawy,

bogaty i silny. Nie pozostawił by swego dziecka na opiece boskiej.

Uważała teraz, że pan Witold jest bez zarzutu. Bo jeżeli dawniej raziły ją nieraz jego drugorzędne dowcipy, zbyt głośny śmiech i pyszałkowatość towarzyskiego nowicjusza — to teraz w biurze zupełnie inny, niż w salonie, w aureoli pracy na własnym terenie — imponował jej, jako zwierzchnik, przed którego wiedzą wszyscy głowy schylają. Dopiero tu zrozumiała, jak mógł zrobić w życiu karierę dzięki swojej sile i autorytetowi, którym sugiestjonuje wszystkich dokoła. Domyśliła się wreszcie, że to i jego taktowi i jego sugiestji zawdzięcza ową uprzejmość biurowych kolegów.

— Cud z bajki! Wielki los na loterji — zasypiała pokrzepiona najlepszymi nadziejami przyszłości własnej i Jureczka.

VII.

— „Niedziela. Uliczka na prawo, schodki na lewo!”

Pozostawiony w ciągu tego opowiadania ciągnący za porcelanowy dzwonek Pawełek wchodzi otworzoną mu wreszcie furtką pod ukończony spokojny dach swego przyjaciela. Był to właśnie ów dzień, który miał stać się epokowym etapem nie tylko życia Szałowskich, lecz i Fawełka. Choć pa-

miętny ten dzionek zapowiadał się od rana (jak zwykle w takich razach się dzieje) najprzeciętniejszym, niby wszystkie inne. A o śmierci starego Szałowskiego jeszcze dotąd nikomu się nie śniło.

Wprowadzono Pawełka do dużej pięknej jasnej sypialni Jureczka, który zdecydował się wreszcie pić w łóżku kakao, tylko co przyniesione mu przez pannę Petronelę, błagającą go:

— Proszę wypić to z miłości dla mamusi. Jureczek nie jeszcze nie jadł.

— Nie prawda — kaprysił chory. — Jadłem i kurę i jajka i mleko i buljon. A jak wypiję te wszystkie kakaa, to znowuż panna Petronela mi coś przyniesie. Tak zawsze.

— Ale nawet z miłości dla mamusi nie chcesz? — kokietowała go matka.

— To niech panna Petronela da mi słowo — doszedł wreszcie do skutku układ — że jak wypiję kakao, już mnie niczem innem męczyć nie będzie.

— I cóż panie Pawełku — badała pani Roma — słyhać w szkole? Czy macie dużo zadanych na jutro lekcji?

— Nie, proszę pani. Geografji dziś nie było, bo Jakimow nie przyszedł. Z łaciny kawałek Korneljusa Neposa, a z algiebry — powtórzenie. Tylko Iwanow, który listy nigdy nie czyta — wyrwał do katedry Jurka.

— Ha, ha! — uradował się pacjent. — A to mu się udało! Małpa.

— Pan Pawelek wypije teraz z Jureczkiem kakao; a po podwieczorku zajmiecie się trochę łaciną. A następnie obejrzyście sobie nowego Guliwera.

— Obejdzie się bez tego głupiego Guliwera. Zagramy sobie lepiej w nowy „Dzwonek i młotek“, który otrzymałem wczoraj od tatusia.

— Ale, ale. Jest dobra nowina dla pana Pawelka — poczęła informować kolegę syna pani Roma — w załatwionej już przez męża kwestji ulgowego biletu kuracyjnego w Szczawnicy. — Proszę też mamusię zawiadomić, że i bezpłatne bilety kolejowe i pewien fundusz na jej pobyt u wód wynajdzie się.

Pani Roma nie знаła wprowadzić osobiście pani Szyllertowej. Dzielił ją mur chiński, jaki oddziela ludzi, zamieszkujących jeden pokój od posiadających salony. Lecz obie matki łączyła nie kultu uczuć macierzyńskich, jakie panoszyły się w ich sercach, ku własnym synom intensywniej, niż u przeciętnie kochających matek. Nie znając się osobiście — odczuwały intuicyjnie to wspólne powinowactwo.

Z sąsiedniego pokoju doleciało owe wzmiankowane już poprzednio klaskanie w ręce i rozpaczliwe uderzania laską w podłogę. Wreszcie wpadł gromem łoskot przewróconego krzesła i krzyk: „Ratunku, powietrza!“

— Jezus Marja! — krzyczała przerażona panna

Petronela, a za nią w ciągu sekundy popłynął hałas służby, zamęt bieganina...

— Co się stało? — zerwała się z przecuciem grozy pani Roma i z ostatniem poleceniem: „Proszę zabawić tu Jureczka“ — wybiegła, zamykając drzwi za sobą.

— Tylko, aby nie Guliwerem — upierał się przy swoim proteście Jurek, rozpoczynając z Pawełkiem swoją ulubioną grę „Młotek i dzwonek“. Przyczem wyniośle zawyrokował:

— Tatuś znowuż zapewne coś w swoim pokoju przewrócił. Zawsze tak. A gdybym ja to uczynił...

Lecz zabawę ich przerwała wkrótce panna Petronela nagłą decyzją, niezbyt zręcznie maskując grozę sytuacji:

— Z powodu nagłej choroby tatusia Jureczek nie będzie uczył się dziś zadanych na jutro lekcji.

— Kiedy my już nie uczymy się. Tylko oglądamy malowanki i bawimy się — bronił swego kolegę Pawełek — w Młotek i dzwonek.

— Nie, nie — zadecydowała bardzo stanowczo panna Petronela. — Ani uczyć się dziś nie można, ani bawić. Niech pan Pawełek pójdzie już do swej mamusi i powie, że tatuś Jureczka jest bardzo chory. A pana Pawełka zawiadomimy, kiedy tu można będzie już przychodzić. Bo gdzie kucharzy sześć — tam i bez dziury w moście się obejdzie.

— Ani bawić się nie można, ani uczyć. Więc cóż ja mam właściwie robić? — żalił się płaczli-

wie krzywdzony pacjent — I skąd panna Petronela tych sześciu kucharzy wydostała? A do tego dziurę w moście?

Pawełek w przeczuciu jakichś nieokreślonych kataklizmów, znacznie poważniejszych, niż się jego przyjacielowi wydawało — miał ogromną ochotę bronić go w nieszczęściu. Lecz wyprowadzony przez bardzo stanowczą dziś pannę Petronelę boczną furtką ogrodową — poczał rozglądać się z badawczem zaniepokojeniem po podwórzu.

Uderzył go odrazu niezwykle tu ruch: ugrupowania się zaciekawionych twarzy, tajemnicze szepty, bieganina fal, coraz szybszych, głośniejszych... Wreszcie zdecydowany już ciężki huk:

— Wiecie, gospodarz już umarł.

Pawełek, jak raniony ptak, biegł oszołomiony tą niespodziewaną wieścią do swojej matki, jako do jedynej ostoji, po radykalne lekarstwo na wszystkie nieszczęścia dziecięcego życia. Nie zapomniał też i o poruczonem mu zleceniu poinformowania jej w pomyślnej kwestji dojrzewających marzeń szczawnickich.

— Bubuśka! — konkludował tragicznie wyśpiewaną już odyseję:

— A co teraz będzie i z twoją podróżą i z nami i z Jurkiem? — Nie tracił jeszcze nadziei, że matki posiadają przecież skuteczne rady na wszystko.

— Nie wiem, moje Pawłatko — odrzekła bezsilnie. — To wszystko — kara boża za niewiedome nam grzechy. Wszyscy muszą umierać — pocieszała syna, przejęta jego niedziecięcą wrażliwością, z jaką odczuwał gromy ślepych przeznaczeń. Bo Pawełek nagle pobladł, z dojrzałym smutkiem w oczach — oplakiwał nie tylko zmarłego swego dobrodzieja, lecz kochał nieboszczyka, który był przecież ojcem jego przyjaciela.

— A teraz kiedy w dodatku jeszcze i ja umrę... — zadrżała Szylertowa.

Nie wątpiła już, że znajduje się w ostatniej fazie suchot. Bo skądżeż by wypływała te ciągle potoki krwi, jeżeli nie ze zranionych płuc? Zresztą wyczytywała ten swój bezapelacyjny wyrok i z mowy lekarza, niesilącego się na przesadną subtelność wobec ubogiego pacjenta i z zupełnie już zrezygnowanych twarzy całego otoczenia, zdającego się konkludować filozoficznie:

— Trudno. Co ma się stać, nie odstanie się. Raz kozie śmierć.

Ten niespodziewany nagły zgon Szałowskiego powalił ją, jak obuchem. Poza jej spełzłym ideałem cudotwórczej Szczawnicy — Szałowscy byli w jej pojęciu zesłani Pawelkowi przez Boga, który sierot nigdy nie opuszcza.

Oddawna myślała o swojej rychłej śmierci — przeświadczona, że kiedy oczy jej już na zawsze się zamkną — osierocony Pawełek nie zostanie

już teraz pod płotem, bo Szałowski do tego nie dopuści.

Teraz po świeżym ataku, w którym zarumieniła krwią całą miskę — zwała się bezsilna na łóżko, jak kłoda.

Pawełek pobiegł do lekarza, który, zjawiwszy się nazajutrz, począł go badać, czy „kawaler“ nie posiada jakich dorosłych opiekunów, lub choćby jakiej dalszej rodziny? Zapowiedział mu przytem, że nie będzie mógł odtąd tak często odwiedzać chorej, ponieważ czasu niema. Zresztą lekarstw bezskutecznych zapisywać nie warto, ponieważ w domu ubogich pieniądze na co innego się przydadzą.

Z powodu braku kuchni i służącej — poradził Pawełkowi, aby karmił matkę zsiadłem mlekiem i jajkami. A na uspokojenie kaszlu zalecił emską wodę z ową serwatką, również cudotwórczą w ówczesnych pojęciach medycznych, jak zapisywane obecnie najnowsze środki. Zalecił też częste wietrzenie tej ciemnej części pokoju poza książkowemi sklepowemi szafami, w której chora stale przebywa. I nie pozostawianie jej nigdy samej w pokoju, a jedynie w towarzystwie stróżki, lub sąsiadki.

— Ja od mamusi łóżka nigdy nie odchodzę; chyba kiedy idę rano po mleko; a potem sam gotuję jajka na maszynce.

— A czem kawaler sam się żywi?

— O! Mamusia bardzo wiele pozostawia mi i ze swego mleka i chleba.

— A czy kawaler nie uczęszcza do szkoły?

— Przecież mamy teraz wakacje.

Lecz przeciągły *din, din* przy otwierających się schodkach księgarenki — przerwał konferencję. Pan doktor wszedł do swojej karety, a Pawełek wdrapywał się po drabinie, znosząc abonentom za ich miedziaki żadaną Rubinową Cysterne Boisgobey'a i otłuszczoną Izabelę, czyli Tajemnice dworu madryckiego — Borna.

A za parawanikiem, wstrzymując jęki rozpacz, dogorywała na śmiertelnym tapczanie jego matka. Nie o ból agonji jej chodziło; nie o płomyk słońca, które gasło w jej oczach; nie o łyk powietrza, którego jej piersi łaknęły. Lecz męką nad mękami była jedyna szarpiąca ją do krwi myśl:

— Co się stanie po jej śmierci z nim, sierotą?

— Co on uczyni, gdzie się obróci? Moje pisklę. Moje Pawłatko, moja okruszynka! Mój robak. Gołąb mój biały! Na świecie wichry, zawieja. A on sam jeden, dziecina, sierota, który nikogo nie obchodzi, którego poza nią nikt nie kocha. Bo nikt go nigdy tak, jak ja nie pozna. Bo nikt nie będzie ciekawy zbliżyć się do niego i zajrzeć w głąb jego duszy. Wszyscy będą koło niego przechodzili. I nikt już w życiu nie nazwie go Pawłatkiem, okruszynką, pisklęciem.

Głową, ciężką, jak ołów — wgłębiła się w swoje cienkie poduszki i martwiejącem okiem rozpaczliwie dokoła się rozglądała — coraz bardziej woskowa, coraz bardziej nie z tego świata.

Dokoła niej czerwono-nosa bardzo zaniedbana stróżka pani Łukaszowa, która śród wolnych chwil niekiedy za złotówkę im usługiwała — usiłowała zabawiać chorą — swoją konwersacją:

Widzi paniusia, jest tak. Od swego przeznaczenia nikt się nie uchyli. Ale rezon zawsze zda się. Na ten przykład mieszka ci na Bonifraterskiej kobieta, która posiada zioła. Kiedy tylko ktoś tych leków zażyje i bez oglądania się poza siebie Zdrowaśkę odmówi — choróbsko w mig znika. Sama taką chorą na własne oczy widziałam. Jak Boga pragnę przy skonaniu — prawdę mówię. A pan Pawełek, gdyby nie był takim za pozwoleniem chuchrem — to mogłabym zarekomendować go swemu szwagrowi, który wziął by go p o t e m do terminu.

— Proszę odejść, proszę już odejść — jęknęła błagająco umierająca.

Pani Łukaszowa, urażona jej brakiem serca — odeszła z godnością do swojej bramy.

A chora zamierającym głosem zawodziła wciąż swoje:

— Pawłatko, drobiazg mój, okruszynka, pisklę, robak mój jedyny, gołąb...

Pawełek, pozbywszy się ostatniego gościa

w księgarence — zasiadł u łóża matki i gładził zwolna swoją małą dziecącą ręką jej czoło, wilgotne od męki kaszlu i siwe rzadkie włosy; a drugiej jego dłoni z kobiecą iście delikatnością odczuwającej bóle — umierająca nie wypuszczała ze swego uścisku. I, delektując się balsamicznym dźwiękiem dzieciecego głosu — nie przestawała napierać się, jak rozkapryszona kochanka;

— Mów, mów jeszcze, Pawlutas. Mów! Jakto mówiła babcia o pensji pani Konradi?

I Pawełek, jakby przeczuwał, że tej rozkoszy swoją mową nie sprawi już nikomu w życiu, że wraz z matką ułożą się w grobie te wszystkie tematy, zdarzenia, legiendy, specjalne dowcipy i zwroty mowy, które jedynie ich dwoje zajmowało i rozumiało, że zaginą bezpowrotnie te odnawiane wciąż tradycyjne ogniwa wspólnych wspomnień domowych i dzieciecech przeżyć — wydestawiał niezmordowanie z mózgu, jak z bezdennej puszki Pandory;

— A ja byłem jeszcze wtedy małą — pieścił się jak dziewczyna, odgađując z wrodzoną mu kobiecą delikatnością, iż sprawa tem rozkosz umierającej. — A ty, macek, byłeś w ogrodzie Krasińskich. Orkiestra grała. I doszła do nas taka siwa d a m m a pani Kraków i zapytała, kto ja byłem. A roztrzepany macek nie odpowiedział: To mój syn. A przez pomyłkę po-

wiedział: To Pawłatko. A za to „dwa czasy w karcierie“ — naśladował gimnazjalnego belfra.

— Mów, mów — rzerzała coraz ciszej. A z zamierających jej sinych już warg wybiegała coraz częściej ostatnia skarga: Mój gołąbek biały. A dookoła niego nikt...

— Nikt, nikt — płynęła ta coraz cichsza jej skarga, przemieniając się wśród rozlewnej ciszy w coraz mniej zrozumiałe kwilenie ptaka: Ni, ni, ni...

I Pawełek, cały pochłonięty pielegnowaniem chorej, bieganiną do sklepików i do apteki, przyrządzaniem mleka i jajek, a zarazem ekspedjowaniem kapryśnych abonentek czytelní — zapomniał w swojej nadludzkiej ekspansji zajęć trosk i bieganińy o „uliczce na prawo i schodkach na lewo“, o Jurku i o śmierci starego Szałowskiego.

Padającemu kamieniem na nocne posłanie — wpadała wprawdzie wśród ciężkiego przerywanego snu częsta refleksja o tragedji ulicy Inflanckiej. Lecz przecież kazano mu odejść i powrócić dopiero po ich zawiadomieniu, z którego i tak nie wie, jak wobec teraźniejszych zadań — mógłby korzystać. W każdym razie należało być posłusznym i czekać cierpliwie na ich wezwanie. I ta cała tragedia przyjaciela zmaląła mu jakoś w jego wyobraźni, zmęczonej bieżącemi niezwyklei wydarzeniami, w mglistych przeczuciach, że teraz wszystko w ogóle dokoła się zwali.

— A co potem będzie — niewiadomo — chował zmęczoną głowę pod koldrę, jakby przed zawisłym nad nim mieczem Demoklesa.

Stróżka Łukaszowa zawezwała księdza. Chora przyjęła świętą komunję. Kredowo biała jej twarz wypogodziła się. Troski z czoła i z zaniepokojonych oczu znikły. Przestała już kłopotać się o przyszłe losy syna. Wydawały się jej już teraz zbyt lilipuciami w porównaniu z drogą, która ją czekała.

Przecież i on za nią podąży. Ich rozstanie jest tylko zwłoką; a całe życie — etapem. I z egoizmem umierających, nie puszczała dla osłody ostatnich chwil więzienia — ze swoich dłoni ręki Pawelka, który całymi nocami musiał przesuwac jej, niby w latarni czarnoksięskiej wypełzłe obrazy wspomnień, cały skrót doczesnej tułaczki, wyśpiwując ptasim głosikiem:

— A Jurek mi na to: Co? Nie jadłeś nigdy sarniny. A ja niecierpię tych ciągłych indyków, a przepadam za razowym chlebem, który jadłem tylko raz w życiu w mleczarni. Doskonale sobie, prawda? Ty, paskudny matek, czemu nie odpowiedziałeś. Czy znów zasnąłeś, ty śpiochu?

Począł naraz z jakimś niewyrozumowanym niepokojem wpatrywać się w jej dziwnie zapadłe oczy, w usta otwarte i w całą postać kamiennie nieruchomą. Przytem ta głowa, tak ciężko wtło-

czona w poduszki i to zimne, jak lód czoło i ręce z sinemi paznokciami...

Pobiegł do stróżki — wystraszony, sam nie wiedział dlaczego.

— Patrzcie, pani Łukaszowo, mamusia tak dziwnie jakoś zasnęła. Nie można jej obudzić. Może zemdląła?

— Nie zasnęła i nie zemdląła, niebogo; jeno umarła — otarła czerwony nos brudnym fartuchem pani Łukaszowa.

— To ja pobiegnę zaraz po doktora...

— Doktor już nie poradzi, nieboraku. Jej potrzebna już teraz tylko trumna, jak się patrzy.

— Trumna, w którą ułożą mamcię do ziemi? A on sam jeden ma tu pozostać bez niej? I nigdy już jej nie zobaczy, nie usłyszy jej głosu, nie uczuje dotknięcia jej dłoni, ani pocałunków na swoich ustach? Nie, nie, nie puści jej.

— Nie, nie, nie! — zaprotestował w buncie przeciwko brutalności tego okrutnego wyroku i rzucił się z pisklącym jękiem na jej posłanie. I całując jej nogi, zawodził ze skomleniem ranionego śmiertelnie psiaka:

— Matek, mój matek! — jak gdyby to od niej zależało zmartwychwstanie — Bubuśka!

Z wielkim trudem udało się pani Łukaszowej i kilku zgromadzonym podwórzowym kumoszkom oderwać go od łóżka zmarłej.

Ułożyły go na kanapie, otuliły kołdrą, pod

którą, jęcząc coraz ciszej, zziębnięty i zmęczony kamiennym snem zasnął.

Pani Łukaszowa, przejęta bardzo pierwszą rolą, jaką tu grała, rajcowała z kumoszkami i naradzała się. Cichutko, aby nie zbudzić sieroty, pięknie przystroiły nieboszczkę w nowiutkie pantofle (w używanych trzewikach — kłaść do trumny — niewypada). Do rąk w białych rękawiczkach — wetchnęły krzyżyk drewniany. A sklepik zaryglowano, umieszczając na drzwiach mozolnie wykalgigrafowany przez sąsiada tapicera napis z niezbyt wieloma gramatycznymi błędami:

„Z powodu śmierci właścicielki — księgarnia zamknięta“.

Zebrano już składkę na trumnę i na pogrzeb z zapewnieniem, że po sprzedaży czytelnicy pieniądze się zwróci. Bo już zgłaszał się antykwarz ze Świętojerskiej ulicy. Po dzieciaka może ktoś się zgłosi. A nie — to odda się go w braku jakiegokolwiek krewnych do terminu, lub do schroniska dla sierot.

Pawełek obudził się. Na łóżku wśród bieli świeżo uściłanych poduszek — leżał trup jakiejś starej kobiety. Ten trup o obcym wyrazie twarzy, o obcym marmurowym bezwładzie rąk w nieznanych mu białych rękawiczkach — był takim samym trupem, jak były wszystkie inne trupy. A gdzie podział się „matek, Bubuśka?“ Dotknął się wargami czoła, zimnego, jak lód, lub z kamienia. Ro-

zejrzał się z najwyższem przerażeniem dokoła tych obcych brzydkich kobiet, o wyrazie makbetowskich wiedźm, na których ciemnota i zła dola wyryły swój stygmat oschłości, egoizmu i złości...

Jakaś panika go ogarnęła. Być samiuteńkim wśród tych ulicznych fal wielkiego miasta, które poza szklannemi drzwiami sklepiu groźnym oceanem otaczał ich własną cichą wysepkę szczęścia Wyspa zalana!

—Uklękni przed łóżkiem matki i pomódl się pięknie — uczyła go pani Łukaszowa.

Spełnił machinalnie jej rozkaz. I wnet, zerwawszy się z kolan, biegł instynktownie bez czapki na ulicę Inflancką. W otwartem na oścież zmienionem do niepoznania mieszkaniu z podziurawionemi nagiemi ścianami, z oknami bez firanek — pakowała panna Petronela wśród skrzyń i kufrów najulubieńsze meble, wykupione z licytacji przez pana Witolda do przyszłego trzypokojowego mieszkania pani Romy.

Pawełek, nie ogarniając wzrokiem obcych twarzy, zwrócił się wprost do panny Petroneli:

— Moja mamusia umarła.

— Patrzcie państwo! I kiedyż to się stało?

— W tej chwili, proszę pani. Nie, nie. Już przed godziną.

— A kiedyż pogrzeb?

—Niewiem — jęknął złamanym głosem dojrzałego bólem człowieka.

— A kto się teraz panem Pawełkiem zajmuje?

— Nikt.

— Jako nikt?

— Nikt. Bo tam jest tylko stróżka pani Łukaszowa i żona tapicera, której nie znaliśmy wcale.

— To one mają zająć się pogrzebem? A z rodziny, ze znajomych niema nikogo?

— Kiedy my nie mamy ani rodziny, ani znajomych — tulił się do niej z instynktem małego psiaka, pragnącego, aby nie wyrzucano go z pod obcego dachu.

— Ani psa z kulawym nosem. Słyszane to brewerje? — zwróciła się do obecnych. — Ależ ja muszę iść z tym chudzielem, który ma nogi, cienkie, jak wykałaczkę z gęsiej skórki, a piersi wązkie, jak comber indyka — hazardowała się ze wzruszenia na plastykę z Tworek. — Trzeba będzie tam coś zaradzić — zadecydowała, wkładając dolman, czy też beduinę i zawiązując pod szyję wstążki włożonego bez lustra kapelusza.

— Idziemy już — zwróciła się do Pawełka. — Czytelnie się zamknie, a Pawełka wraz z kuferkiem i pościelą przeprowadzimy tu do naszego mieszkania, w którym pozostajemy jeszcze cały tydzień. W ciągu tego czasu coś się ułoży.

Ogromnie przejęta własną dobrocią zaawansowała się nawet wobec wszystkich w gotowości udzielania zwłokom nieboszczki czasowej gościny (aż do dorobku Pawełka) we własnych gro-

bach rodzinnych, któremi ogromnie się szczyciła. Nie była bez paranteli. A jakże! Wszyscy na pamięć już wiedzieli, że przyrodni brat panny Petroneli zamożny ongi rzeźnik posiadał na ulicy Piekarskiej własną wędliniarnię we własnej kamienicy i własny rodzinny grób na Powązkach! Rzecz prosta — nie był on żadnym dorobkiewiczem. Lecz, jak wszyscy u nas — należał do bardzo starej rodziny, której dziedziczny majątek ziemski (zapewne na księżycu) skonfiskowano podczas powstania. I panna Petronela, choć prawie analfabetka, która nigdy nawet Kurjerka nie czytywała — mimo swojej karykaturalnej kultury i straszego dyletantyzmu w swoim zawodzie bardzo miernej gospodyni i jeszcze gorszej szwaczki — szczyciła się wiecznie swoim herbem, jako wnuczka b. oficera b. wojsk polskich i córka byłego marynotczyka. A jakże!

Pawełek, usłyszawszy o tym obcym grobie, w którym obcy ludzie mają tam na zawsze zostawić bubuszkę, wyprowadzając ją z ich ciepłego raiku za sklepikiem — uczuł w piersiach parzenie ukropu, jak gdyby ktoś wlał mu łyżkę roztopionego ołowiu do piersi.

— W moim grobie ją się ułoży — powtórnie zdecydowała panna Petronela, powstając z kolan od łoża za ladą sklepową, na którym spoczywała nieboszczka.

— Nie, nie — zaprotestował po raz pierwszy

po męsku Pawełek. — Nigdy. Mamusia musi leżeć w swoim własnym grobie — załkał naraz niewyrażonym bólem, silniejszym od niego, dotąd mu nieznanym, jakgdyby w piersiach coś mu się zerwało. Bo doznał dotychczas niesprawiedliwości prześladowań jedynie ze strony Moskali: Nic dziwnego w niewoli! Lecz teraz to była już krzywda wyższych wyroków. Dlaczego?

Zawył, rozglądając się dokoła pustki zebranego obcego tłumu swoim sierocym wzrokiem zwierzęcia, oszołomionego morderczym obuchem.

I zmęczony bezsennemi nocami u łóża chorej i przeżytemi tytanicznemi wrażeniami — przymknął oczy i, jak kreda biały — runął nieoczekiwanie na podłogę.

Z trudem ocucili go octem i zimnemi okładami.

— Taki dzieciak, a już mdleje! Pierwszy raz to widzę — dziwiła się panna Petronela. — Jak deus ex machina!

Przyszedłszy do przytomności, Pawełek ze zwykłym odruchem organizmu, upierającego się instynktownie o życie — chwycił się ostatniej deski zbawienia:

— A gdzie jest Jurek i jego mamusia? — bał, przekonany, że przyjaciel wyjechał na spacer, na miasto.

— Jureczek? Pisz na Berlin! To Pawełek nie wie, że on już od tygodnia bawi ze swoją mamu-

się za granicą. A wróci do Warszawy dopiero po skończonych wakacjach.

— Za dwa miesiące? — przeraził się znowuż swoją pustką, która jednak łez mu już nie wyciskała, jeno na duszy ciężką chmurą osiadła. — Ale ja mojej mamusi zamkniętej samej tu w mieszkaniu nie pozostawię — sprzeciwił się projektowanym przez pannę Petronelę jego przenosinom na Inflancką.

— Ależ twoja mamusia także tu nie pozostanie. Odprowadzimy ją dziś do kościoła.

— Do kościoła? — zadrżała mu drobnemi falami broda. A z oczu potokiem popłynęły powstrzymywane pierwsze cichutkie łzy, jak groch — grube, jak piołun gorzkie — łzy dorosłego człowieka.

Panna Petronela gładziła go pocziwie po głowie.

— Cicho, dziecko, cicho. Wola boża. I Jurek przecież ojca utracił.

— Tak. Ale on ma swoją mamusię.

Kiedy Pawełek ujrzał matkę, ułożoną już wśród świec i skromnych kwiatów na katafalku kościelnej kaplicy i przyjrzał się uważnie jej spokojnej, nadziejsko wypogodzonej twarzy, podobnej do wizji pobożnych obrazków, wyrosłej już znacznie ponad nędzę czytelnia na Lesznie, ponad środowisko pani Łukaszowej i jej przyjaciółek — jakby jeden z kamieni spadł mu z serca.

Uspokoila go myśl, że jednak — niezależnie od niepewności i ciężkiej doli jego przyszłych losów — przynajmniej bubuska ma już spokój. Przynajmniej ciężka ziemską krzywda już się jej nie dzieje.

Tegoż dnia zjawił się na ulicy Inflanckiej pan Witold, pod którego egidą zamykało się wszystkie rachunki dawnego kursu życia pani Romy. Panna Petronela wtajemniczała go stale we wszystko, co w domu zaszło. Informowała go też, co do losów Pawelka, chwając się, że nie straciła czasu, że „per pedes mobile biegała od Janasza do Kalchasa“ i że dzięki jej — wszystko odbyło się „komilfo“. Odwiedziła też w sprawie Pawelka swoją siostrzenicę, właścicielkę pralni na Kruczej. Siostrzenica ta posiada syna, któremu zdałby się korepetytor dla przygotowania go do gimnazjum.

Otóż Panna Petronela zaproponowała jej Pawelka, który mógłby u siostrzenicy zamieszkać, gdyby ktoś inny zgodził się dopłacać jej choćby dziesięć rubli miesięcznie. Sprawiałaby mu za te pieniądze buty i ubranie. A wobec tego, że Pawelek bywa uwolnionym od opłat szkolnych — nie ponosiłoby się na niego żadnych innych wydatków.

Pan Witold bez żadnego wahania wyraził gotowość wypłacania tych dziesięciu rubli miesięcznie. Los Pawelka był więc już zadecydowany.

Lecz apatię dojrzałego już w bólu Pawełka — mroził jednak jeden z owych subtelnych żalów, które przez całe życie miały ranić jego duszę, wrażliwszą na ukłucia szpileczką, niż na obuchy.

Jak Jurek mógł, pomimo tej serdecznej zażyłości, jaka ich łączyła — opuścić na dwa miesiące Warszawę bez zawiadomienia go i bez potrzeby widzenia się z nim na wyjeździe?

W potrzebie wynajdywania łagodzących okoliczności, wpadł na słuszny w jego mniemaniu argument:

— A czemu to i ja sam pozostawiłem go w nieszczęściu bez pociechy przez cały tydzień? I czemu to i ja przeżywałem sam własne straszne chwile, a nie pobiegłem po pociechę, lub po radę do niego?

„Nie wypadało“ o b c e m u biec do domu żaloby, pełnego stokroć obojętniejszych, niż on krewnych, którzy jedynie na wesela i na pogrzeby się *ex officio* zjawiają. Nie wypadało również sprowadzać do domu chorej matki — obcych gości. Naturalnie!

Pojął, że despotyczne życie ujmuje w swoje szematyczne karby wszystkie nasze czyny, nie uwzględniając, czy są one zgodne z naszymi indywidualnościami. Pojął, że ten niemy jego protest przeciwko utartym zwyczajowym formułom — będzie wiecznie oddzielał go murem od całego świata. I że umrze w najstraszniejszych cier-

pieniach niemocy obalenia kłamstw, złości i obłudy, które światem rządzą. Te wszystkie refleksje szybowały w jego dziecięcym mózgu naturalnie nie konkretnymi obrazami, lecz w chaotycznej formie przeczuć mglistych i nieuchwytnych.

Lecz niebawem Pawełek w przewlekłym stanie półpoczytalności ani spostrzegł, jak kryzys jego choroby przeszedł i jak lekarstwo na wszystkie dolegliwości — czas — począł goić rany jego duszy. Oblicze matki w jego mózgu oddalało się, zacierало.

Skończyło się dzieciństwo u kolan bubuśki i zgasły wszystkie spójnie, łączące go z przeszłością, wszystkie tradycyjne rodzinne lube anegdotki i powtarzane tysiąckrotnie tylko im znane wyrażenia i dowcipy. I Pawełek z instynktownym pragnieniem życia począł wyciągać młodzieńczo dłonie do przyszłości, do nowych stacji podróży i etapów. Poczęły zaciekawiać go nowe szersze horyzonty poza ladą sklepową na Lesznie. Zamiast miłości ku matce — uczuwać będzie wdzięczność ku pani Romie i przyjaźń ku towarzyszowi z ławy szkolnej. To oni zapełnią mu teraz życie, którego nie pojmował bez ofiar i bez afektów.

Nie zastanawiał się, że i uczucia muszą figurować w notowanych szematycznie cyrkularzach zwyczajowych, w których poza uczuciami jedy-

nie dla brata i dla swata — świecą jeszcze symbole i absoluty oficjalnych uczuć dla ludzkości, ojczyzny, tradycji, partji politycznych, klubów i t. d. Jest jeszcze sztucznie uduchowiona miłość ku kochance, lub narzeczonej, ku którym pod pokrywką żądy gwoili rozmnażania — blaguje się o jakichś altruistycznych uczuciach dusz, koniecznie różnopłciowych.

Lecz kochać przyjaciela — według tych szematów — uchodziłoby to poprostu za amoralność lub chorobę, kwalifikującą do Tworek, lub kryminału. Wbrew tym kanonom Pawełek otwierał ramiona — do nowych ludzi, których chciał kochać. I tęsknił do... niego, do swego przyjaciela.

Tęsknił do wspólnego z nim życia, jak bluszcz, spragniony podpory, której mógł by swemi zwojami uczepić się. Tęsknił do jego matki, do ich powrotu, do wspólnego z nimi życia, do wspólnego jutra. I liczył tygodnie, dni i godziny — ciekawy pierwszego ich spotkania, przeświadczony, że ludzie obcy — to także swoi.

VIII.

Pani Roma szczyciła się tem bardziej szacunkiem, jaki potrafiła wzbudzić w swoich kolegach biurowych, że na ulicy poczęła odezytywać w wyniosłych minach i w zimnych ukłonach swoich dawnych znajomych coraz wyraźniejszy fakt nie-

solidaryzowania się ogółu z dwuznaczną karierą pięknej wdowy.

— Szczęściem, że przynajmniej w biurze nie domyślają się wszystkiego — zwierzała się nawiśnię swemu „przyjacielowi“.

— Ależ, dziecko, — uświadamiał ją brutalnie pan Witold. — A może oni są dla ciebie tak uprzejmi — właśnie dlatego, że wiedzą, He, he. Pocałował ją w czoło, pogładził po włosach i wyszedł na miasto.

Pani Roma rozplakała się. Bo co innego mieć romans z mężczyzną, kiedy nikt się tego nie domyśla, a inna rzecz — być jego jawną metresą. Metresa — to prawie — kokota! Miałaby ochotę uciec z Jurkiem z Warszawy gdziekolwiek, choćby na ostatnią prowincję i pracować tam uczciwie na chleb. Założyłaby tam magazyn sukien. Mówiono jej zawsze, że posiada wiele gustu. Tylko kroju się nie uczyła. Bo co się tyczy biurowości — to przekonała się już, że niema w tym kierunku żadnych kwalifikacji.

Lecz pan Witold jest człowiekiem honoru i kocha ją. To rzecz pewna. Jej przykra sytuacja jest więc czasową. Wszystko wyklaruje się z chwilą, kiedy sprawa jego rozwodu zostanie załatwioną i kiedy ją zaślubi. Co do tego nie miała wątpliwości.

Faktem, że i on widocznie cierpiał z powodu tej komedji ukrywania się. Przestrzegano wszyst-

kie pozory, o ile tylko się dało. I wszystko nadaremnie. Więc w końcu dano za wygraną. Bo Pan Witold utyskiwał wciąż na niewygodę hotelu, w którym musowo zamieszkiwał. A i Jureczek nie miał gdzie odrabiać swoich lekcji. Lecz rzecz najważniejsza — jedyny pokój, w jakim jedynaczek mógł sypiać — nie był po stronie słonecznej. A lekarz twierdził przecie, że szczególnie w dziecięcych latach należy przestrzegać higienę.

I pani Roma byłaby djabłu sprzedała duszę, aby tylko nie pozbawiać syna codziennych pożywnych jajek, tłuszców, mleka, kakao, owoców, mięsa i wina do obiadu. No, naturalnie i powietrza.

Mieszkanko przy biurze okazało się więc stanowczo niemożliwem. Nawet niezależnie już od jej operetkowego biurowego zajęcia, do którego nadawała się podług wyrażenia pana Witolda „nie, jak wół do karety, lecz, jak arabczyk do wozu“.

Lecz głównie nieprzyjemnemi były dla niego wysyłane wciąż do petersburskiej dyrekcji „Flama“ ciągle anonimy z drwinami na konto roli, jaką gra umieszczona w samym lokalu instytucji piękna wdowa. Co innego, kiedy te trzy pokoje, przylegające do biura zajmował dyrektor Towarzystwa; a inna rzecz — jego metresa, mianowana ku ogólnemu zgorszeniu główną kasjerką tak poważnej instytucji.

Gdyby choć mieszkanie to było wygodne. Lecz

panna Petronela, która za nie rozstać się z nimi nie chciała, nie miała w niem swego kąta. Pokój Jureczka był przechodni; a bez Fräulein pani Roma była, jak bez ręki.

Nie było rady. Postanowiono, nie czekając końca żałoby i przeprowadzenia rozwodu — wziąć mieszkanie większe i wygodniejsze.

Cudem wynalazł się piękny, obszerny lokal w tym samym domu w sąsiedztwie. Nareszcie pan Witold mógł powrócić do swej dawnej garsoniery przy biurze, z której — jak się później okazało — można było przebić drzwi do mieszkania pani Romy; choć ona swoich czynności głównej kasjerki Towarzystwa asekuracji już się wyrzekła.

Nowy apartament był faktycznie wymarzony. Mieścił się na parterze owej kamienicy przy ulicy Królewskiej tuż obok ogrodu Saskiego. Dom ten, należący ongi do znanej mieszczańskiej rodziny Str... jeszcze wtedy bez obecnych sklepów, z zanikłą już teraz staroświecką fasadą, bez ohydny dzisiejszych gipsatur i przylepionych bez sensu balkonów — rozkładał się swemi szerokimi oknami na ogród Saski; a część ogrodu przez całą długość od bramy aż do cukierni Lesła — przylegała ongi w swoim obluszczonem osztachetowaniu — jako należna specjalnie do nowego mieszkania pani Romy.

Jadano zwykle letnią porą w tym ogródku, jak

na wsi śniadania i wieczerze w altanie, graniczącej szklanemi drzwiami z jadalnią.

Piękny, choć silnie zapuszczony lokal ten z wielkimi pokojami w arkadach, z lustrami w ścianach i z pałacowemi kominkami i płaskorzeźbami w supraportach — urządzono teraz z wielkopańskim komfortem, w którym kult modernizmu pana Witolda łączył się doskonale z tradycyjnym wdziękiem rasowej pani Romy.

Bardzo oryginalna jej olbrzymia sypialnia z lustrzanemi drzwiami, obita niebieską materją z nąszywanemi różnokolorowym kordonkiem aplikacjami w palmy — łączyła się przebitą ścianą z budwarem pani domu. Sprowadzony umyślnie aż z Konstantynopola tapicer wysadził się na udekorowanie tego zacisza, strojąc sufit w festony ze wschodniego jedwabiu. Ustawiony kiosk z czechoty, pełen kwitnących kwiatów stanowił jakby dalszy ciąg ogrodu, który szerokimi otwartemi oknami jak gdyby wlewał się tu swoją zielenią i szerokimi przestrzeniami.

I wszyscy przechodnie z poza żywopłotu zazdrościli tym wybrancom losu, podziwiając strojnego pana Witolda, jak w swoich lakierach, w złotych z igły nankinach i w monoklu uwijał się z łopatką i z grabiami z miną — paryskiego rentiera po swoim raiku. Obok niego piękna pani w jasnych muślinach i w słomianej pasterce, okolonej czarną aksamitką z czerwonemi makami —

rosiła grządki kwiatów wodą z blaszanej polewaczki. Dokoła rozbrzmiewał śmiech ślicznego chłopczyka, harującego z rasowym wielkim charakterem szwedkim.

I pan Witold z manją arrywisty rozkoszował się ciągłym upiększaniem swego rajy, w którym królowała ta piękna wielka dama w jego pojęciu metresa, o jakiej żadnemu z udzielnych książąt nie śniło się.

Bawiła go też ta pompa, którą swoją królowę otaczał. Do stołu zasiadała panna Petronela i Fräulein, jako dwie frajliny dworu; dwóch lokajów w białych rękawiczkach podawało półmiski. W kuchni rezydował kucharz z kuchcikiem. A w stajni stały konie pod wierzch, kuc dla Jureczka i konie do ekwipażu z ugalonowanym na koźle lokajem obok stangreta.

Pani Roma miała ślicznego Bechsteina, do którego zasiadała ze swoją grą dyletancką, przyprowadzając jednak skrzydła rozkoszy wsłuchanemu do lubych łez panu Witoldowi, w którego wyobraźni tak właśnie powinny grać wszystkie wielkie damy.

Szafy jej były przepełnione sukniami, tiunikami, peplonami i tiurniurami, zastępującymi wtedy wyszłe niedawno przedtem z mody krynoliny. Barwy wszystkich strojów bywały ciemne, najczęściej czarne. Kolor ten miał podkreślać, że aczkolwiek chwilowo w niezgodzie z kodeksem

światowym — nie jest ona żadną kokotą, lecz kobietą z towarzystwa. Z tego też powodu nie złociła włosów, choć ją to trochę nęciło. W szufladach jej gotowalni lśniły w aksamitnych pudełkach emaljowane z brylancikami brosze, bransolety i medaljony od Jarockiego. Fryzjer codziennie upinał jej kok i długie loki, układał krepinę pod niobami i owijał głowę szynjonem.

Piękna pani Roma, wcale nie olśniona tym nowym komfortem, (pan Witold uważał jej obojętność za jeden z atutów, którym dorobkiewiczowi imponowała) obracała się w nim, jak ryba w wodzie.

Uważała, że natura stworzyła ją do tego szerokiego oceanu, a dawny piasek był chwilową przystanią, mielizną, której już nie pamiętała — zajęta kompletowaniem swego zbioru gipiur, walsansien, koronek brabanckich i angielskich. Zakupywała stare brzozy, tkaniny, kryształ i porcelanę — nie interesując się wcale stanem interesów pana Witolda.

Wiedziała, że nieposiada wielkiego majątku (słyszała coś o jakimś testamentowym dla niej zapisie). Lecz niewątpiła, iż wobec fenomenalnych zdolności — jego bajońskie dochody wiecznie płynąć będą.

Specjalnie uradował ją najtrafniej wykombinowany pomysł pana Witolda, który w gwiazdkowym podarunku ofiarował Jurkowi polisę na dzie-

się tysięcy rubli, wypłaconych mu w dniu śmierci ofiarodawcy t. j. matki, która mu od siebie wręczyła.

Wogóle nie wiele miała do zarzucenia swemu przyjacielowi, choć pan Witold w codziennem pożyciu nie bardzo zyskiwał na porównaniu ze zmarłym mężem. Prawda, że mąż posiadał teraz ten ważny atut w kryterjum, że był nieboszczykiem, którego wad się nie pamięta. Szałowski był mało-mówny, opryskliwy, źle wychowany, a jej zamąż-pójście było przecież rodowym mezaljanssem. Prawda. Pan Witold był weselszy, rozmówniejszy, nawet quasi salonowcem ze swoim wiecznym monoklem, zawieszonym na szerokiej czarnej wstążeczce. Przytem wystrojony aż do przesady ze swym obrylantowanym szmaragdem w nieco zbyt pięknych krawatach — i z ufryzowanemi długiem i bokobrodami przy znakomicie wygolonym opudrowanym podbródku. To wszystko prawda. Ale z pod jego obecnego wielkopaństwa — ów brak bony w latach dziecięcych — uwidocznił się w pożyciu jeszcze bardziej, niż u nieboszczyka; może wskutek jego przesadnych pretensji do dobrego tonu.

Okazało się, iż pan Witold w codziennem obcowaniu był impetykiem i raptusem, jakich dotąd nie widziała. I, choć w stosunku do niej trzymał na uwieży swoją brutalność, lecz cały dom trząsł się od napadów jego furji, w której tłukł talerze,

policzkował służbę — z wieczną manją, iż nie traktują go, jak prawdziwych wielkich panów.

W manji tej, z której sam zdawał sobie sprawę — tkwiło jednak trochę słuszności wobec faktu, iż służba czuła jeszcze wtedy atawistyczny kult specjalnie dla krwi błękitnej, a nuworyszów, zwanych wtedy parwenjuszami traktowała z maskowaną pogardą.

Zatargi te potrafiła łagodzić swoim taktem jedynie przezorna pani Roma, która uważała za właściwe nie porzucać teraz nigdy wobec niego roli estetycznej heroiny z romansu dla wygody moralnego negliżu żony. Choć męczył ją ten niewygodny ciągły puklerz uśmiechu, w który uzbraja się, wchodząc do klatki — pogromca dzikich zwierząt.

Pan Witold, znajdujący się zawsze pod jej urokiem — wynagradzał te wszystkie jej przykrości złotem. Zarówno też i wszystkie swoje kaprysy wobec całego domu opłacał znacznie hojniej, niż hrabiowie. Wszyscy więc tolerowali jego wybryki.

Lecz rzecz dziwna! Ów dawny ideał, jakim dotąd żyła t. j. ukończenie sprawy rozwodowej pana Witolda i ulegalizowanie ich związku — mniej ją teraz nęciło. Bała się. Miała wrażenie, że być królową Czyżyka jest więcej, niż być jego żoną. Korona jest silniejszą od stuly. Pozatem głos tradycji: Być tout court panią Czyżykową... Brr...

— Toć nawet tacy Szałowscy są Montmorencami w porównaniu z Czyżykami.

I utyskiwała przed kilkoma nowemi swojemi przyjaciółkami:

— To dziwne! Pomimo, iż niby uznawano wszędzie i zawsze moją urodę — nie miałam nigdy szczęścia do młodych. Słowo daję. Mąż mój był stary i pan Witold nie jest o wiele młodszym od niego.

— Największą rolę w życiu kobiet grają ci, których nazwiska nie wymienia się — żarcikowały filuternie jej nowe przyjaciółki, mężatki, które nie z jednego już pieca chleb jadły.

— Otóż przysięgam wam na miłość Jureczka, iż takich nigdy nie było. Choćby dla tej prostej przyczyny, że nie stawiali nigdy swojej kandydatury. Taki już los mój, czy też wyrok przeznaczenia.

— Przeznaczeniu, czy też losom należy zawsze iść na spotkanie — uczyły ją doświadczone. — To znacznie ułatwia zadanie... losu czy też przeznaczenia.

— Naturalnie — potwierdziła druga. — Nawet ku przeznaczeniu należy samej pofatygować się przynajmniej na połowę drogi.

— Nie potrafiłam tego nigdy.

— Marmury są ogniotrwałe.

— Bo serca dzielić nie można. A pani oddałaś je całe... synowi.

— Tak. To prawda! — wykrzyknęła tryumfalnie, przeświadczona, że się nie myli, rozpromieniona, jak kochanka na samo wspomnienie o ukochanym. — Tak. Kocham go do szaleństwa. Jureczek! Oddałabym za niego wszystkich donżuanów, wszystkich Antinousów i Apollinów Belwederskich. Bo czyż może który z nich umywać się do Jureczka?

— Ależ kochaj go sobie pani w skrytości, jak ci się podoba. Ale to ciągle afiszowanie się z 14-letnim synem — to wiek kobiety ogromnie kompromituje.

— Kiedy ja go uwielbiam — wykrzyknęła bałwochwalczo.

Nienasycona jego widokiem asystowała mu przy lekcjach, w których pomagał mu stałe Pawełek, brała go ze sobą do magazynów, w których nie było wolno towarzyszyć panu Witoldowi. Nawet teatr nie bawił jej bez asysty Jureczka.

Zajmowali zwykle łóżę tuż przy scenie, aby pani Roma mogła ukrywać się w niej, za parawanikiem, maskującym wieczną asystę pana Witolda, który tak raził opinie.

Rzecz prosta, że po zimnych ukłonach krewnych i znajomych, (znacznie wrażliwszych ongi na „upadek“ kobiety, niż dzisiaj) — pani Roma zdawała sobie sprawę, iż jest banitką, na indeksie towarzyskim. Nie ośmielała się też ani składać wizyt, ani zapraszać ich do swego nowego apar-

tamentu, którym było by jej przyjemnie pochwalić się przed zawistnymi przyjaciółmi.

Rozgoryczona do świata, który niechciał wniknąć, że nie miała dwóch dróg do wyboru — przestała się nawet kłaniać swoim znajomym, których miny wyniosłe mroziły ją, jak stałą sztyletu. Bo zagustowała w ostatnich czasach w nowych stosunkach towarzyskich, zawieranych z ziomkami w sezonowych wycieczkach zagranicznych. A teraz poczuła, że opinia jest wielką siłą, choć propagują ją nie aniołowie, lecz grzesznicy z płamami. I zgodziła by się dla jej autorytetu poświęcić cały komfort swego życia i skazywać się na nędzę jednego pokoiku, zdobytego najkrwawszą pracą; niestety czuła się do niej jednak niezdolną. I cóżby się wtedy stało z Jureczkiem, który nie jest tak pilny, jak Pawełek? Z wpisów szkolnych by go nieuwalniano; bez korepetytora także by się nie obył. O francuzczyźnie, lekcjach muzyki nie mogłoby być mowy. Trzeba by go może oddać do szkoły rzemieślniczej lub zadawałniać się przyszłością małego urzędniczka poczty lub telegrafu. Horreur!

Wstrząsnęła się na samą myśl takiej kariery dla syna. Tem gorzej dla opinii, że nie potrafi wniknąć w te wszystkie subtelności i identyfikuje jej stanowisko socjalne z rolą jakiejś femme entretenue, choć jej obecna światowa sytuacja jest je-

dynie przejściową, bo stała takie wszystkie plamy życia ściera.

Zawiązała en attendant nowe stosunki towarzyskie. Odwiedzały ją bardziej wyrozumiałe żony: inspektorów towarzystwa „Flama“, żona hojnie opłacanego przez pana Witolda doradcy prawnego i żona rocznego lekarza personelu biurowego.

Zaprzyjaźniła się też z jakąś grywającą na mniejszych koncertach fortepjanistką, udzielającą lekcji Jurkowi. Znalazła się też w jej salonach jedna ze starszych aktorek dramatycznych i kilku przeważnie starszych mężczyzn.

Śród nich poza lekarzem Towarzystwa i doradcą prawnym — kilku literatów i malarzy, z których jeden malował hojnie opłacony portret pani Romy, a inny rzeźbiarz modelował w marmurze obstalowane przez pana Witolda jej popiersie i supraporty do jej buduaru. Na przyjęciach tych nie żałowano ani kwiatów, ani świateł, ani najdroższych win i potraw, na które pan Witold sadił się ku zadowoleniu najwybredniejszych smakoszy.

Niekiedy salony ugaszczały z jeszcze większym przepychem etranżerów, których poznawano u wód zagranicą, a którzy bawili przejazdem w Warszawie. Jakiś attaché przy ministerjum, jakiś powieściopisarka francuska, jakiś sławny skrzypek, zaangażowany do Petersburga.

I pan Witold, widząc dystynkcję i swobodę,

z jaką pani Roma robi honory domu i jaki na tych przyjęciach, ubarwionych muzyką artystów i kulturalnemi rozmowami z ogólnie szanowanymi poważnymi gośćmi panuje ton europejski — rozkoszował się tryumfalnie w swoim arrywizmie self-help-mana, który potrafił w życiu sam to wszystko zdobyć.

Faktycznie nastrój ich salonu bywał bardzo estetyczny i miły. Może dlatego, że wobec dramatyczności sytuacji pani domu — przewyższano się wzajemnie, aby nie być w rozmowie shoking. Wiosenne kolacje z wyszukanemi nowalijkami podawano zwykle w altanie ogródka.

I kiedy grzechot zamykanej bramy ogrodu Saskiego wypędzał już ostatnich maruderów z publiczności — wchodziło furtką ogródka do niedostępnego już dla ogółu olbrzymiego ogrodu Saskiego.

Ogród Saski należał teraz już wyłącznie do nich — pyszny w swojej oceanowej ciemni — rozświetlony jedynie księżycem i gwiazdami. Wchodzono bez lasek i bez kapeluszy; pani Roma nieraz w niebieskim, ukoronkowanym, powłóczystym szlafrocuku. I bawili się tam, jak dzieci, nienasytzeni myślą, że cały ogród saski jest wyłączną ich własnością.

Lecz głównie delektowało się towarzystwo pani Romy odkrywaniem w tej królewskiej samotni cudów, niedostrzeżonych wśród tłumu. Efekty wy-

fioletowych w mroku kolumn placu Saskiego, panteonik na wzgórzu, balustrada ogródka wód mineralnych. Posągi, gąszeze, perspektywy, tak czarownie otulone przejzystą gazą nocy, uhaftowaną na niebie brylantowemi gwiazdami.

Rozbawieni, jak sztubacy na wakacjach, tańczyli przez długość głównej alei mazura. A pasją Jurka było stawać na kompasie i stamtąd pełnić rolę dyrygenta tańców. Nieraz wpadała mu do głowy chętka całowania w usta bogiń z kamienia, lub zdobienia ich kwiatami. W takich razach jeden z gości musiał go w górę podnosić.

Lecz w życiu, jak w ogrodzie niema róż bez kolców. Cierpienie ukłuć tem cięższe, kiedy zapach róż już powszedniejsze, a rany kolców coraz bardziej dolegają z powodu zwiększającej się wciąż wrażliwości i coraz słabiej działających leków. Bo pani Roma pomija już mękę uśmiechów, jakimi sprzykszyło się jej to wieczne uśmierzanie w klatce brutalnego zwierza, który fascynowany jej różdżką czarodziejską — kajał się przed nią w prochu. Lecz były jeszcze inne i to bardziej ciężkie kłopoty. I te najboleśniej sze wiecznie jęczące rany moralne zanieczyszczały tę atmosferę zewnętrznie estetycznego życia, którego powab tak nęcił wszystkich przechodnich wielbieli raika — ogródka.

Pana Witolda doprowadzały do szału ustawiczne anonimy zawistnych o jego stanowisko z ty-

siąca nocy, które kierowano wciąż do petersburskiego zarządu „Flama“. W anonimach tych denuncjowano: szkodzący powadze instytucji jawny w całym mieście konkubinat głównego dyrektora, „nocne orgje“ w ogrodzie Saskim, dwóch lokajów na koźle jego ekwipażu, ranne wycieczki konne w towarzystwie amazonki i grooma i t. d.

Wprawdzie w Petersburgu prezes Towarzystwa i większość akcjonariuszów, zadowolonych z coraz większych tantiem, zawdzięczanych wybitnym zdolnościom „reprezentanta na królestwo“ wyśmiewała te anonimy z protekcyjnalnem klepaniem po ramieniu oskarżonego, symulując niedowiarstwo w kwestji paszkwilów.

Lecz pan Witold, wiedząc, że w tych kalumnjach mieściło się nieco prawdy — syczał z pasji, iż władza ośmielała się wspominać mu o jego życiu prywatnem.

Ufny w swoje siły — groził po każdym powrocie z nad Newy, że rzuci tych mamutów, jak stare śmiecie, aby przekonali się, jak na jego dymisji wyjdą.

Chciał przenieść się do Towarzystwa Moskiewskiego, nie posiadającego dotąd swojej filji w Warszawie. Zresztą przeprowadziłby się nawet chętnie do Moskwy, która nie bawi się w małomiejskie intryżki i plotkarstwo.

Pani Roma nie sprzeciwiała się jego projektom opuszczenia Warszawy, doszedłszy do przekona-

nia, że jedynie zupełnie obce miasto może maskować anormalność ich obecnego życia.

Łaknęła obcych nieznanych twarzy byle gdzie, aby mieć tylko przy sobie Jureczka i nie razić solą w oku dawnych znajomych.

Do najokrutniejszych jednak ukrywanych cierni jej quasi raju należała rozseparowana żona pana Witolda, najwulgarniejsza megiera, jaką można sobie wyobrazić. To ona wypisywała większość anonimów do Petersburga. To ona wysilała mózg nad kombinacjami zatruwania życia „łotrowi mężowi i tej ładacznicy“.

Była znacznie starszą od męża. Pan Witold zawsze lubował się w kobietach nie pierwszej młodości i koniecznie „z towarzystwa“. Jako quasi Petronjusz — stanowczo nie uznawał „tych paniel“ z powodu ich wulgarności, jak gdyby w przeczuciu, że i sam nie jest w gruncie wolnym od tej wady, która go w innych tak razila.

Zdaje się, że cieszył się długo względami swojej magnifiki jeszcze za życia pierwszego jej męża, który był wtedy właścicielem restauracji w Wilnie. Ówczesnemu estetyzmowi i snobizmowi małego kancelisty — zdaje się — imponowała wówczas dystynkcja tej ohydnie wulgarnej mieszczyki tak, jak obecnie oszałamiała królewskość pięknej pani Romy.

Po śmierci restauratora zaślubił jego wdowę, pomimo, iż została bez grosza. A on dopiero,

urósłszy później w piórka, poznał po niewczasie, że dystynkcja jego ohydnej, starej żony nie przewyższała wcale wychowania magnifik woźnych i portjerów, których spotykał w dzieciństwie w domu rodziców.

Zerwanie tego niefortunnego małżeństwa było ukartowane jeszcze przed poznaniem pani Romy. A jednak dopiero teraz ta megiera, buntowana przez pokątnych doradców, nie zadawałniając się dość znaczną rentą i zagwarantowanym kapitałem, — wyprawiała im stale sceny o logice od siedmiu boleści. W wybuchach tych grzmiały przekleństwa za złamane życie, groźby ulicznej zemsty, skargi i zwierzania się ze swych żali przed służbą pani Romy. Usiłowała temi awanturami terroryzować „tę wielką damę, ładacnicę, która męża jej odebrała“. Pani Roma faktycznie obawiała się teraz wyjść na ulicę, bo do domu służba już megierę tej nie puszczała.

Lecz histeryczna wiedźma biegła całemi dniami po sądach i cyrkulach, denuncjując, że „łotrzyca“ mieszka pospołu z jej mężem pod jednym dachem.

Pan Witold w najwyższej pasji spoliczkował kiedyś jakiegoś urzędnika rosyjskiej policji, który przyszedł sprawdzać „donos“. Zaledwie kilkomna tysiącami łapówki można było załagodzić tę zniewagę, wyrządzoną przedstawicielowi caratu. Tak, tak. Róże komfortu pani Romy miały swoje

kolce, wśród których należało wirować, jak w tańcu wśród mieczów.

Lecz najwięcej równowagi należało zachowywać w tej akrobatyce w stosunku pomiędzy panem Witoldem, a jej synem.

Nie ulegało kwestji, że Jureczek był rozpieszczonym jedynaczkiem. Uczył się nieświetnie, a jego dezynwoltura i szczerość mogła wydawać się wyjątkowym wdziękiem jedynie tym, którzy go kochali. Pod czarem tych przekomarzań się z synem wybuchał nieraz zmarły Szałowski wy myślami: „Ach! Ty idjoto, ośle jeden“. Ale nawet głuchy odczuwał w tych piorunach — kult ślepej miłości i zachwytu dla indywidualizmu syna, który byle komu nie ulegał.

Lecz pan Witold w gruncie Jurka nie lubił. Oczywiście nie skąpił mu ani najdroższych nauczycieli, ani najpiękniejszych ubrań, najzbytkowniejszych zegarków, kuców, welocypedów. Przyczem ceremonjał tych upominków był unormowany w ten sposób, że Jurek otrzymywał je wyłącznie od matki.

Bo pan Witold przeczuwał, z jaką miną byłyby przyjmowane te upominki, wręczane osobiście przez niego samego. Nie wymagał też od pasierba wdzięczności. Życzył mu jaknajlepiej; naturalnie ze względu na jego matkę. Myślał nawet o przyszłości Jurka i zwierzył się pani Romie, że zrzeknie się na starość swojej lukratywnej posady na

rzecz jej syna. Przy odpowiednich staraniach i taktyce da się to uskuteczyć.

A ponieważ Łacina i Greka nie bardzo smakowała Jurkowi — postanowiono przenieść go do Szkoły realnej; a po ukończeniu zadecydowano wysłać go do Anglii i do Francji.

Jurek był bardzo zadowolony ze swego nowego mundurka zielonego ze złotymi guzikami, w których paradowała większa liczba paniczików, niż w wytartych filologicznych granatach ze srebrem.

Jedynym skrupułem mogła być tylko strata nieocenionego Pawełka, bo marzeniem ś. p. jego matki było, aby studjował medycynę. Lecz Jurek uśmiechał się — pewny, że ten szkopuł kolegi zwycięży. Bo jakżeż by Pawełek mógł żyć bez niego w oddali innego gimnazjum z rozdzielonemi drogami życia?

Więc obiecano i Pawełkowi ewentualną posadę w Towarzystwie „Flama“ i pożyczkę na wspólny wyjazd z Jurkiem za granicę. I Pawełek rzucił filologję dla Szkoły realnej, pomimo ogólnego skonstatowania, że w obecnym mundurku jest mu jeszcze mniej do twarzy, niż w dawnym.

Lecz niezależnie od tych wyświadczanych wciąż dobrodziejstw przyszłemu pasierbowi, pan Witold nie mógł obronić się od atomu zawiści o uczucia matki dla syna, które w $\frac{3}{4}$ duszy pani Romy despotycznie królowały. Nie domyślał się, że w tej pesymistycznej jego obserwacji było dużo opty-

mizmu: Jureczek nie $\frac{3}{4}$, lecz $\frac{9}{10}$ życia pani Romy niepodzielnie zajmował.

Pan Witold z całych sił wystrzegał się wybuchów swego impetyzmu wobec pasierba — przekonany, że gdyby raz odważył się rękę na niego podnieść — pani Roma bez sekundy wahania dom jego wraz z synem wnet by opuściła.

Lecz niechęć ojczyma aż biła od jego bladości, zaciśniętych ust i trzaskań drzwiami przy najmniejszym dziecięcem przewinieniu pasierba.

Jurek z wrodzoną fanfaronadą nie sobie nie robił z jego „wściekań się“ — pewny, że to syn jest pierwszą osobą w domu, a nie ten obcy przybysz. Lecz odpłacał mu zupełną wzajemnością uczuć. I, pomimo wszystkich kuców, zegarków i welocypedów — nienawidził pana Witolda z całego serca.

Czuł idjiosynkrazję do dźwięku głosu „durnia“, do jego akcentu litewsko-rusińskiego, który Jureczek identyfikował z nienawistną mu moskiewszczyzną. I zgrzytał aż zębami zarówno, kiedy „dureń“ w napadach złego humoru awanturował się o głupstwa ze służbą, jak również, kiedy w rozprawieniu wybuchał swoim zbyt głośnym wulgarnym śmiechem: he, he, he...

Jakiś żywiołowy protest szlacheckiej (po kądzieli) krwi paniczyka syczał w niewoli tego dobrokiewicza, przed którego nową siłą musiał głowę uchylać.

W dziecięcym mózgu Jureczka nie roily się jeszcze żadne złe posądzenia co do honoru ukochanej świętej matki. I godził się filozoficznie z jej przyszłym zamążpójściem wobec faktu, że ś. p. ojciec nie pozostawił matce środków egzystencji; a ona sama nie mogła przecież pracować na siebie i na dziecko w suterynie igłą, lub w warsztacie.

I po każdej takiej utarczce, uśmierzanej wysiłkami dyplomacji — matka błagała syna, aby w imię miłości ku niej — nie drażnił swoim przekomarzaniem porywczego ojczyma.

— Niecierpię tego ordynusa — wstrząsał się Jurek na samą nazwę: ojczym. — Wszyscy w domu oddychają swobodniej, kiedy „on“ wychodzi.

Według niemej umowy pomiędzy matką, a synem — ten przybysz nie był nigdy ani panem Witoldem, ani ojczymem, lecz to był zawsze jedynie ogólnikowo „on“. Oboje doszli do majsterstwa w technice omijania jego domowego stanowiska w rozmowach poufnych ze sobą, ze służbą i ze znajomymi. Jeżeli grał jaką rolę, to jedynie bezimiennie, jako malum necesarium, sprzężyna nieunikniona dla maszyny całego domu.

I Jurek obiecywał matce, że pilniej będzie się uczył; a kiedy skończy szkoły — będzie zarabiał tyle, że starczy im na dwoje. Aby tylko za męża nie wychodziła.

Pani Roma rozkoszowała się temi deklaracja-

mi syna, uspakając go, że jeszcze nie nie stracone, bo „on“ przecież jeszcze rozwodu nie dostał. I Jurek w swoim dziecięcym optymizmie nie wątpił, iż rola tego przybysza w ich domu, skończy się. Bo przybysz nie nazywał jego matki nigdy inaczej, jak „panią“. A kiedy „on“ raz ośmielił się przyjść na śniadanie z powodu niedyspozycji zdrowia w szlafroku, czyli w tak zwanej obecnie pyżamie — pani Roma rozplakała się. Należało przebaczyć mu wiele jeszcze i z tego powodu, iż skonstatowała rychło ogólny fakt, iż — niezależnie od złego wychowania i brutalności — ten self-help-man, który potrafił wyłącznie własnymi zasługami stworzyć sobie stanowisko z tysiąca i jednej nocy — nie był wcale — poza swoją intuicyjną zawodową specjalnością w potocznym życiu inteligentnym. Przeciwnie. Raził aż nieraz swoją naiwnością i wybuchami bezsensownego głośnego śmiechu. Ten sprawdzony przez wszystkich brak rozsądku uplastyczniał się w jego nieoczekiwanych wybuchach gniewu, w uporze i w nieoczekiwanym obrażaniu się za poruszeniem palca.

Tak, tak. Rola pięknej pani Romy nie była życiową synekurą. Wzbudzający zazdrość przechodniów ogrodu saskiego jej raiik, pełen kwiatów i kul błyszczących — kosztował wiele ukrywanych łez. To są odwrotne strony medalu. Kolce róż, dla których zapachu znosi się ból ranionej duszy...

IX.

Ukochany Jureczek zaczął niepokoić panią Romę, bo niema wielkiej miłości bez niepokojów. Nie martwiła się wprowadzie o jego przyszłość. Nie tylko w swoim zaślepieniu, lecz i w trafnem macierzyńskiem przeczuciu osądziła, iż syn jej posiada wszystkie warunki ku temu, aby było mu zawsze na świecie dobrze. Nie uczy się wprawdzie nadzwyczajnie; nie będzie nigdy grzeszył ani zbytnią pracowitością, ani oszczędnością. Lecz zwycięży pod znakiem swego fizycznego i moralnego wdzięku i wewnętrznej równowagi.

Temu czarowi ulegała przecież od lat jego dzieciństwa nie tylko matka, lecz znajomi, bony, służba, a obecnie koledzy, nawet szkolni nauczyciele. Pani Roma w swojej matczynej intuicji nie wątpiła, że i Pawełek będzie jego niewolnikiem do końca życia i że do późnej starości przepadać będą za Jurkiem kobiety.

Nie wątpiła, iż łatwo rozkocha w sobie pannę młodą, piękną i bogatą. Nie dbając o swoją młodość, pragnęła jaknajrychlej uściskać synową i tulić do piersi jego dzieci.

Lecz co będzie przedtem? Hannibal ante portas! — zadrżała z przerażenia.

Jurek rozpoczął już rok siedemnasty. I kochająca matka dojrzała łatwo w nim zmianę. Nie przechodził metamorfozy gąsienicy — podlotka,

o nierównej cerze, o zamglonych podsiniących oczach, z głosem, śmiesznie ewolucjonizującym się z falseciku sopranika — w tony męskiego przejściowego przesadnego barytona, lub basa. Nic podobnego!

Przemienił się odrazu, jak pączek róży po deszczu z pięknego dziecka w motylka, pazika, o kształtach cherubina, o twarzy zdecydowanie pogodnej i zrównoważonej.

Na wierzchniej wardze złocił mu się jasny brzoskwiniowy puszek. Zagięła w nim owa tak irytująca pana Witolda dziecięca szczerość, z jaką przekomarzał się uparcie: dlaczego jest na świecie tak, a nie owak?

— To wieczne „dlaczego“ i wieczne „przecież! — wzdrygał się zniecierpliwiony pan Witold, usprawiedliwiając się, że przekorność Jurka denerwowała ongi nawet ś. p. jego rodzzonego ojca, którego nie można było przecież posądzać o brak uczuć dla syna.

— Nie wiedziałem — tłumaczył się wiecznie przekorny sztubak — że nie wolno mówić prawdy i nie wolno o nic się pytać.

— Nie wolno! — decydował stale despotyczny pan Witold wbrew zwykłym niemym protestom pani Romy.

Lecz od niedawna zauważyła matka, że Jureczek przestał już być — niestety — enfant terrible. Nie bada już, nie dziwi się, nie kontruje. Ma

ruchy i chód zmieniony. I wyraz twarzy zupełnie inny...

Jakiś sceptyczny uśmiech poznania zaciska mu usta, które nie wybuchają już ani pytaniami, ani zdziwieniami, ani protestami. Jakiś ugodowy, dojrzały, obłudny takt zniewala go do ukrywania tajemnic życia i do niebadania rzeczy, które już zna i na które się godzi.

— Ale kiedy — gdzie, z kim? — załamuje dłoń pani Roma, nie wtajemniczając naturalnie w swoje obawy pana Witolda. — Gdybyż choć panna Petronela lub Fräulein były młodsze i piękniejsze! Ale rozpusta, kokoty! I gdzież on mógł je poznać? Przecież nie zaprowadził go do nich Pawełek?

I nie śmiąc badać, obrzuca go jedynie niemą modlitwą: „Mów! Zwierz się matce!”

A jemu nie chce się spuszczać przed nią oczu. Nie lubi kłamać; fałsz go męczy. Przekonał się wprawdzie, że dorośli ludzie, posiadający już pewne swoje tajemnice — nie mogą o wszystkim rozpowiadać. Doskonale. Lecz pocóż grać komedję i kłamać? I jasne jego wesołe oczy najwyraźniej odpowiadały wystraszonym oczom matki cynicznym męskim uśmiechem:

— Tak. Nie mylisz się. Stało się. Więc cóż z tego.?

I pani Roma jest w rozpacz. Chodzi jej o tych przyszłych wnuków, aby były zdrowe; o tę przy-

szłą piękną i zacną synową, która gotowa odrzucić konkurenta, zniczonego miłostkami.

— I te wszystkie skutki rozpusty: tabes, paraliż, obłąd — załamała dłonie. I zaczęła rozmawiać z nim już, jak z mężczyzną. Jąkając się, z pensjonarskimi rumieńcami, usiłowała uświadać go co do grozy pokątnych miłostek.

— Strachy na lachy — uśmiechnął się Jureczek.

Wtajemniczała go w swoje marzenia, aby ożenił się jaknajwcześniej zaraz po skończeniu politechniki.

— Czekaj tatka latka! — roześmiał się dawnym dziecięcym śmiechem Jurek. Lecz w tonie jego mowy matka z przerażeniem przeczuła jakiś nie dziecinny już humor, lecz cyniczny uśmiech urwisa, który z męską wyniosłością bez pustych usprawiedliwień pocałował matkę w czoło, pochwycił za czapkę i wybiegł na miasto.

Pani Roma nie badała go, dokąd idzie, aby nie trenować syna do kłamstwa — boleśnie jednak przeświadczona, że rozpoczął już życie, w którym nie ze wszystkiego już można się zwierzać nawet rodzonej matce.

Pani Roma coraz częściej przestawała teraz z Pawełkiem. Nie mieszkał on wprawdzie w ich domu z powodu braku pomieszczenia. Bo tylko w dwupokojowych mieszkaniach znajduje się

miejsce dla przyjaciela lub krewnego, lecz nigdy w dziesięciopokojowych apartamentach.

Lecz Pawełek należał prawie do ich domowników; nie miało się przed nim domowych tajemnic i nie przeszkadzał, przesiadując codziennie całymi godzinami.

Pawełek nie mieszkał już u siostrzenicy panny Petroneli, ponieważ jego pupil porzucił już edukację i terminował. Pawełek udzielał teraz korepetycji kilkorgu dzieciom jakiegoś bankowego urzędnika za mieszkanie i obiady.

Jeszcze jakaś godzina guwernerki na mieście zapewniała mu buty, ubranie i inne nieuniknione wydatki. Na kolacjach bywał codziennie u pani Romy. Nie był już korepetytorem dorastającego Jurka. Bo okazało się, że był dla niego zbyt pobłażliwy i że z krzywdą dla swego pupila — wszystkie zadania sam za niego odrabiał.

Instruktorami Jurka byli teraz hojnie opłacani gimnazjalni profesorowie, których wygórowane honorarja były poniekąd łapówkami. Lecz w każdym razie ta żandarmśka klauzula zniewalała Jurka do większej uległości, niż przyjacielska nie jedwabna Pawełka, który przygotowywał teraz z nim lekcje już tylko jako korepetytor korepetytorów Jurka. W tej skomplikowanej sieci jedynaczek przechodził już corocznie z promocjami z klasy do klasy.

Pawełek był poza lekcjami towarzyszem zabaw

Jurka i jego lektorem. Czytywał mu na głos znane już mentorowi z czytelni matki opisy May Reada, Jules-Verne'a, historyczne romanse Valter-Scotta i Kraszewskiego. Chodzili razem do ulubionego Teatru Rozmaitości. Matka pojmowała doskonale, że syn jej przekładał znacznie galerję z Pawełkiem ponad łożę z panem Witoldem. Być może, że i ona sama wołałaby galerję z synem, niż łożę bez niego. Lecz w swojej panice życiowej była przeświadczoną, że bez pana Witolda i na galerję zapracowaćby nie potrafiła.

O! Ten teatr Rozmaitości z Żółkowskim, Królikowskim, Rapackim i z Tatarkiewiczem! Z Modrzejewską, Rakiewiczową, Niewiarowską, starą Mazurowską i z Popielką! A następnie te niewieksze już od dzisiejszych zgasłe gwiazdki, płonące już jedynie w różowej gazie czaru wspomnień!

O! Te zaciekle obozy umundurkowanych gołowiących wisnowszczyków i czakistów! I te pensjonarskie westchnienia, płynące w stronę ówczesnych amantów Wolskiego i Prażmowskiego, których wnuczki kochają się dziś w Węgrzynach i w Osterwie!

Sam dźwięk tych zgasłych nazwisk: Modrzejewska, Popielka — napawa starych rozkoszą wspomnień, które niby wazon świeżych kwiatów, wniesionych zimą do salonu — balsamuje piersi i wykrzywia blade starcze wargi do błogiego półuśmiechu.

O! Ten syk¹ gazu żerandola i ta luba atmosfera łaźni paradyzu, w której pot łaskoczącymi kroplami spływał po karku. O! Te kunsztownie w zygzak wykombinowane przez pomysłowego budowniczego zakamarki, schodki i korytarzyki, strzeżone jedynie przez Opatrzność boską, bez której w razie pożaru ani jedna osoba żywcem nie wydostałaby się! O! To wyczekiwanie całemi godzinami przed zamkniętą jeszcze schodową furtką galerji!

I nareszcie to sakramentalne otwarcie wrót Sezamu i klus, z jakim się biegło, aby zająć najlepsze miejsce w ławkach nienumerowanych! Pawełek dla skrócenia czasu rozkładał na aksamitnej krawędzi galerji przyniesioną do czytania książkę „Trzech muszkietarów“, drukowanych w olbrzymich numerach oprawnego starego Tygodnika Romansów i Powieści. I cały paradyz ze swoją demokratyczną dezynwolturą wyczytywał głośnym chórem tytuł dumasowskiego arcydzieła:

— He, he! Trzej muszkietarowie!

A Jurek zawierał w tym czasie czułe znajomości z teatralnemi sąsiadkami, dla których poświęcał też swój fotel owej rodzinnej łoży pierwszego piętra.

Rozmowa ta, najczęściej niema polegała jedynie na rumieńcach i na bardzo subtelnem pieszczeniu wrzącemi palcami aksamitnych rącek tych

blizkich sąsiadek, które wzdrygiwały — coraz bardziej przyciągane tym magnesem.

Pawełkowi najzupełniej wystarczało w antraktach towarzystwo przyjaciela; zamieniał z nim wśród antraktów swoje zachwyty nad autorami, rozsnuwającymi przed oczami olśnionych widzów majsterstwo techniki teatralnej, wielkie poczucie efektu i popisów solowych, w których wirtuozi-aktorzy znajdowali pole do swoich koncertów. Królowali w tym repertuarze wciąż ten sam Scribe, Dumas-syn, Sardou i Augier, ustępując tylko zrzadka niepostarzałemu po dziś dzień Fredrze oraz Korzeniowskiemu i premierom Blizińskiego, Narzymskiego i Zalewskiego.

O! Ci Nasi najserdeczniejsi, Safandudy, Starzy Kawalerowie, Dama kameljowa, Księżna Jerzowa, Rodzina Fourchambauld i Syn Giboyera, Adrian Lecouvreur i Fru-fru!

Ileż to głośno ucieranych ze wzruszenia nosów sekundowało w makiem usianej widowni! Ileż łubych łez wycisnęła w tej samej ukochanej tradycynie, spalonej już salce teatru Rozmaitości wszechświatowa królowa aktorek Modrzejewska i Królikowski! A ile najrozkoszniejszych łez śmiechu popłynęło dzięki gienjalnemu Żółkowskiemu! A Damse, Ostrowski, Szymanowski, Popielka!

Pawełek, zapłakany, z wypiekami, większemi, niż te, do których przyczyniały się sąsiadki Jurka — przeczuwał, że — niezależnie od szczęścia,

jakie go w życiu spotka — nie zazna już nigdy większej rozkoszy od tej galerji w Rozmaitościach w towarzystwie swego przyjaciela, w kontemplacji tych autorów i tych artystów.

Bo Pawełek żył nietylko „sztubą“, korepetecjami i teatrem. Wychodowany od dziecka w pleśni starych książek sklepika na Lesznie — zanurzał się teraz nałogowo swemi krótkowzrocznymi żrenicami w dziennikach małych zadymionych cukierenek i źle wentylowanych bezpłatnych czytelników naukowych. Nie szczędził ani swego zgiętego w pałąk karku, ani piersi wężkiej, jak u kwiczoła, interesując się głównie ówczesną demokratyczną Prawdą i „liberalnym“ Przeglądem Tygodniowym.

Grupowali się około tych tygodników wszyscy „postępowcy“, wyszli z nieistniejącej od wieków „Niwy“ z Sienkiewiczem, Prusem i Ochorowiczem na czele. Choć sławny od czasu pojawienia się pierwszych swoich cudnych „postępowych“ nowelek — Sienkiewicz już niebawem rozpoczął drukować swoją szlachecką trylogję w klerykalno konserwatywnem Słowie.

Pawełek pochłaniał Przegląd tygodniowy od deski do deski i pożerał wszystkie wychodzące przy Przeglądzie w biblioteczkę (po sześć kopiejek za tomik) tłómaczenia Darwina, Marksa, Smilesa i Milla. Była to epoka, w której królewskie berło myśli dzierżył pozytywizm Augusta Com-

te'a, popularyzowany przez Hipolita Taine'a i Renana, bezlitośnie rzucający wszelkie ludzkie zamiary i nadzieje w okowy okrutnego determinizmu. Smutne królestwo, w którym Zołowski człowiek-zwierzę panował w klatce życia, przypatrując się automatycznie drobnym lilipucim faktom „ogładanym przez pryzmat swojego temperamentu“.

W niewoli tegoż samego pozytywizmu i materializmu królował w Anglii Spencer i Darwin a w Niemczech Moleschott, Buchner i Haeckel. Nie obiecywali oni człowiekowi ani szczęścia na ziemi, ani wesolutkego raju Mahometa w niebie. W niepozbawionym poezji smutku zadawalniali się oni spełnianiem obowiązków moralnych i estetycznych. I w melancholji faktów godzili się na smutek, który jest i nie łądzi się mżonkami, których nikt nie może być pewnym!

Pawełek posiadał fotografie swego ukochanego Świętochowskiego i redaktora Przeglądu Tygodniowego Wiślickiego. Był wielbicielem Stendala Georges'a Eljota, Balzaka, Flauberta i Zoli. Choć te wszystkie nazwiska zapisane, złotemi zgłoskami w ewolucji powieściowej cienkości i obserwacji, w rozkwicie głębi szczerości i plastyki — miały zczasem zbutwieć i wyjść chwilowo z mody. A Goncourtów, Daudetów i Maupassantów miał czasowo zaćmiec swoją sztuczną manjerą mglistości wskrzeszony na pewien czas neoromantyzm.

I Pawełek¹ w swojej roli umiarkowanego lewicowca, radykała, malkontenta ze wszystkiego, co jest i co było — hołdował niezmordowanie i wyłącznie postępowi i ewolucji, dążącej ad astra: do ukojenia wszystkich na ziemi.

Był też stale na indeksie większości kolegów, pogodnych sytych prawicowców z bezkrytycznym kultem dla tradycji, bez którego — według logiki wszystkich zadowolonych konserwatystów na świecie — nie mogą istnieć ani państwa, ani narody.

I Pawełek, wierzący święcie — wbrew tym programowym ideałom, że wszelki postęp jest dzieckiem niezadowolenia i trzeźwej obserwacji — nie przestawał zachwycać się młodymi pisarzami, którzy tylko wątłym strumykiem rozdzielałi ocean naszego wielkiego mickiewiczowskiego romantyzmu od neoromantyzmu późniejszych Wyspiańskich, Micińskich i t. d. I zaczytywał się w naturalistycznej, prawie bezdziejnej w naszej literaturze „Małaszce“ młodziutkiej Śnieżkowej i „W skałach Calwados“ Sygietyńskiego. Choć nie udało się tym prowodyrom odświeżyć szerzej tym ogólnie wówczas wiejącym europejskim prądem atmosfery stałego u nas lubowania się w uroczystej pompie i w wielkich giestach, któremi małe talenty kuszą ogół, jak misjonarze mosiężnymi guzikami — aszantów.

Lecz nie tylko literatura i teatr nęciły duszę

Pawełka. Co niedzielę wydawał dziesiątkę na bilet Towarzystwa Zachęty, mieszczącej się wtedy w nieistniejącym dziś pięknym olbrzymim salonie obecnego gmachu muzeum przemysłowego obok Bernardynów. Nienasycony młodzieńczo kontemlował z wypiekami na twarzy simlerowską Barbarę Radziwiłłównę; choć i Lesser, Gierson i inni zimni akademicy wśród t. z. klasyków z pierwszej połowy XIX stulecia wydawali mu się również arcy mistrzami.

Rozpustny Pawełek rujnował się też na koncerty. A jakże! Urządzało je wtedy t. z. Towarzystwo Muzyczne w dziwacznej okolumnowanej sali reductowej o dwóch przylegających skrzydłach, którymi musieli przeciskać się wśród tłumu stojącej młodzieży — koncertanci, dążący do estrady, ustawionej w pośrodku sali.

I Pawełek do końca życia nie zapomni rozkoszy walenia w klaszczące dłonie ocierającym się o niego „sławom“ w przejściu z estrady do „fou-moiru“. Nie zapomni do grobu fizjonomji nizkiego krępego pjanisty Józefa Wieniawskiego (brata skrzypka Henryka) i pięknego młodzieńczego Sarassatego, wytwornej Essipowowej i ognistej pani Menter-Popper.

A koncerty symfoniczne w Dolinie Szwajcarskiej Bilsego! Uświadamiały one muzycznie gród syreni, lubujący się dotąd jedynie orkiestrowemi potpourami z Lunatyczki, Marty i z Napoju mi-

łosnego! Bo urywki „z ciężkiej do zrozumienia“ Aidy (tak wtedy twierdzono!) i z mało melodyjnych (!) oper Wagnera — uważano ogólnie za zbyt trudne do strawienia, za niepokiesające ducha i niezabawne.

Lecz te objawy kultury nie nęciły też i Jurka, któremu poza teatrem Rozmaitości — wystarczała Halka w interpretacji Dowiakowskiej z Filebornem i Meluzyna z Cholewicką. Lornetowała ją najuparciej młodzież z niezbyt drogiej, nieistniejącej dziś aksamitnej ławeczki, ciągnącej się przez całą długość widowni pod parapetami łóż parterowych.

I Pawełek, ustępując zawsze przyjacielowi, godził się z musu nie tylko na umianę już na pamięć piękną Halkę, lecz nawet na Meluzynę. Aż pani Roma, choć ogromna zwolenniczka Pawełka, poczęła strofować Jurka z powodu jego już zbytnej wierności ku nieodstępniemu przyjacielowi. I kładła słusznie ten objaw łask dobrego króla dla niewolnika — jako wygodne lubowanie się sybaryty — jedynaczką usługami pieczonych gołąbków, które same do gąbki wpadają.

Choć sama skwitowała z zaszczytów towarzyskich i wystarczały jej w zupełności odwiedziny nie rewizytowanych nigdy różnych starych aktorów, przejezdnych kosmopolitycznych literatek i pokupnych portrecistów w przejeździe po złote

runo do Petersburga. Lecz Jureczek powinien myśleć o innych stosunkach serjo.

Chodziło tu przecież o tę przyszłą jego żonę, już jeżeli nie bogatą, (Pan Witold obiecał przecież zrzec się na starość dla pasierba swojej Kalifornji — posady) to przynajmniej z najlepszego środowiska z nazwiskiem i z koligacjami.

Wymogła na synu, zadawalnijacym się jedynie wygodnem towarzystwem Pawełka, a zbyt mało obcującym wskutek tego z innymi kolegami, aby zaprosił do siebie na koleżeńskie zebranie elitę szkolną. Na przyjęcie to szeroko omawiane przez nią samą i przez ogromnie przejętego tą uroczystością pana Witolda — było wykombinowane menu z różnemi niespodziankami. Lecz uroczystość ta w zupełności nie udała się.

Grubsze ryby z pośród kolegów nie stawili się, a mniejsze płotki nie zrewanżowały się zaprosinami.

Pani Roma pojęła doskonale ten najformalniejszy bojkot, mający się ciągnąć już w drugim pokoleniu.

Opinia świata uważa ją za kokotę, choć poza swoim mężem — oddała się w całym swoim życiu — jako wdowa jedynie swojemu narzeczonemu, przyszlęmu drugiemu mężowi.

— Nie wiele tak zwanych uczciwych kobiet mogłoby pochlubić się taką rozpustą!

Nie pomogło nic, iż dla honoru syna, kwitowała

już nawet ze swej młodości. Chlubiła się teraz swemi niefarbowanemi srebrzącemi się na skroniach włosami, zaokrągleniem nie ściskanych gorsetem bioder i piersi. I, ryzykując utratę rozkochanego coprawda nienasycenie przyszłego męża — delektowała się swoim zaokrąglonym owalem pięknej jeszcze matrony, królowej-matki bez pretensji t. z. kobiet balzakowskich, które nawet przeniosły obecnie wśród burżujek swój wiek z trzydziestki na pięćdziesiątkę.

Pani Roma nie nalegała już teraz na Jurka o zawieranie towarzyskich stosunków z kolegami. I ten nowy kurs wpłynął jeszcze bardziej na zażyłość syna z pozostałym już jedynym przyjacielem; choć obu młodzieńcom oczywiście nie wpadła do głowy myśl przyczyny tej zmiany w opiniach matki. A tembardziej zasadniczy powód fiaska koleżeńskej recepcji.

Bo niema chyba na świecie 15-letnich chłopców, zdających się sobie sprawę z honorowych planów rodziców. A wszyscy koledzy wtajemniczeni w domową rolę Pawełka — mieli w stosunku do niego też same dyskretnie miny co i do syna „metresy“.

Lecz zdarzyło się, że jedna z owych „grubszych ryb“ wśród kolegów gimnazjalnych wyprawiała swoje imieniny, na które był zaproszony Pawełek, lecz bez notorycznego przyjaciela. Pawełek naturalnie z tych zaprosin nie skorzystał. Lecz przejęty ogromnie tą zniewagą przyjaciela — nie po-

trafił się powstrzymać, pomimo swojej nieśmiałości od naiwnego pytania:

— A czemuś Jurka nie zaprosił? Przecież życie z nim wszyscy w daleko większej przyjaźni, niż ze mną.

— Bardzo go lubię — odrzekła gruba ryba — lecz nie mogę przyjaźnić się z nim poza szkołą wobec obecnego stanowiska jego matki, zanim zostanie prawną żoną swego narzeczonego, u którego jest teraz, po prostu mówiąc — na utrzymaniu. Wszyscy o tem wiedzą.

Pawełkowi, któremu nawet przez myśl nigdy dotąd nie przeszło konstatowanie tej dwuznacznej sytuacji życia pani Romy, z którą zrósł się od czasu nieuświadomionego dzieciństwa — lzy zakręciły się w oczach.

— Biedna kobieta! Biedny Jurek! — spędził całą noc bezsennie, czując się obecnie potężnym Krezusem, wobec tego noszonego niby na rękach benjaminka losu, a w gruncie najtragiczniejszego pod słońcem nędzarza. Syni kokoty!

Pawełek patrzył odtąd na Jurka z rozrzewnieniem — gotów bronić go własną krwią od hańbiącego wyroku opinii świata.

— Czemu ty jesteś dziś taki dla mnie ekliwy? — wyszydzał go dumnie Jurek. — Czy z liłości, że ten idjota nie zaprosił mnie na imieniny?

W jakichś nieokreślonych przeczuciach Jurek stał się teraz wynioślejszy nie tylko w stosunku

do Krezusa-Pawelka, lecz jakby w obawie nowego policzka — to on bojkotował odtąd wszystkich kolegów. Pozostał mu jedynie godzący się z li-
tości na jego wyniosłość Pawelek. Przyjaciół, nie
do wszystkiego się nadający, zupełnie charakte-
rem od Jurka odmienny. Rak na bezrybiu.

Zresztą „na bezrybiu tem“ zajaśniały niebawem
kobiety. Bo nie wszystkim sąsiadkom Jurka
(szczególnie tym z galerji Teatru Rozmaitości)
wystarczała ta gorąca niema rozmowa, która za-
dawałnia jedynie podlotków, bawiących się flir-
tem, jak bardzo młode niedoświadczone psiaki.

Starsze sąsiadki, bardziej rutynowane, po
wstępnych niemych subtelnościach — zaczęły
uśmiechami zachęcać pięknego sztubaczka do
rozmówek dalszego ciągu.

Nie zawiodły się na ujmującym sąsiedzie, któ-
ry okazał się w rozmowie miłym i naturalnym ze
swemi ślicznemi zębami.

W antrakcie Jurek przyniósł dwom sąsiadują-
cym z nim przyjaciółkom pomarańcze. A po przed-
stawieniu przy wdziwaniu im okryć, zapropono-
wał, czy nie pozwoliłyby, aby je odprowadził
wraz ze swoim kolegą do domu. Panie te, jak się
później okazało pracownice igły — zgodziły się
na grzeczną propozycję tak dobrze wychowanego
młodzieńca.

Pawelek towarzyszył naturalnie brzydszej przy-
jaciółce, cierpiącej tego wieczora na fluksję i nie

przemawiającej z tego powodu do onieśmiałonego towarzysza przez całą drogę ani słowa. Zato pierwsza para szeptała sobie jakieś tajemnice do uszu, chichotała, przekomarzała się. A po rozstaniu się z damami Jurek zburezał Pawełka za to jego zachowywanie się w towarzystwie dam. Fiasco — podług Jurka — ostatniego safandudy!

Za to młody zwycięzca jaśniał już po upływie tygodnia jakimś umyślnie źle maskowanym szczęściem, z którym niby należało ukrywać się, a w gruncie mniej lub więcej dyskretnie — chlubić.

Poza udzieleniem przyjacielowi zasłużonej reprimandy — debiutujący donżuan nie zwierzał się ze swoich tajemnic pogardzanemu pod tym względem przyjacielowi. Lecz oczy pałały mu tajemniczym tryumfem, a cała młodzieńcza postać promieniała jakąś świeżo zdobytą gibkością, zdecydowaniem już rozjaśnieniem całej twarzy i tym zatrważającym tak matkę nowym, męskim sceptycznym wyrazem, mówiącym najwyraźniej, że są w życiu różne tajemnice, których nie wyjawia się nikomu.

Pawełek odgadł swoją intuicją, że sąsiadka z galerji Teatru Rozmaitości stała się już kochanką Jureczka. Nie wątpił też i co do siebie, że i on sam weźmie kiedyś kochankę po raz pierwszy tak, jak otwiera się usta po narodzeniu do piersi matki, lub jak podnosi się nogi do pierwszych kroków

poza kołyską. Trudno. Wszyscy tak postępują. Nie wątpił przytem ani na chwilę, że i wszystkie jego późniejsze kochanki będą w jego towarzystwie wiecznie w tak złym humorze, jak owa pierwsza nieudana — *bonne-fortune'a* po teatrze, którą niby zęby bolały.

Pawełek wiedział dobrze, co było powodem tej fluksji: Bo on nie podobał się jej. Cóż dziwnego wobec jego piersi, wąskiej, jak u kwicoła, nóg, cienkich jak wykałaczki i karku w pałąk zgiętego. Nigdy nie będzie już jaśniał tym śmiechem i wymową, którą tak delectowała się jego matka na Lesznie. Bo śmiech taki i humor kwitnie jedynie w słońcu szczęścia i miłości.

Tym śmiechem czaruje teraz panią Romeę, pannę Petronełę, sąsiadki teatralne i jego — król Jureczek. Do takiego śmiechu trzeba nietylko kochać, lecz i być kochanym. A ten cały wdzięk ludzi szczęśliwych wraz z ich humorem, żarcikami, krotochwilnymi intymnymi wyrażeniami — zakryło bezpowrotnie wieko trumny matki! Znikły, jak sen na kwiatach epitety: „Manius, Pawliczka. Byłam, zrobiłam, ciotka, która na kwadrans przed śmiercią jeszcze żyła“ i wszystkie dykteryjki z pensji pani Kraków i pani Konradi!

Lecz Jurek rychło zerwał ze swoją *bonne fortune'a*, która wulgarną mową, ubiorem i źle utrzymanymi rękami przypominała mu pokojówki jego

matki. Porzucił ją też dla nowej znajomości z literackiej alei Ogrodu Saskiego.

Była to już dama, jak się patrzy. Ubrana podług ostatniej mody, wybielona, z upudrowanym szynjonem i wypomadowanemi wargami. Wyfjółkowanemi alabastrowemi rączkami o brzęczących porte-bonheur'ach u kajdankowych bransoletek — podnosiła z ogromnym szykiem tren swojej wyfalbanowanej sukni, układającej się obciśle na olbrzymiej fiszbinowej tiurniurze.

Była koryfejką baletu. Jej „przyjaciół” przemieszkiwał na wsi. Jurek był w niej zakochany. I Pawełek poza szkołą nie widywał już wcale swego przyjaciela, który przyznał mu, że całe dni spędza u Aurelki. Nie dni tylko...

Pawełek, wciągnięty do tej tajemnicy — musiał z największym wstrętem kłamać przed panią Romą, iż Jurek godziny te spędza u niego, ponieważ przygotowania do ostatecznych egzaminów na patent ukończenia Szkoły Realnej — lepiej im idą w zacisznej mansardzie Pawełka, niż w pokoju Jurka, pełnego pokus wiosny, która wchodzi przez okna ogrodu Saskiego, nęcąc swojemi zapachami kwiatów i świergotem ptactwa.

Lecz modlitwy pani Romy, ślone ku niebu o powodzenie tych egzaminów nie były zbyt szczere.

Bo po skończeniu szkoły, według dawnych postanowień, których ogromnie trzymał się pan Wi-

told — Jurek wraz z Pawełkiem mieli wyjechać na dalsze studia do Anglii.

W teorji plan ten bardzo odpowiadał pani Romie; lecz w praktyce, czuła, że i mowy być nie może, aby ona była w stanie rozstawać się na kilka lat ze swoim jedynakiem.

Teraz, kiedy czas rozłąki się zbliżał — roił jej się coraz częściej świeżo ukartowany projekt i jej wyjazdu wraz z synem do Anglii. Była tak pewną uczuć pana Witolda, że nie uważała za ryzykowny hazard brać jego stałość i wierność na kilkoletnie pokusy słomianego wdowca, niepołączonego z nią stulą.

Wysilała jedynie mózg na kobiecą strategję, dążącą do aprobaty swego opiekuna: Oto zgodziłaby się przyjeżdżać z synem do Warszawy na letnie ferje i na kilkotygodniowe święta. Zresztą i pan Witold mógłby swoje coroczne urlopy spędzać z nimi za granicą. Prawda?

Zamierzała perswadować mu, że dla opinji dorastającego już syna ich jawny stosunek przed ślubem może być jeszcze bardziej szkodliwym, niż dla niej samej. Lecz cały projekt ten przerażał ją trochę swoją śmiałością. Wahala się. Może Jureczek zetnie się w tym roku na egzaminie? A może najlepiej by było, aby po skończeniu egzaminów Jureczek choć rok jeden ćwiczył się w języku angielskim w domu, w Warszawie? A po roku jakoś tam będzie!

Lecz Jureczek począł upierać się coraz częściej, aby wprowadzić swego przyjaciela do „damy“, jak Aurelkę stale nazywał. Jego męskiej ambicji zależało bardzo, aby módz pochwalić się przed przyjacielem rolą pana domu w swoim nowem środowisku. I Pawełek śród swych wahań, przeświadczony ostatecznie, że to będzie jednak jedyny sposób, aby nie stracić przyjaciela, który wybierze przecież z nich dwojga „dame“, a nie jego — zgodził się od biedy na ten musowy podział uczuć Jurka.

Nie wątpił, że do końca życia będzie ulegał jego życzeniom nie jedynie z powodu swojej miękkości, bo Pawełek zdobywał się często, pomimo swej delikatności na stanowczość decyzji — posądzany nawet nieraz o tak częsty u poczciwców upór i zaciętość.

Lecz nie potrafi jedynie odmówić przyjacielowi z uległością matki pragnącej wiecznie usuwać każdą przykrość, jaką sprawia odmowa.

I Pawełek złożył wizytę „damie“. Okazało się, że i piękna Aurelka posiada także siostrę ciotecznią, równie brzydką jak owa z choremi zębami i nie mniej wulgarną w obchodzeniu się z nożem i widelcem i ze swemi analfabetycznymi wyrażeniami: „Każ się wypchać. Pocałuj mnie w nos. Nie mnie brać na kawał“. Lecz Jurek wziął się w swojej manji posiadania współnika we włas-

nych grzechach i zirytowany oziębłością Pawełka ofuknął go:

— Niechcę znać takiej baby, jak ty. Zerwę z tobą wszelkie przyjacielskie stosunki i słowo daję nie przystąpię do egzaminów.

Zaczęły się najformalniejsze swaty. Kuzynka, niezbyt wymagająca godziła się od biedy na projekty Jurka i Aurelki, przekonana, że Pawełek jest faktycznie inteligentny i dobrze wychowany.

Najciężej szło z samym konkurentem, przeświadczonym, że kuzynka pani domu nie jest ani inteligentną, ani dobrze wychowaną; a spostrzegłszy rolę, jaką mu narzucili — bronił się z całych sił.

Po kilku tygodniach zwłoki Jurek z damą wprost terroryzowali go z powodu jego aż irytującego safandulstwa i nieśmiałości.

I Pawełek pojął w końcu, że, choć rozpusta jest mu wstrętną, lecz asceza, ośmieszona przez ogół wprost razi, jako nietolerowane dziwactwo. I dla miłego spokoju zdecydował się na krok stanowczy względem swojej pierwszej kochanki. Aby tylko nie być obcym intruzem, piątem kołem...

Jurek obiecał mu za to codziennie po dwie godziny przygotowywać się do egzaminu. Wieczory spędzali we czworo po tanich podmiejskich restauracyjnych gabineciech w osztachetowanych ogródkach, mieszczących się w obecnie zabudowanej 8-o piętrowymi „drapaczami“ ulicy Baga-

teli. Dla żartów zajadali nieraz w nocy gorące parówki, sprzedawane przy ulicznych piecykach, zachwalane głośno przez przekupniów krzykiem:

— Kiełbaski świeże parowe, obwarzanecki piwne!

Lecz najbardziej topniały grosze Pawełka (ciężko uciulane z korepetycji na opłatę wpisu szkolnego), w tych wszystkich oświetlonych altankach wśród ciemni krzewów Nowej Szwajcarji, Niespodzianki, Krzaczków i t. d., w których wewnętrzny tragizm aż duszę „piątego koła u wozu“ rozpierał.

Choć obyło się bez większych kolizji pieniężnych, ponieważ Pawełek został uwolniony z przedawnionej już nieco szkolnej opłaty, z powodu jakiegoś dodatkowego filantropijnego funduszu.

— Słyszane to rzeczy, jak Bożię kocham — dziwiła się kręcąc swoją śliczną ptasią główką Aurelka — opłacili panu już wpis, a nie pozbyłeś się jeszcze miny, jakby po wypiciu octu siedmiu złodziei. Jak bożię kocham.

— Zdaje się, że gryzie go sumienie — zakonkludował Jurek. — Musiał kiedyś zamordować swego rodzzonego dziadka.

— Jurek. co też ty pleciesz! Jak Bożię kocham! — śmiała się do rozpuku rozmiłowana w swoim młodzieńczym kochanku Aurelka, nie schodząca z jego kolan i wiecznie zawieszona u jego szyi. — No, wiecie państwo, zamordował dziadka! Także mi! Jak Bożię kocham. Słowo da-

je, to jest ogromnie subtelne — używała „substelny“ w znaczeniu subtelny.

— Ha, ha, ha! Hi, hi, hi! wtórowały kaskadom jej śmiechu wybuchy radości rozbawionego Jurka. A kwaśna i brzydka kuzynka wraz z inteligentnym, dobrze wychowanym przyjacielem, bardzo smutni, z młodzieńczą nieudolnością maskowania swoich smutków, — wykrzywiali z przymusem usta, na których — zamiast humoru tkwił może i atom zawiści, iż podobne koncepty i żarciki mogą innych szczęśliwców za poruszeniem palca do łez rozśmieszać.

Lecz młodzieńczy organizm Jureczka nie zdołał jeszcze zahartować się do wszystkich orgji doświadczonych rutynistów. I, oziębiony przesadną ilością gabinetowego kruszonu i piwa wprost z lodu oraz tropikalnym żarem koniaków i całusów Aurelki — legł po nocnej birbantce, jak ścięty w swoim białem dziecięcym jeszcze łóżeczku.

Przywołani przez wystraszoną matkę lekarze skonstatowali ówczesnym zwyczajem nie wyszłą już z mody febrę, lecz modną ongi malarję, która ustąpiła po 25-u latach miejsca nowomodnej influenzy, anginie i późniejszym infekcjom.

Jureczek przeszedł już niebezpieczny kryzys, zwany obecnie rekonwalescencją, która przewlekała się przy tak zwanej ongi malarji czy też febrze również przewlekłe, jak dziś przy obecnej influenzy, anginie i infekcji. I, jak dziś quasi cu-

dotwórczemi środkami: masażem, elektrycznemi kąpielami, salicyłem, i t. d. zameęczano ongi znużonego Jureczka pijawkami, kumysem, tranem, serwatką, żelazem i kiefirem. Dość, że dzięki tej lekarskiej energii, czy też pomimo — stan zdrowia pacjenta począł poprawiać się z dnia na dzień.

I kiedy w dwa tygodnie po chorobie wpadło matce do głowy, odwiedzić nad ranem rekonwalescenta, okazało się ku jej osłupieniu, że Jureczek śród nocy odjechał gdzieś pochwalić się swoim kompletnie odzyskanem zdrowiem.

Pani Roma dostała ataku spazmów, na które dawniejsze kobiety chorowały znacznie częściej, niż obecnie. Liczono godziny do nadejścia Pawelka. Lecz, jak wiadomo, upierającego się w dyskrecji zastąpiły przy tych indagacjach, (wzmiankowanych już na początku tego opowiadania) informacje, udzielone przez pannę Petronełę.

Dopiero dzięki owemu dostarczonemu przez pannę Petronełę adresowi panny Aurelki — ukarowano ów nieszczęsny pomysł wyprawy po zbiega.

I Jurek, zwierzając się nazajutrz z tej awantury Pawelkowi — trząsł się cały z oburzenia, przezuwając w całej tej intrydze głównie złą wolę swego przeciwnika:

— Ach! Ten łotr, ten idjota! Jak on mógł dopuścić mamę do takiej kompromitacji! Przecież

jest mężczyzną i powinien rozumieć. Osioł dardanelski! Wykombinować taki skandal! — syczał aż z gniewu Jurek. — Wyobraź sobie minę Aurelki, która sama im drzwi otworzyła, bo ja byłem jeszcze nie ubrany. Całej tej sceny nawet opowiedzieć nie można. Biedna dziewczyna przez całą godzinę potem szlochała! Co za wstyd! Taka wstrętna farsa! Mamy nie winię wcale. Jest kobieta. Ale on...

Pawełek chciał ścisnąć rękę przyjaciela. Lecz Jurek wyrwał mu z jego dłoni. Był zbyt wzburzony.

Pawełek najzupełniej solidaryzował, że ta operetkowa wyprawa po zwrot marnotrawnego syna nie miała żadnego sensu. I widział w myśli tę całą scenę w środowisku Aurelki z tą piękną damą z towarzystwa, upominającą się z teatralnym gięstem o syna!

I słyszy zwykle zdania Aurelki, rzucane bez podmiotu i bez orzeczenia:

— Także mi! Jak Bożę kocham. — No wiecie państwo! Słyszane to rzeczy! To bardzo subtelne.

— Nienawidzę tego cymbała — zwierzał się Jurek swemu przyjacielowi z wargą trzęsącą się od jadu, jaki Pawełek dojrzał po raz pierwszy w tym może nieco oziębłym, lecz wiecznie zrównoważonym chłopcu, który pogodę i wdzięk życiowy odziedziczył po łagodnej od natury matce.

I w głowie Pawełka zaświtała po raz pierwszy myśl:

— Ta wieczna animozja pogodnego stale Jurka ku panu Witoldowi! Czyżby Jurek domyślał się czegoś? Nie, nie, to byłoby okropne!

Pawełek pod sugiestją Jurka nie lubił także pana Witolda. Niezależnie od jego fałszywej pozycji w domu pani Romy, z której Pawełek zdawał sobie sprawę może dokładniej, niż Jurek — nie znosił też ze swoją wrodzoną delikatnością fałszywej dystynkcji i wątpliwych dowcipów tego dorobkiewicza, którego naturalną dobroć i poczciwość prześlepiał. I nie mógł mu darować konceptu: „Przecież pan Pawełek kocha się chyba w pani Romie?”

Głupie gadanie! Rzecz prosta, że Pawełek kochał tę piękną i estetyczną w każdym calu damę, już choćby dlatego, że była matką Jurka.

Pani Roma leżała już od kilku dni w łóżku. I Jurek, mylnie przekonany, że tę chorobę spowodowało jedynie zaziębienie wśród pamiętnej rannej eskapady, lub wzruszenie i nerwy wobec złej konduity syna — bojkotował tę lekką niedyspozycję matki.

I siedząc, jak mysz pod miotłą w sąsiednim pokoju wykuwał z Pawełkiem ostatnie egzaminy. I trochę winny, trochę obrażony nie pokazywał się na oczy nikomu.

Lecz choroba pani Romy od kilku dni wciąż

się wznagała. Pomimo urywanych rozmów i szep-
tów — nie ukrywano jednak przed synem grozy
najpoważniejszych obaw. Pan Witold, jak zawsze
nietaktowny — rozpaczał już zbyt głośno, płakał,
rzadkie włosy targał. Aż do uszu Jurka do-
szedł wreszcie już zbyt niedyskretny tragiczny
jęk, z jakim wybuchnął:

— Bez mojej wiedzy, bez porady... Ja tę wiedź-
mę akuszerkę do kryminału wsadzę. Gdybym tyl-
ko znał jej adres i nazwisko... Ja bym jej...

Jurek pobiegł do pokoju matki i niewidzialny
stał za parawanikiem łóża. U kolan pani Romy
klęczał pan Witold i szlochał, jak małe dziecko:

— To ja jestem twoim katem. Lecz czyż mo-
głem pomyśleć? Czemuś to uczyniła? — modlił
się, całując skraj jej ukoronkowanych batys-
tów. — Poświęciłaś swoje własne życie i moje.
Czemu?

Rzucając zamierającemi oczami w stronę doj-
rzanego ukochanego syna, pani Roma wykrztusiła
z największym wysiłkiem blademi wargami:

— Bo on nie przeżyłby takiego wstydu.

To był już ostatni szepł jej ust. Ucałowała bez-
silnie Jurka i wręczyła mu jakiś zapieczętowany
pakiet. Potem zaczęła się już agonja.

Jurek wybiegł do swego pokoju. Rzucił się na
łóżko z twarzą, wciśniętą w poduszki. Wreszcie
zerwał się na równe nogi i, jak raniony młody
wilczek, biegał szalony po pokoju. I naraz, po-

mimo pogardy dla jaskrawego babstwa pana Witolda — wybuchnął rykiem zabijanego zwierzęcia.

Obok niego siedział Pawełek, wtajemniczony już we wszystko i bezsilny — niestety — wobec tragicznego bólu przyjaciela, którego równowagę i pogodę znał od dziecka. Wiedział, że Jurek nie był nigdy beksą i rozumiał, że chodziło tu o rumowisko świątyni nie tylko obalonej, lecz i splugawionej. A takie rany krwawią nawet u tytánów.

I Pawełek nie miał pojęcia, jak zmanifestować swój bunt przeciwko okrutnym wyrokom losu, który lubuje się w podobnym sadyzmie. Nie wątpił o śmiesznej doniosłości pociechy w podobnie piekielnych nawałnicach. Chciał jedynie zmanifestować, że nie solidaryzuje z wyrokiem opinii świata, która może kwestjonować cześć zmarłej lub jej syna, obwinionego może, iż na wzór mężów rogaczy odznaczał się już zbytnią ślepotą.

— A może ci wszyscy mężowie dla własnej wygody udają tylko ślepych? — kwestjonuje tę wieczną tajemnicę rogaczy — Opinja.

I pijany z bólu Pawełek pragnąłby upewnić przyjaciela, że nawet — wbrew opinii całego świata — on jeden pozostanie zawsze w hołdzie dla cześci s. p. nieszczęśliwej matki przyjaciela. Lecz w jaki sposób to zaznaczyć, jakich słów dobrać?

I naraz bezradny, jakby w najwyższej ofierze swego utartego tradycją męskiego honoru, pragnąc własnem uniżeniem powyższyc skazańca — przycisnął rękę przyjaciela do niewolniczych ust swoich.

Lecz Jurek, nie wnikając w pobudki tej samoofiary z tradycyjnych paragrafów honoru, cofnął brutalnie swoją dłoń, uważając ten czyn uniżenia za nieprzyjęte zwyczajem dziwactwo, którego on sam nigdyby się nie dopuścił.

— Oszalałeś? — wyszedł do swojej sypialni i bezsilny po przebytej niedawno chorobie — runął na łóżko, i zmęczony przeżytemi wrażeniami, jak zabity przespał aż do rana.

Pawełek nie opuszczał na krok domu nieszcześliwego przyjaciela. O zdawaniu ostatniego egzaminu nie mogło już być mowy. Nazajutrz Jurek począł gorączkowo pakować bieliznę, ubranie i pamiątkowe drobiazgi z czasów ulicy Inflanckiej. Zamknąwszy na klucz kufer, wybiegł na miasto.

— Czyżby nawet w dniu śmierci matki nie wahał się biec na Kruczą? — oburzał się jego nieobecnością snujący się po pokojach błady i zakłopotany pan Witold.

Zaczął już umawiać się z jakimiś przybyszami w kwestjach pompy pogrzebowej, kiedy po gwałtownym dzwonku zjawił się w mieszkaniu Jurek. Lecz zaledwie pan Witold zaczął wtajemniczać go w zainicjowaną sprawę zakupu trumny, kwiatów

i t. d. — Jurek innym, niż dotychczas tonem, obcym, nowym męskim głosem przeciał kwestję najkategoryczniej:

— Pogrzeb ś. p. matki mojej jest wyłącznie moją synowską sprawą. Nikt inny nie ma prawa do tego wtrącać się lub decydować.

— Nie chodzi mi o decyzję. Chciałem służyć ci radą, jako przyjaciel ś. p. matki twojej — wykrztusił mozolnie z uwięzią łez wezbranych w gardle pan Witold.

— Dziękuję — źle hamował się błady z wściekłości syn już bez dawnej różdżki oliwnej, z którą tak umiejętnie lawirowała nieboszczka. — Wracam właśnie z zakładu pogrzebowego. Wszystko już załatwione. Księża, kwiaty, trumna, katafalk, światła — wszystko już obstalowane i uregulowane. Zwłoki będą niezwłocznie przeniesione do kościoła powązkowskiego, a stamtąd do naszego grobu rodzinnego. Konduktu żałobnego przez miasto nie będzie.

— Bez konduktu? Dlaczego? — zapytał z dziecięcą bezsilnością spragniony w kulcie dla zmarłej ukwiecić całe miasto, owinać kirem wszystkie latarnie. Nie pożałowałby z pewnością pieniędzy na taką królewską pompę.

— Dlatego — zmroził go syn zmarłej, — że nikt z naszych krewnych ani z przyjaciół ojca nie zgodziłby się przyjąć udziału w konducie.

— Ha! Jak uważasz! — otarł chustką oczy

bezsilny pan Witold. — A co to za kufer wynosi się z mieszkania? — badał dalej służbę wciąż napół przytomny, jakby zdziecinniały.

— Przenoszę się w tej chwili do hotelu — objaśnił go Jurek. — Poza tym własnym jedynym moim kufrem nic z całego mieszkania sobie nie zatrzymuję, ponieważ to wszystko należy wyłącznie do pana.

— Doskonale. A z jakich funduszków zamierzasz utrzymywać się teraz i wpisy szkolne opłacać? — badał go pan Witold, czujący już swoją banicję i najbrutalniejsze zerwanie ostatnich nici z ukochaną ponad wszystko kobietą.

— Ś. p. matka wręczyła mi przed śmiercią cały swój majątek w tej oto polisie — odrzekł wyniośle Jurek, nie wtajemniczając się, kto opłacał roczne wkładki na tę jedyną jego sukcesję, której się jednak nie wyrzekł.

— Pieniądze te wystarczą mi do ukończenia szkół.

— Pamiętaj — chwycił się ostatniego pragnienia nieboszczki pan Witold — że z czasem czeka cię następstwo w mojem biurze.

— Zmieniłem plany. Nie będę nigdy zajmował się asekuracją — zmierzał ku drzwiom Jurek.

— Nie żegnasz się ze mną? — wyciągnął ku niemu ręce pan Witold z dławionym szeptem.

Jurek udając, że jego słów nie słyszy, zamknął drzwi poza sobą.

— Wszystko się skończyło! — jęknął, padając na fotel pan Witold.

Lecz wnet z bolesnej zadumy zbudziła go służba: Jakaś depesza z Petersburga. Okazało się, że są tam w Towarzystwie sprawy, domagające się jaknajrychlejszego zarządzenia. Był rad z tej wiadomości. Nie wahał się ani chwili. Jego nagły wyjazd usprawiedliwiał tak pożądaną przez Jurka nieobecność „przyjaciela“ na pogrzebie. Był to rozkaz nie tylko Jurka, lecz i wszystkich krewnych i przyjaciół, manifestujących swoje istnienie jedynie na pogrzebach. Pod ich opinią ugięła się przecież sama nieboszczka. I ona także wstydziałaby się jego obecności w tym uroczystym obchodzie wśród opinii całego świata.

— Dla mnie jedynie niema miejsca na jej pogrzebie — zapłakał pan Witold łzami, któremi także dyskretnemu gentlemanowi wybuchać nie wypadało. — Wszystko się skończyło!

Uczuł się naraz starym, skończonym i złamanym do końca życia. Wiedział, że zanurzy się po szyję w pracy. Będzie bardzo wiele zarabiał. Lecz śmiertelnie zranionej duszy nie wyleczy już żaden cud. Wszystko się skończyło. Rozejrzał się po raz ostatni po swoich ukochanych pustych pokojach. Wiedział, że nie powróci tu już nigdy ze wstępnego Petersburga. Zgodzi się przyjąć każdą posadę wszędzie, na Kaukazie, w Chinach, na Syberji, aby nie tu, gdzie nie wolno mu było iść za

pogrzebem kobiety, którą czczył i ukochał ponad wszystko.

X

Pawełek z wielką przykrością musiał wysłać do swego przyjaciela list, niezbyt przyjemny. Oto wbrew obietnicom, danym obu młodzieńcom przez Radę pedagogiczną, na zasadzie których mieli oni zdawać maturę (z powodu śmierci matki Jurka) po wakacjach — władza gimnazjalna, dowiedziawszy się teraz o wyjeździe bardzo hojnego opiekuna na stały pobyt do Petersburga — zmieniła naraz zdanie.

Przesłano im urzędową „bumagę“, stwierdzającą „otkaz“ poterminowego zdawania egzaminów z bardzo przekonywającym argumentem: „Niedozwoleno, nie!lia“.

Pawełek wyczekiwał z wielką niecierpliwością odpowiedzi na ten list, wysłany do Krynicy, którą lekarze zalecili Jurkowi po przebyciu malarji i rodzinnych wstrząśnięć tragicznych.

Nakoniec nadszedł ten długo oczekiwany list od przyjaciela. Aczkolwiek bardzo lakoniczny, list ten świadczył jednak jak najlepiej o cudotwórczej Słotwince i o kojących wszystkie bóle Piecinach, Tatrach i smrekach; o reglach Dunajca, Czerwonego Klasztoru, Miodziusia, o cudach Giewontu, Czarnej Doliny i Morskiego Oka.

Jurek zdążył już przejechać końmi z Krynicy przez Żegiestów do Szczawnicy i na nowy Sącz i Chabówkę do niedawno odkrytego Zakopanego, któremu nie śniło się jeszcze wtedy ani o kolei, ani o zakładach leczniczych, ani o pensjonatach z elektrycznością i z ukwieconemi tabldotami.

Jedynie nielicznych inteligentów i artystyczną cyganerję przyciągał tu dotąd czar górskich legiend żyjącego tu jeszcze Sabały i nęcił romantyzm przygód ówczesnego króla Tatr Kolumba Chałubińskiego, który wraz ze swoją Beatricze Modrzejewską i z całą świtą przyjaciół z Witkiewiczem na czele wyruszał w góry. A wraz z nimi pięły się po szczytach górskich całe zgraje wieropoddanych wassali, przewodników górali, ustawiających namioty swemu królowi, któremu wśród tych kilkotygodniowych postojów opowiadali dokoła rozpalonych ognisk cudne baśnie o zbójnikach i zawodzili tatrzańskie pieśni i tany.

W tych lakonicznych kartkach Jurka tkwiło jednak znacznie mniej zachwyty nad naturą, niż nad ludźmi. Śród tłumów świeżych znajomych cieszyli się najwidoczniej szczególniemi względami młodego Warszawiaka państwo Szmitowie. On, dyrektor huty „Heban“ człowiek „wyjątkowej zacności“, ona — „piękna, jak marzenie“.

Pozatem w listach dźwięczały wciąż echa zabaw, koncertów, amatorskich teatrów i wspólnych wycieczek. Aż dyszała między linjami mło-

dzieńcza rozkosz życia, w które wstępował, i w którym królowała naturalnie kobieta.

Pawełek posiadał za mało doświadczenia, aby połączyć identyczność tej dyskretnie zakwefionej damy z ową „piękną, jak marzenie“ — żoną dyrektora „wyjątkowej zacności“. Nie odgadł też motywów następnego listu, w którym Jureczek donosił mu po upływie miesiąca, iż z porady lekarskiej musi jechać do Ostendy.

I znów dopiero po upływie miesiąca odebrał Pawełek od niego list z Paryża.

Ostenda, Paryż — cóż za obce egzotyczne dźwięki! Paryż z ulicami o nazwach znanych Pawłkowi z Trzech Muszkieterów Dumasa, z żołnierzami w mundurach, jak w komedjach Sardou, ze stróżami ulicznymi i dorożkarzami, mówiącymi jedynie po francusku! W liście tym Jurek wspominał też coś o Londynie.

Pawełkowi zdawało się, że góry i oceany oddzielają go od jego towarzysza z ulicy Inflanckiej i z altanki ogrodu Saskiego, obecnie z innej już planety. Etap nie mniejszy, od faktu śmierci jego matki. O! Życie, życie!

Ojciec małych uczniów, w których domu Pawełek od kilku lat, jako korepetytor zamieszkiwał — cenił bardzo jego cichą zacność, skromność i pracowitość, zalety tak rzadko u nas spotykane. Łatwo też odgadł po wybladłej twarzy i po częstszem, niż zwykle mruganiu oczami —

ukrywany głęboki smutek i zdenerwowanie młodego mentora synów.

Bo wiedział też dokładnie i o jego zawodzie, spowodowanym odmową Rady pedagogicznej w kwestji zdawania egzaminów po wakacjach. Wiedział, że poświęcił się dla przyjaciela. Domyślał się też braku środków do życia — wtajemniczony w osamotnienie skromnego młodzieńca i w jego nieudolność do emulacyjnej życiowej walki. Niemożna przecież całe życie utrzymywać się z korepetycji!

I bardzo pocziwie zaproponował Pawłkowi miejsce w banku, w którym sam pracował. Chwilkowo próbne dzienne djety, a ewentualnie możliwość uzyskania stałej posady biurowej. Pawłkowi boleśnie było kwitować z wielkich projektów życiowych ś. p. matki. Lecz 30 rubli pensji miesięcznej wydało mu się Kalifornją i skwapliwie przyjął ten los, który wydawał mu się w jego skromności zesłanym z nieba. Faktycznie odczuwał ostatnio niejednokrotnie głód.

Jego protektor nie zawiódł się też na nim. Bardzo rychło doświadczeniśi zwierzchnicy zaczęli kiwać głowami, prorokując, że ten nowy nabytek będzie nieoszacowaną perłą biurową, jednym z owych cichych nieefekownych wołów roboczych, który pracuje za dziesięciu sympatycznych wałkoniów.

Skokietowali go więc bardzo prędko owem

spełnieniem marzeń każdego djetařusza: Dali mu etat — przekonani jednak z góry, że w przyszłości nie jeden z owych sympatycznych próżniaków przeskakować go będzie w hierarchji biurowej, dzięki sprytowi, karjerowiczostwu i protekcjom.

Pawełek uważał faktycznie biuro, jako nowego rodzaju szkołę, warsztat pracy, w którym nagradzają nie stopniami na cenzurach, lecz podwyżkami, także tylko mniej lub więcej, jak i w sztubie, sprawiedliwemi; a każda biurowa robota wydawała mu się zadaną lekcją, jak dawne ćwiczenia i extemporalia. Aby tylko w kozie nie siedzieć i nie narażać się na tak niestrawny dla niego monit ongi belfra, a dziś referenta.

Aby tylko nie uchodzić za próżniaka, bo może promocji nie dostać; i wyrzucać go w końcu roku szkolnego na bruk, którego niedawno zakosztował. I Pawełek, zgięty nad górami papierów — harował wśród baraszkujących w kłębach dymu kolegów już przekonanych, że i huk armat w robocie nowemu koledze nie przeszkodzi.

Jak ów gimnazjalny primus kował, Pawełek nie wypuszczał z rąk ani na sekundę pióra, lub ołówka, którym korygował robotę kolegów. I z teką, pełną zanoszonych do domu niewykończonych referatów, ustaw, instrukcji, okólników i paragrafów powracał z biura, aby zasiadać do nich wieczorami — niezmordowany w pasji wtajemnicza-

nia się w całokształt służby, jakgdyby przygotowywał się z całorocznego kursu do egzaminu.

Jak zmęczony rzemieślnik rozkoszował się za to — niedzielą. Bawił się! Ot, taka sobie zwykła zabawa biedaków średnio pięknych, średnio zdrowych, małomównych i skromnych. Bo wiadomo, że skromność, jak i inne zalety mają mniej powodzenia, niż wady nie tylko u kobiet, lecz wogóle.

Zresztą kroczący stale ze spuszczoną głową Pawełek nie potrafił korzystać ani z wad swoich, ani z zalet. Do głowy mu nie przyszło, że niejednej parze zaciekawionych kobiecych oczu odpowiadał właśnie taki typ, a nie inny. Ani mu przez myśl nie przeszedł fakt, że wyładniał.

Pozostały mu wprawdzie nogi zbyt cienkie i krok zbyt drobny. Lecz wązka dawniej pierś, jak u kwiczoła, wskutek musowego biurowego przeziadywania, a może wskutek lepszego odżywiania się pana dygnitarza-biurowego (Pomocnik referenta nie bagatela! już prawie o podwójnej pensji) — rozszerzyła się. A twarz, choć zawsze blada — popelniała nieco. Pozostały też same rysy: dość cienkie, ładne usta i kobiece ręce; a oczy — wbrew ddiagnozie lekarskiej — obywające się już bez szkieł szafirowych zniewalały wprost swoim uduchowieniem i czystością bez skazy. Pozatem Pawełek przeświadczony najmylniej, że jest nie miły — tak podkreślał wobec ludzi swoją nieśmiałość, aż stał się faktycznie o wiele

towarzysko sympatyczniejszym, niż mu się samemu wydawało.

I wiecznie sam jeden, murem chińskim oddzielony od kolegów, połączonych ze sobą sprawami pijatyk, kart i dziewczyn — chodził do podrzędnych cukierenek na gazety lub do Zachęty.

I przeświadczony od szkolnej ławy, iż koledzy go nie lubią, jako bezapelacyjnego sobka i „kowała“ — zapijał robaka w swojej wcale nie „błyszczącej izolacji“ ukochanym Teatrem Rozmaitości, który zmienił się już bardzo od czasów zakostwa Pawełka.

Zmarł w nim już — niestety — Królikowski, zbierała już laury w Ameryce Modrzejewska i wyszła za mąż Popielka. Lecz młodym wystarczała w zupełności Lüdowa z Marzellówną i walki Wismowszczyków z Czakistami.

Nie należał już do nich Pawełek, dygnitarz, którego stać już na kupno biletu do krzeseł i nie odczuwał już — niestety — rozkoszy w tej pełni, jaka zakwitła jedynie na studenckiej galerji. Pawełek raczył się też modnemi abonamentami włoskiej opery, na których przypatrywano się jaśniejącej w łóżach pięknej ordynatowej z siostrą i całą „tout Varsovie“, którą ówczesna mała Warszawa z przed półwieku interesowała się znacznie więcej, niż dzisiejszemi kroplami w oceanie. Pod dyrekcją Quatrini'ego ówczesne gwiazdy: Marjani, Cepeda, Bettini i główna ulubienica Warszawy

Artôt popisywały się w „Otellu“ Rossini'ego, w Lunatyczce i w Mejerberowskich premierach.

I w Dolinie Szwajcarskiej nie królował już Bilce, lecz jego następcy Fliege i Manteufel. Te małe nazwiska nieznanych już kapelmistrzów zrosły się jednak w młodzięcym mózgu Pawełka, narówni z Mozartem i Bethovenem, którymi napawał się w karykaturalnej już wtedy Dolinie z odciętym skrzydłem nowopowstałej na jej gruzach ulicy Szopena.

Lecz za to zaczęły już kursować wtedy zamiast przedpotowych „kanarków“ pierwsze konne tramwaje, któremi Pawełek z zamiejskiej wtedy Doliny łatwo dostawał się aż do samego domu, aby mózdz nazajutrz pojawić się pierwszym w biurze. I jak ongi w sztubie musiał znosić drwiące uśmiechy kolegów, którzy z zawiści o te zalety, jakich sami nie posiadają — karykaturują je u innych, przemieniając je w śmieszność wobec kolegów i zwierzchników.

— O! Pan Paweł! Cóż on ma lepszego do roboty ponad biuro? W najgorszym razie, opuści jeden koncert symfoniczny w Dolinie!

I Pawełek ze skonstatowaną już przez panią Romę nadwrażliwością mimozy, czującą, gdzie trawa rośnie — buntował się przeciwko ogólnej opinii. Więc lubowanie się Szopenem, Matejką, Szekspirem, wschodami słońca, śpiewem ptactwa i wonią kwiatów — jest marnowaniem życia czło-

wieka, który zabija czas, nie mając nic lepszego do roboty? Wysztytano jego Dolinę z Heroicą Bethovena, z Jupiterem Mozarta i z Wagnerowską uwerturą z Tanhausera!

Więc tą lepszą robotą i prawdziwym życiem po pańszczyźnianej pracy są jedynie, te słuszne normalne i „prawdziwe“ rozrywki jego kolegów? Totalizator, bilard, koniaki, nieregulowane rachunki krzywdzonych krawców, szewców i praczek, karty, dorożki na gumach i gabinety restauracyjne, kwitowane lichwiarskimi weksłami, niespłacane nigdy pożyczki koleżeńskie, naciągania woźnych i kelnerów i zapomogi biura na porady lekarzy specjalistów od chorób „sekretnych“ — to — to są jedyne atuty normalnych sympatycznych chłopców? I Pawełek, drażniony ironicznymi śmiechami biurowych sąsiadów — rzucił z impetem podawane mu na stół do referowania pliki zaległości kolegów, wykrzykując głosem dwa razy tak silnym, jak mu się samemu wydawało:

— Niezależnie od ważności pozabiurowych zajęć tych panów — sądzę, że nie jestem obowiązany orać tu za wszystkich.

Listy od Jurka, coraz krótsze, przychodziły coraz rzadziej. Jurek przeniósł się już oddawna z Paryża do Londynu. O powrocie do kraju nie wspominał dotąd ani razu. Wypisywał jedynie hymny zachwytu na cześć Anglii, tinglów londyńskich,

o jakich Warszawie nie śniło się. Nie widział też Jurek dotąd Węgierek, tak tańczących czardasza, jak w londyńskiej Olimpij. Choć i w Paryżu bywał stałym gościem w Moulin Rouge, w Folies bergères i na balach u Bulliera.

W listach z Rivieri zwierzał się przyjacielowi z najnowszych ruletowych kombinacji, „które nigdy nie zawodzą“. W razie większej wygranej projektował wyjazd do Nowego Jorku, w którym zamierza wstąpić na jednoroczne studia do pewnej dość kosztownej szkoły technicznej, wydającej cudzoziemcom patenty na inżynierów drugiego stopnia.

Przez pewien czas bawił też Jurek w Rzymie. Oczarowany Włochami stwierdził, że na całym świecie niema kobiet, tak zbudowanych, jak rzymianki. I wypisywał cuda o wypijanej codziennie oplecionej butelce wina chianti, o wypalanych mocnych wirginjach ze słomką, cygar, znanych mu jeszcze z trafik Krakowa i Wiednia.

Wszystkie te listy całunem melancholji owiewały duszę samotnego Pawełka, przekonanego, że stracił na zawsze jedyną istotę, z którą łączyły go wspomnienia. Bolało go to tembardziej, iż przechodził w tych czasach największą wewnętrzną tragedję, której tajemnicę miał zanieść ze sobą do grobu. Urodzony marzyciel, samotnik, poeta — przekonał się ku swej najwyższej rozpacz, iż na-

tura, obdarzywszy go duszą artysty — odmówiła po macoszemu zdolności twórczej.

Pawełek od lat szkolnych wypełniał pokryjomu nawet przed Jurkiem zeszyty wierszami, nowelkami, ba, nawet całemi dramatai, które wysyłał bezimiennie na różne konkursy i do różnych redakcji. Aż wreszcie przekonawszy się, że ani jednego dramatu nigdy nawet nie wyróżniono i ani jednej nowelki do druku nie przyjęto — spalił wieloletnie prace, cel swego istnienia.

La comedia e finita!

I w tym jego ołowianym nastroju odwiedzanie powązkowskich grobów stało się najmiłą eskapadą samotnika.

Ten symbol przeszłości, tak rozkoszny dla ludzi żyjących nie daną chwilą, lecz poezją wspomnień — pociągał go bardziej od innych spacerów.

Pawełek, jak nektarem upajał się melancholją ciszy, rozrywanej szelestem spadających liści i rzadkim świergotem ptactwa, w lubej kontemplacji wszystkiego, co wszechświatowe i wielkie, w stałym spólcuciu dla znikomości lilipuceich ziemskich bólów i radości życia. To tutaj dopiero uwypuklało mu się w oczach megalomaństwo mrówczej wegietacji ziemskiej z quasi szerokimi planami i ambicjami wielkich przestrzeni wobec tych garstek prochu, powstałych ze złożonych na wieczność megalomanów w małych drewnianych pudełkach.

I ci wszyscy obywatele kilkołokciowych nieruchomości na Powązkach wydawali się Pawełkowi podobnymi do majowych traw i margierytek, rozpychających swoim pędem do życia i wyrastających uparcie wśród wybojów, szczelin i kamieni jedynie po to, aby po miesiącu wykarczowane i zeschnięte — legły na śmietniskach.

Dnia tego Pawełek, przejeżdżając ku Powązkom konnym tramwajem przez ulicę Dziką, ogarniał jeszcze bardziej żarłocznym, niż zwykle wzrokiem Plac Broni i oróżwioną wspomnieniami oazę tej Sahary, dzielnicę ulic: Pokornej, Inflanckiej, Kłopot i Czarnej, zakupionej przez rząd rosyjski na zwalenie dla rozszerzenia terenów cytadeli.

I oczy zaszyły Pawełkowi łzami. Zpoza czerni parkanu jakiegoś składu węgla i sąsiedniego drewnianego przytułku noclegowego — roztaczała się dokoła jakby pustka pożogi. Znikły już, jak z zaczarowanej bajki, różowe domki Wojdy, Petiskusa; zapadła, jakby po trzęsieniu ziemi, „uliczka na prawo, schodki na lewo“, sakramentalne informowanie drapiącego się po głowie z powodu odległości kursu dorożkarza.

Znikł stragan Aronkowej. Znikła noblesa dzielnicy, baraszkująca, jak w klubie, lub na wędrownym teatrze pod niebem przed scenką na drabiniastym wozie, gdzie wśród osełek masła i kobiałek z powidłowemi śliwkami wśród kojców drobiu — królowali w swoich barwnych sukmanach, koralach,

wstęgach i w krzyczących samodziłach bohaterowie wsi ze swojemi plonami karmicielki — ziemi.

I to dawne słońce, wydające się ongi bardziej złotem, niż obecne, aromaty silniejsze, barwy, głosy i śmiechy jaśniejsze, niż dzisiaj...

I Pawełek rzucił okiem na pusty martwy gmach nieistniejącego już dziś szpitala żydowskiego... Wydawało mu się, że gmach ten przygląda się otworami swoich zamartwych okien królującej dookoła martwej pustce, z jakimś koleżeńskim dla Powążek współczuciem ślepeca — trupa...

I Pawełek spieszy na cmentarz z przeświadczeniem, że wszystko, co kocha — jest jedyne tam: I jego własni rodzice i rodzice Jurka. A on sam Pawełek — żyje także jedynie tam! Kontemplacją świata z ponad grobów. Bo żywą Warszawą, pełną wspomnień, odczuć i radości są jedynie Powązki.

Zakupywanemi u wrót wieńcami ukwiecał stale dwa groby ś. p. matki i pani Romy. W cichej zadumie z obnażoną głową stawał przed ich nagrobkami i mrugał ruchem swoich osłabionych powiek, w którym jedynie obie nieboszczki potrafiły tak dokładnie odczytywać szarpiącą tajemnicę jego duszy. Usiadł na ławce z głową, zakrytą dłońmi.

Z poza ich trumien Pawełek wyczuwał kojący balsam serc tych dwóch kobiet, z których jedna go kochała, a druga cenila w nim jego miłość dla swego syna. I jedynie tu, a nigdzie indziej słyszał

śród szmerów liści i świergotów ptactwa słowa serdecznej pociechy:

— Wiemy. Być samym, to największa rozkosz. Lecz i największa męka. Poczucie tego bólu może pokryć jedynie huk szalu pijaka; a do tych upojeń jesteś niezdolny. Pragniesz miłości, a nie miłość. A wielka miłość u jednego ołtarza tworzy się jedynie z nagromadzonego zapasu uczuć, nierozdzielanych w drobnej monecie. Tylko człowiek zimny, nieczuły, z jednej sztuki — zdobywa się na takie zapasy, oszczędzane w swojej zamkniętej spiżarni. A ty będziesz zawsze sam śród tych wszystkich, których kochasz jednakowo. Sam nawet u boku twojej przyszłej żony i dzieci, które nie wybaczą ci nigdy, że żyjesz nie wyłączną myślą o nich, lecz i o tamtych, którym współczujesz, choć ci są obcy. Z wiecznem pragnieniem światła i ciepła, jakie w naszej ziemskiej strefie nie istnieje — będziesz daremnie wyciągał ramiona do słońca, które pali, lecz nie grzeje, z wiecznem swym kalectwem wyrozumiałego czytania pomiędzy wierszami, które tamuje nienawiść, lecz i ogranicza miłość. Z wiecznym żalem do wyroków losu, które skazały cię na niemotę obrony swoich własnych ideałów i protestów. Bo poskapiono ci siły, zręczności i talentu wypowiedzenia tego, co cię boli. Bo nie jesteś ani tak zwanym natchnionym mistrzem, ani kompozytorem, ani wieszczem. Tragiedja odmówionego przez nieba daru techniki rze-

mieślniczej wraz z podarkiem piekieł: z duszą artysty, na której, jak na złotych harfach, poruszanych wiatrem drgają cudne melodie uczuć i prawd! Lecz niestety nie słyszy ich nikt, bo struny harf zerwane!

Tak, tak, robaku. Znasz przecież męki tej Donizetti'owskiej „Niemej w Porici“, której gościów nikt nie rozumie, Kabotyni i akrobatki potrafią przynajmniej koziołkować.

Pawełek ukląkł na darniowej mogile pod prowizorycznym drewnianym krzyżem, chłodząc pograżoną w dumach głowę o blachę, na której zło-ciło się wyblakłym już śladem imię i nazwisko ś. p. matki. Jakiś atom ukojenia ogarnął go, jakby powiewem skrzydeł ponad jego głowę. I ze zwykłym optymizmem pesymistów, pogodzonych z góry z najgorszym — dziwił się z pocieszającą go myślą, że ostatecznie mogło mu być na świecie jeszcze gorzej.

Bo nie zrobił wprawdzie wielkiej kariery, której zresztą nigdy nie pragnął; lecz posiada przecież jaki taki dach nad głowę, całe obuwie i obiad stale zapewniony. Zapewne to o n a tam wymodliła to u aniołów. A widocznie więcej zdziałać dla niego już nie mogła, choć z całych sił zabiegała.

— Chwała Bogu i za to — westchnął z pewną ulgą, że przynajmniej tam ktoś myśli o nim i nie da mu zginąć. Uśmiechnął się tym dawnym uśmie-

chem z Leszna i, całując złożone na grobie kwiaty, żegnał się z matką.

— No. Już odchodzę, bubuska.

— Pi, pi — zaświergotał mu w samo ucho jakiś najśmielszy wróbel, który w śmiesznych podskokach wyśmiewał wielkich, zmarłych gienjuszów, podczas kiedy on taki małeńki wróbellek kręci główką, świeci czarnemi paciorkami swoich oczu i żyje.

Pawełek wyjął z kieszeni bułkę, którą nosił zwykle dla łabędzi w Łazienkach i dla ptactwa w ogrodach. I łyzy zakreśliły mu się w oczach; jakieś lube łyzy, które nie wypływały mu nigdy z oczu wśród wielkich tragedji, jakie przeżywał. Bo nawet śmierć matki ciążyła mu na sercu suchym twardym kamieniem, pomimo, iż błagał niebo o upust łez, jak rolnik wśród posuchy o ulewę. Za to, choć nie posiadał talentu wyśpiewywania ukochanych arji, z tą pamięcią gila, z jaką Jurek je wygwizdywał i brak mu było zdolności, z jaką byle jaka pensjonarka utrwała ołówkiem lub piórem nieodeczone zupełnie pejzaże, lecz za to na sam dźwięk nokturnów Szopena, na sam widok gór, morza, lub ptactwa — jakieś kojące lube łyzy łechtały jego źrenice. Zaczzerwieniały mu nos i nieoczekiwane spływały po policzkach, aż ku wielkiemu wstydowi musiał uciekać, aby nie narażać się na pośmiewisko ludzi...

Znał już te łyzy, specjalne swoje łyzy, pełniące

u niego obowiązki śmiechu, którym inni głośno wybuchają. A u niego lzy te w cichych potokach spływały i, jak rosa — kwiaty uczuć jego duszy paliły na widok zachodów słońca, fal morza, szczytów górskich, ptactwa, lub dziecka, bawiącego się w kołysce.

I Pawełek począł rozmawiać ze zbiegłem ze wszystkich stron cmentarza stadem wróbli, walczących ogromnie śmiesznie o kęski chleba u jego kolan, jak z przyjaciółmi, których brak tak głęboko odczuwał:

— Nie spieszcie się tak. Bułki dla wszystkich starczy. A tyś już swoje dostał, żarłoku!

I zdawało się Pawełkowi, że słyszy z poza trumny głos miłośnie przekomarzającej się z nim matki, która strofuje go:

— Ach! Ty, ty. Co Pawlutas wygaduje! Usta nie zamykają ci się. Ty niepoprawny gaduło!

— Gaduła! — uśmiechnął się Pawełek. — Tylko ona jedna знаła go takim, jakim w istocie był. Znała go, bo go kochała. A u reszty świata uchodzi on przecie za oschłego sobka.

Koledzy, jak jeden mąż stwierdzili, że jest wprawdzie dość porządnym człowiekiem, lecz zimnym oschłym egoistą, a przytem nudnym, nieprzystępnym zarozumiałcem, którego można od biedy uznawać, lecz zbliżyć się z nim nie można. Mruk, zarozumialec i safanduła!

— Bubuśka! Już odchodzę — kaprysił, jak jedynaczek, którego gwałtem zatrzymują.

— Panie Pawełku, panie Pawełku — zbudził go z zadumy jakiś głos „z tamtych czasów“.

— Pani Roma? — Dziwił się z obawą, czy nie oszalał. — Bo przecież nikt w świecie nie nazywa go już Pawełkiem z wyjątkiem Jurka, bawiacego obecnie w Londynie.

— Panie Pawełku — wyciągała ku niemu radośnie ramiona jakaś zgarbiona staruszka, którą — pogrążony w swoich myślach — poznał wreszcie swojemi mrugającymi oczami.

— Panna Petronela!

— Poznał pan Pawełek pannę Petronełę?

— Naturalnie od pierwszej chwili. A to ładnie ukrywać się przedemną od tylu lat! Tyle lat! — mówił do niej tonem, którego nie używał już nigdy ani w biurze, ani z potocznymi znajomymi.

Panna Petronela, także widocznie uszczęśliwiona możliwością zwierzenia się z ciężarów obecnego życia — tłumaczyła mu, że bawiła przez pewien czas u swojej siostry, bufetowej w Nowo-Radomsku. Ten pobyt „kołkiem w gardle już jej stanął“, bo „gdzie stolarzy sześć, tam niema co jeść“.

A potem przyszedł „Perpetum apostolorum, per pedes mobile, primo voto“ e tutti quanti.

— Teraz mieszkam u tej siostrzenicy, co to miała kiedyś pralnię. Pan Pawełek ją zna?

— Naturalnie. Przecież byłem kiedyś korepetytorem jej syna. Jakżesz się jej powodzi?

— Ze śniegu pod rynnę. A ze synem ani przypiął, ani przyłatał. Pomagam jej, jak pies w szufladzie.

— Panna Petronela? — zdziwił się, ubawiony jej metaforami, z biegiem lat jeszcze mniej fortunemi.

— Zajmujemy się obie krawiecczyną. Ale szujemy jedynie w domu, bo starych nie chcą brać już ani do szwalni, ani do domów prywatnych. Per pedes mobile już biegać nie mogę. I pracujemy bez wytchnienia, jak perpetuum apostolorum. Ot żyje się, jak kapusta przy drodze. A uskarżać się — byłoby grzechem, bo innym gorzej bywa. Żyje się w ciężkiej pracy, ale ostatecznie głodu nie zaznajemy. Nawet w pończosze na trumnę uciulałam. A jakże! I na płytę kamienną grobu rodzinnego, w którym spoczywają zwłoki mego brata, który posiadał kamienicę na Piwnej. Pan Pawełek pamięta?

Pawełek ogarniał staruszkę tkliwym wzrokiem. Zgarbiła się znacznie, posiwiała, skurczyła. Lecz Pawełek nie mógł dość nasycić się jej widokiem i jej „stolarzami, kołkami w gardle i kapustą przy drodze“.

Przypomniiał sobie ulicę Inflancką, śmierć matki i dobroć panny Petroneli, z jaką prowadziła go za rękę, jako małego chłopca — sierotę za skrom-

nym jednokonnym karawanikiem... I zaślśniły mu w oczach piękne salony na Królewskiej. Drzwi szklane jadalni i altanka w ogrodzie Saskim...

I ze swoim kultem dla wspomnień uśmiechał się do panny Petroneli, pomimo, iż nietylko rysy staruszki mało przypominały dawną czerstwą energiczną rezydentkę, lecz i starcza dusza jej widocznie zatracala swoją ziemską indywidualność — sprowadzana do wspólnego mianownika atomów wszech-świata.

I Pawełek fetował staruszkę w jakiejś podrogałkowej mleczarni. Częstował białą kawą z ciastem. Dał jej swój adres. A na pożegnanie wręczył z pugilaresu banknot dziesięciorublowy, zapewniając ją, że w biurze otrzyma wkrótce dość znaczną miesięczną podwyżkę i że nie stanowi mu żadnej różnicy — udzielać jej stałą miesięczną zapomogę.

— Bóg mi pana Pawełka zesłał — składała jak do modlitwy dłonie pana Petronela. — Przeczuwałam, że szczęście może spotkać mnie tylko tu na Powązkach. Choć wiedziałam—jak to mówią gdzie gwizdzą, ale nie wiedziałam w którym kościele. A tu masz babo maskaradę! Właśnie byłam u mojej poczciwej pani tuż koło grobu mego brata, tego co to, wie Pawełek, miał kamienicę na Piwnej. Bo koło tych dwóch grobów stale się modliłam. Tylko w innych godzinach, bo stale przychodziłam raniutko przed sumą. A dziś Bóg podszeptał

nał mi, abym przysłała po sumie i pomodliła się u grobu matki pana Pawełka. Choć mi to było z drogi, Bóg wynagrodził mnie za wszystko. A pan Pawełek nie ożenił się jeszcze? I nic się nie zmienił. Taki skromny i poczciwy, jak dawniej. Widziałam, jak pan Pawełek wróble karmił. Choć mam oczy szyciem zmęczone, wnet dojrzałam i powiedziałam sobie: Patrzcie państwo! To pan Pawełek! A co się dzieje z Jureczkiem? Przepadł jak kamień w lodzie — terkotała rozochocona, cytując wciąż tysiączne wspomnienia wspólnych przeżyć z dyskretnem wykreśleniem jedynie pana Witolda, który, jako plama — nie mógł figurować w tradycjach.

Pawełek wtajemniczał starą w korespondencję Jurka z omijaniem naturalnie kobiet „pięknych jak marzenie“, to znów „zbudowanych jak nigdzie“. Tylko — niestety, o czasie powrotu jego do kraju nic nie wiedział. A w ostatnich miesiącach korespondencja dwóch przyjaciół zupełnie się urwała. Bo Pawełek na kilka wysłanych listów nie odebrał już żadnej odpowiedzi.

— Gdzież tam takiemu pędziwiatrowi — machnęła ręką panna Petronela — chciało by się listy pisywać. — Znała dobrze swego ukochanego gagatka i zakonkludowała: Biedaczysko zaginął, jak oliwa w wodzie.

Rozkoszowali się oboje swoim towarzystwem, jak kochankowie. Staroświecczyzna otaczającej

ich podrogałkowej cukierenki doskonale łączyła się z ich wspomnieniami.

— Kawa primo voto — delektowała się panna Petronela ze starczem łakomstwem, zamieniając po swojemu primo cartello na primo voto.

I Pawełek, jak na romantyka przystało — lubował się miną cukiernika: Wydawał mu się podobnym do tłustych rzeźników na szyldach dawnych wędliniarni zaułkowych; a słodkim, jak owe naiwnie malowane ongi nad drzwiami cukierenek piramidy, torty i baby lukrowane. Tak w sklepach konfekcji podobne stają się do manekinów usługujące z manjerowanym uśmiechem panny sklepowe.

Pawełek wstrzymywał usta od pocziwych uśmiechów, aby niezrazić panny Petroneli, utyskującej na wrażliwość siostry, bo „uderz w stół, a klawisze się odezwą. Bo gdzie rąbią — tam kamienie spadają. Bo pan Bóg strzela, a myśliwy kule nosi. I raz kobyle śmierć“. Wreszcie zapłacił za kawę. Lecz rozstali się ze sobą dopiero w konnym tramwaju.

Pocziwa panna Petronela zjawą swoją otworzyła naościęz wrota jego duszy. I Pawełek nie bawił się w teatrze Rozmaitości już dawno tak dobrze, jak tej niedzieli. Poza zapachem dziecięcych wspomnień, czuł w swojej dobrej duszy ożywiający aromat dobrego uczynku. I ta ekspansja tkliwości, nie nadużywana w płciowych miłosnych

uściskach, znajdowała w nim ujście w wyciąganiu ramion ku ptactwu, ku dzieciom, ku starcom i nie-szczęśliwym.

Lecz zaraz nazajutrz w Poniedziałek zaledwie zamknął na klucz w szufladzie swego piekielnego biura robotę, w której usiłował zanurzać się w nie-poczytalnym transie, jak pijak—uczuł znów za dotknięciem piersi stały ból nieuleczalnie zranionej piersi: Dziwny ból, polegający na żalu do samego siebie, iż nie może pomimo woli wybaczyć ludziom tych wszystkich krzywd, jakich od nich zaznał. Ci wszyscy nieodpowiedzialni wprawdzie, bo bez-myślni — już zbyt dawali mu się we znaki. Owo ustawiczne podkreślanie wyłącznie jego wad, które on sam znał najlepiej, lecz których pozbyć się, niestety, nie mógł. I ten wieczny tryumf tych wszystkich szczycących się tem, że wad Pawełka nie posiadają, a z własnych, stokroć większych w swojej autoignorancji sprawy sobie nie zdają.

To wszystko prawda. Lecz przecież przynajmniej on sam Pawełek powinien być wyrozumiałym dla słabości nędznych grzeszników. A jednak to było ponad jego siły.

Nie mógł darować im najboleśniejszego żądła: ośmieszali go, karykaturowali wszystkie jego zalety z zawiści, że sami ich nie posiadają.

Wydrwiwali jego ład życiowy, starannie wyczyszczone ubranie i regularnie opłacaną praczkę i komorne. Wyszydiali jego pracowitość biurową

i łatwość do usług koleżeńskich, z jaką zastępował wszystkich chorych i uświadamiał mniej zdolnych z tym altruizmem, z jakim korepetytował ongi i narażał się władzy szkolnej, odrabiając za Jurka zadane lekcje.

I podkreślali niezmordowanie wady Pawełka, zrodzone i spotęgowane przez złość ludzką i niewyrozumiałość. Tak; faktycznie, był mrukiem, bo musiał nim zostać. Tak; odłączył się od wszystkich zasymilowanych z podobnymi jak krople wody do siebie; bo ich także krepowało najwidoczniej towarzystwo dziwaka z innej parafji i z innej planety.

Bo w ich pojęciu jedynie dziwak lub anarchista przewartościowyywa utarte kłamliwe komunały, zastępując je wyjętami ze skarbcza czystej swojej duszy — prawdami bez kursu zdawkowej w obiegu drobnej monety.

Tak. W rozterce ze zdecydowanemi programami i zapatrywaniem, z wstępniemi artykułami wszystkich dzienników politycznych, filozoficznych i artystycznych — musiał zamknąć się w swojej norze, aby pozwolić sobie na jedyny luksus: rozkosz śpiewania akordami, choćby i zgrzytami; byle nie unisono w takcie podług batuty najętych orkiestrowych kapelmistrzów. Bo ta skromna życiowa płotka była ambitniejszą od najgrubszych ryb, ba, nawet od swoich naczelników, prezesów i królów! Bo skromny Pawełek potrafił czuć

i myśleć jedynie swojemi własnymi najszczerzszemi uczuciami i nagiemi myślami, przez samego siebie przeżytemi i przecierpianemi. Nie bagatela!

Dla tego mruk musiał unikać ludzi, aby nie obrażać programowych kłamstw, których obalić nie miał sił; a brnąć w kałużach trzód nie chciał. I jedynie w niemym proteście zamykał usta na cztery spusty, aby nie wybuchnąć w żadnej kwestji, ujmowanej podług ogólnego kamertonu starych oklepanych śpiewek.

I w odpoczynku poobiednim po wyczerpującej pańszczyźnianej biurowej orce — dla osłodzenia życiowych goryczy wchłaniał w siebie rozkoszne koszmary minionych dni dziecięcych, w których stale wypływał jego przyjaciel z wiecznym uśmiechem bieli zębów — to w aksamitnem marynar-skim ubranku pierwszych dni „sztuby“, to w rozmówkach w księgarence jego matki, to na Inflanckiej. Ów z jednej sztuki pogodny motyl, którego Pawełek tak lubił głównie dla tego, że był tak innym, niż on sam, choć Pawełek tak pragnął by być do niego podobnym, gdyby się powtórnie urodził!

Lecz dziś stokroć większa jeszcze radość go czekała, niż wczorajsze spotkanie panny Petroneli na Powązkach. Oto nieoczekiwany list spadł mu z nieba. Od kogóż mógł być ten list? Pawełek od nikogo listów nie otrzymywał. Tylko jedynie od Jurka! List od Jurka! Niezależnie od odległo-

ści, sam charakter pisma na kopercie działał już tak, jak osoba korespondenta. Znał te litery dobrze od czasów pierwszej klasy. Odetchnął błogo. Stwierdził oddawna, że obecność uśmiechniętego pogodnego zrównoważonego Jurka działa na niego, jak brom; uspakaja mu nerwy i rozwiewa chmury jego duszy. Lekarstwo działało widocznie bez względu na odległość. I Pawełek wertuje list z coraz większemi wypiekami na twarzy. Nie dowierzając swoim oczom, odczytuje głośno poraz drugi wyraz po wyrazie: List, pisany na statku w drodze z Londynu do Hamburga. Jurek donosi swemu przyjacielowi, że w ciągu tygodnia będzie w Warszawie, w której zamierza pozostać na stałe, bo tułaczka na obczyźnie już mu się sprzykrzyła. Nie określa jeszcze dnia przyjazdu, obiecując zawiadomić depeszą.

Pawełek mruga oczami, biega po pokoju, rozmawia z samym sobą, bo dawka uspokajającego bromu okazała się zbyt silną i działała przeciwnie.

Dziesięć lat! Całych dziesięć lat upłynęło od ostatniego ich widzenia. I zobaczy go w przyszłym tygodniu!

Aby dać ujście wezbranym uczuciom, począł rozmyślać o uroczystościach przyjęcia, jakgdyby należało przygotować fanfary i dekorować mieszkanie chorągiewkami. Oczywiście Jurek zamieszka u niego. Nie wątpił, że z zamorską jego karierą musi być krucho.

I Pawełek rozgląda się po swoim schludnem mieszkanku z porządnie ułożonemi książkami na stole, z gipsowem popiersiem Szopena i ze świeżemi kwiatami w wazonie. W rogu etażerka z jego skarbami: *Causeries du lundi* Sainte Beuve'a i cyklopja Komedja Ludzka literackiego Michała-Anioła-Balzaka. I Listy z Włoch Hipolita Taine'a i spółczesna epopeja mieszczańskiej obłudy i perversji o mrówczej technice: Flaubertowska Pani Bovary. I jego złoty ołtarzyk, z którym nie rozstawał się nawet w podróży w kieszonkowym wydaniu — Pan Tadeusz.

W przyszłym tygodniu przyjeżdża... Rozejrzał się po swoim pokoju.

Należało dokupić jeszcze jedno łóżko i ulokować je w saloniku. Wpadło mu do głowy, czyby nie można jechać na spotkanie przyjaciela do Skierniewic. Miał ogromną ochotę zakupić u Stępkowskiego przysmaków na kolację. A może i trochę kwiatów...

Lecz obawiał się, że Jurek go wyśmiejie...

XI.

Depesza nie nadchodziła. Dopiero następnej niedzieli, kiedy Pawełek z biletem teatralnym w kieszeni delektował się (jeszcze nie przystrojony w tużurek) odpoczynkiem na otomanie po całotygodniowej orce biurowej — przejęty ostat-

niemi zarządzeniami przyszłych uroczystości domowych — ktoś zapukał do drzwi!

— Proszę! — krzyknął trochę drżącym głosem pewny telegramu, a może w przeczuciach większej jeszcze niespodzianki...

W pokoju, w blaskach zachodzącego słońca pojawił się wysmukły młody mężczyzna w jasnym, jak ulanym angielskim surducie, w popielatym cylindrze, z blond wąsikiem na kobiecych wargach, z żakowskim uśmiechem, jaśniejącym z niebieskich oczu i z błyszczącej bieli zębów; kształtny, strojny, jak wycięty żywcem z angielskiej ilustracji, amant powieściowy.

— Jurek, Jurek, Jurek! — szeptał matczynym głosem Pawełek.

— Jak się masz, stary? — pocałował go w oba policzki, jak z dubeltówki. — Byczo wyglądasz!

— Jurek, Jurek! — wykrztusił mozolnie w bolesnej rozkoszy, że otwarto już okno więzienia, w którym się dusił, że uciekla bezpowrotnie zatruta handra. Przeszłość zmartwychwstała. Jego mieszkanie — naraz ozłoczone dźwiękiem tego lubego głosu młodych lat... Chaos myśli tłoczy się Pawełkowi po głowie... Zielony mundur ze złotymi guzikami, uliczka na prawo, schodki na lewo... Ten sam śmiech z pauzy gimnazjalnej... Ten sam dźwięk mowy, którą zachwycił jego matkę w księgarence, panią Romeę na Królewskiej i Aurelkę...

Ten sam głos, którym tak irytował pana Witolda... Ten sam, ten sam...

Na usta Pawełka cisną się jakieś miłe słowa... Chciał wspomnieć mu o jego matce... I zacisnął wargi w przeczuciu, że dzieci nie przebaczą zmarłym rodzicom wykrytych plam na ich honorze, które tak wygodnie zacierają im dobrą pamięć o zaletach zmarłych.

— Jurek, Jurek!

— No, no. Tylko się nie rozplacz ze wzruszenia! — oblał go Jurek, poczynając opowiadać mu zupełnie bez gorączki podróży swoim głosem, pozbawionym w zupełności akordów niewypowiedzianego wewnętrznego życia, dźwiękami unisono potocznej mowy:

— Czemu nie przysłałem depeszy? Ponieważ nie widziałem celu. Przyjechałem dziś po południu.

— Dziś po południu? A teraz już wieczór.

Tak. Czas Jurkowi jakoś zleciał. Stał w hotelu Maringe'a. A teraz jest szalenie głodny i chciałby z Pawełkiem iść na kolację. Lecz Stępkowski jest zbyt drogi, a nowopowstałych w Warszawie restauracji on jeszcze nie zna.

Pawełek proponował starego Brajbisza, do którego chodzi zwykle w święta po teatrze na pieczeń wołową z różną, kosztującą dwadzieścia kopiejek. To przecież nie zbyt drogo.

— Doskonale. Przynajmniej nie zrujnujemy się.

Rzecz prosta, że o zakupionym już przez Pawelka niedzielnym bilecie do Rozmaitości mowy być nie mogło. W drodze do Brajbisza Jurek rozgadał się może wskutek mrukostwa swego przyjaciela. Rozповідаł mu swoje osobiste spostrzeżenia o Anglii, znane już zresztą Pawełkowi z jego listów. W tych „indywidualnych“ jego wrażeniach dominowały obserwacje, że w Londynie Węgierki znakomicie w tinglach tańczą czardasze; a z wrażeń włoskich powtarzał cytaty o znakomitem winie ccianti i o kobietach, zbudowanych, jak nigdzie. Skonstatował już ze smutkiem brak w Warszawie wirginji z długimi słómkami, które napotyka się w każdej wiedeńskiej i krakowskiej trafice. Bo tak się do nich przyzwyczaił, że będzie mu trudno bez nich się obyć.

Wspomniał też Pawełkowi o swoim patencie inżynierskim, który zdobył po rocznym semestrze w New-Yorku.

— Jest to naturalnie amerykańska blaga. Zawdzięczam ten patent nie tyle własnej pracy, ile mojej wygranej w Monte Carlo. To przecież także moja własna praca — żarcikował po swojemu.

— Zresztą pozatem pomogła mi w tem i inna moja osobista zasługa — kończył filuternie. — Gdyby nie żona dyrektora owej akademji w New-Yorku — nie zdobyłbym tego patentu tak tanio. Ach! Te amerykanki! — Bycze kobiety! Ha, ha!

A jednak pan inżynier — to brzmi wcale nieźle. Co?

Pawełek, aby nie uchodzić za mruka, zapytał go o tę „piękną, jak marzenie“ żonę dyrektora ze Szczawnicy, domyślając się, że i ona również, jak ongi Aurelka, Amerykanka i t. d. musiała szaleć za jego pięknym przyjacielem.

— Była u mnie, to jest widzieliśmy się ze sobą w Londynie. Bawią zwykle latem w Blanckenbergh. Bardzo się zmieniła. Dobra kobieta, ale strasznie nudna — utyskiwał zawsze na uczucia kobiet z towarzystwa, na które godził się jedynie z musu. Bo gdyby był w stanie płacić — wybierał by zawsze kokoty, jedyne kobiety, jakie go bawiły.

Skreśli w stronę Teatru Wielkiego. Ze swojej stałej przystani na Teatralnym Placu, (niezajętym jeszcze obecnymi dwoma kwietnikami, a roztaczającym się szeroko wśród cieniu starodrzewia niepodzielnie aż do bramy ratusza) suną doróżki t. z. wagnerówki z końmi w krakowskiej uprząży z żółtoczerwonymi blaszanymi chorągiewkami u kozła. I, ścigając się, zajeżdżają pędem przed „schodki Stepka“, po złotą młodzież, która opuszczała zakrytą dyskretnie zielonemi firankami u szklanych drzwi świątynię ziemskich rozkoszy: gabinety z szampanem. Lecz najpompatyczniejsi doróżkarze z wysokości swoich kozłów obrzucają z pogardą ukazujące się na schodkach małe płot-

ki, w oczekiwaniu najhojniejszego ulubieńca i królika Warszawy, hrabiego Gucia. Wreszcie doczekali się: To on ze swoją popularną otyłą rasową twarzą swywolnego patrycjusza.

— Patrz! To Guccio Potocki! — zauważył Pawełek.

— Nie zmienił się wcale od lat dziesięciu — zdecydował bardzo interesujący się nim Jurek.

— I nosi taki sam cylinder, jak i ty — kokietował swego gościa uprzejmy zawsze Pawełek.

— Bo to ostatni model londyński — uświadamiał go z chlubą Jurek.

Lecz drzwi Sezamu Stępka bez złotego zaklęcia pugilaresu były dla nich niedostępne. I dwaj przyjaciele musieli zadowolnić się sąsiadującym Brajbiszem. Weszli do bramy, za którą na miejscu obecnej sali kinematografu — mieścił się karykaturalny wyasfaltowany „ogródek“ z kilkoma zeszlęmi w żelaznych okratowaniach drzewkami rachitycznymi, z bluszczem, wijącym się na ożaluzjowanych dyskretnie altankach gabinetowych, z latarniami naftowymi na zielono malowanych słupkach.

W wielkim pawilonie bufetu wśród stosów kanapek, rzodkiewek, grzybków, szparagów, ogórków i innych nowalijek — rezydowała tu stale otyła pani Brajbiszowa w otoczeniu swoich habitués, współpracowników „Kurjera Codziennego“, którego rywale z „Warszawskiego“ spędzali bardzo

przeciągłe wieczory u sąsiedniej „Andzi“ Czulińskiej.

Lecz wołowa z różną okazała się podług definicji Jurka gorszą od tej, jaką spożywają w Londynie stróże nocni. Zamieniono ją też kurczętami i rakami. Do ich stolika przyłączyli się też szkolni koledzy: Bodurkiewicz, Budziszewski i Gębarski, którzy nie zbliżali się nigdy do przesiadującego tu zwykle w oddali — sobka.

Należeli do parafji tych, którzy uważają, że życie — znaczy: koniak, kobieta i karty. A pracuje się dlatego, aby zdobywać pieniądze na ten jedyny cel istnienia. Pawełek pojmował też doskonale, że to nie jego osobiste zalety przyciągnęły dziś to niezwykle liczne towarzystwo. Bo koledzy szkolni odwiedzali go ongi jedynie w celu dowiedzenia się, czego właściwie żądał nauczyciel na ostatniej lekcji i jak objaśniał progresję, logarytmy i teoremy. Lecz pozatem już w latach dziecięcych nie lubiano ani jego solidności, ani wyrozumiałości dla przeciwników i dla nieobecnych, pomimo, iż krytykowanie i wyszydzanie pozaoczne należy przecież do największych rozkoszy. Wydawał im się w towarzystwie wprost irytującym ze swoją stałą obroną spraw przegranych i z wiecznem ujmowaniem się za skazańców przez większość opinji. Koledzy pogardzali i jego niezgrabnością, krótkim wzrokiem i śmiesznymi ruchami. Jedynie, jego okulary primaków interesowały;

a kiedy odmówił ich ongi Bodurkiewiczowi, ponieważ zbyt często mu je tłukli — od kilkunastu już lat kolega Bodurkiewicz nie kłaniał mu się na ulicy.

Naturalnie nie byli takimi kanalcjami, jak Lisowski i Jegorow; lecz ten sam mur żywiołowej odrębności odłączał tych wszystkich t. zw. dobrych chłopców, krzywdzących stale swoich krawców, szewców i praczki i uwodzących dziewczyny od tego pogardzanego przez nich mruka, mającego pasję być w porządku ze wszystkimi, w wiecznej obawie, aby nie zabłócić się, choć nikt od tego przecież nie umiera. I dziś Bodurkiewicz, Budziszewski i Gębarski zwracali się z przyjaznemi uśmiechami jedynie w stronę sympatycznego Jurka; zapomnieli już oddawna o niewłaściwości jego przebywania ongi pod dachem quasi narzeczonego matki. Pani Roma i pan Witold należeli już do historii przedpotopowej. A wady Pawelka były niezienne, wieczyste. I z lubością wsłuchują się teraz w miły oportunizm Jurka, spowodowany, obfitością piwa i koniaków.

— Nie pojmuję, jak można być smutnym, kiedy posiada się w kieszeni dziesięć rubli, za które można przecież zawsze dobrze się zabawić.

Koledzy pod wpływem alkoholu poczęli komplementować Jurka:

— To ty wskazywałeś nam zawsze, gdzie są najlepsze bilardy, najtańsze piwo, papierosy i naj-

ładniejsze dziewczyny. Nie uchylałeś się nigdy od żadnej zabawy, jak inni. I wszystkie nasze najweselejsze chwile zawsze łączą się w pamięci z tobą.

— Naturalnie — brawurował. — To tylko głupcy upierają się analizować odwrotne strony medalu, choć przykry jego widok odbiera humor, łatwe trawienie i przyjaciół. Bo przecież żaden z was nie chciał by obcować ze mną, gdybym nie był zabawny i gdybym począł uskarżać się na niepewność mego jutrzejszego obiadu i na brak paltota zimowego.

— O! Ty, stary satyrze! — oburzali się niezszybczy przyjaciele, nie zupełnie pewni do czego zmierza — Nie wierzysz w przyjaźń? A Pawełek?

— E! Pawełek — to — człowiek anormalny — dotknął w zapale jego pięty Achillesa i wnet poprawił się, aby go udobruchać. — Nie masz czego się dąsać. Normalni ludzie — to takie kanalje, jak my.

— Ha, ha! — roześmieli się biesiadnicy. — To tacy, którzy mają kielbie we łbie i plotą, co im ślina przyniesie, aby tylko nie mieć ust zamkniętych.

— Przecież i wy nieraz milczycie — usprawiedliwiał się zawstydzony Pawełek.

— Prawda. Ale widzisz — nasze milczenie nikogo nie męczy, bo jest podobne do naszej mowy: Wszyscy domyślają się, że kiedy nie mówimy, mamy także kielbie we łbie, t. j. jedyną myśl, skąd wziąć pieniędzy i jak je potem puścić.

— Naturalnie. Podczas kiedy Pawełek myśli, po co się żyje i po co się umiera?

— No i o tem, czemu każdy stróż nocny nie je kury na niedzielny obiad i czemu nie posiada w mieszkaniu światła elektrycznego i kąpieli.

— Ha, ha, ha!

— Lecz powracając do ludzi, nie takich, jacy powinni być, lecz jacy są — rozgadał się wyjątkowo wymowny na swoich śmieciach Jurek — to przyznajcie, że przeciętny człowiek nie nadaje się do odczuwania wielkiej sympatji do osobników tej samej płci. I niebardzo obchodzi go kąpiel stróża, czy też obiad kolegi szkolnego. Śmierć przyjaciela dotyka ludzi mniej, niż strata zawieszonego u dewizki breloka, do którego przyzwyczailiśmy się. Czy nieprawda? A wyjazd dziesięciorzędnej przyjaciółeczki, która nam jeszcze się nie sprzykrzyła dotyka nas bardziej, niż rozstanie się na dziesiątki lat z najwierniejszym przyjacielem; można z powodu takiej przykrości stracić co najwyżej apetyt do obiadu lub pół godziny snu w nocy.

— I to bardzo wątpliwe.

— Naturalnie. Bo ta dziesięciorzędna przyjaciółeczka zowie się poprostu kochanką, którą psia krew...

— Właśnie! Którą nasza zwierzęca psia krew egoistycznie wzywa. A kochać tę kochankę, czy też żonę każde zwierzę potrafi i musi.

— Lecz może nadejdzie kiedy czas — wyrwał

się mimowoli uporeczywie milczący Pawełek — kiedy ludzie poza sztucznie wyidealizowanemi przez poezję zwierzęcemi instynktami — zajaśniają jeszcze altruistyczną radością dusz, kochających darmo, z jedyną zapłatą własnego duchowego zadowolenia.

— Zgoda co do ogólnej miłości do narodu lub do bliźnich, lecz nigdy ku jednostce, ku pewnemu jakiemuś bliźniemu. Kochać pewnego jednego bliźniego, który nie jest ani naszym ojcem, ani synem, ani bratem — to — jak słusznie zauważył Jurek — jest wprost anormalne.

— Naturalnie. Przymilać się do ubogiego — jest idjotyzmem, a do bogatego — karjerowiczostwem.

— Lubię kwiaty, ale w maju — paradował modnemi wtedy wyrażeniami Bodurkiewicz. — Nie mnie brać na kawał. Z dziewczynkami — to zupełnie inna para mankietów, bo tam przynajmniej wie się, o co chodzi. A pozatem każcie się wypchać!

— Kochankę znacznie łatwiej znaleźć w życiu, niż przyjaciela — zauważył Pawełek.

— Ale bez kochanki — nie można wytrzymać ani tygodnia. A bez przyjaciela całe życie — zdecydował Bodurkiewicz.

— Nigdy w życiu nie czułem braku przyjaciela i nie poszukiwałem bratniej duszy — roześmiał się Gębarski.

— To ty sądzisz, że posiadasz duszę? Megaloman! Ha, ha, ha!

Nastrój przy obfitości kuflów stawał się coraz bardziej ożywionym. Jurek cytował z wielkiem powodzeniem swoje osobiste wrażenia włoskie w kwestji wina ccianti, oraz budowy tamtejszych kobiet i węgierek czardaszujących w tinglach Londynu. Młodzi polscy patrioci ujmowali się za Warszawą, w której spotyka się kobiety, zbudowane nie gorzej, niż we Włoszech, a przejeżdżające do Petersburga węgierki, czardaszują w tinglach warszawskich nie gorzej, niż w londyńskich. Szczególniej była tu jedna... Pawełka, jako niekompetentnego w tych kwestjach nie pytano o zdanie. Zresztą byli przyzwyczajeni do milczenia mruka.

Dla zakończenia wieczoru układano jeszcze jakąś nocną eskapadę. Lecz zdania ścierały się wobec propozycji karcianych. Pawełek, który wstał wcześniej od innych — odmówił kategorycznie udziału w dalszej zabawie. To jego uchylanie się od towarzystwa nie było dla nich niespodzianką. Proponowali mu jedynie dla formy i woleli, że nie decydował się psuć im zabawę, jako piąte koło.

Przy sąsiednim stoliku zasiadł jakiś jegomość z bardzo strojną damą. Jurek, zauważywszy ich, zdziwiony tem nieoczekiwanem spotkaniem — zaklął z nagłym marssem na czole. Lecz wnet po se-

kundzie wahania usprawiedliwiał się, że musi przywitać się z nowoprzybyłymi znajomymi, ponieważ go dostrzegli. Po chwili, powróciwszy do dawnego stolika, przeprosił kolegów, że z wielkim żalem musi ich opuścić, ponieważ nie może odmówić zaproszeniu nowoprzybyłych.

Wobec tego, że w grę wchodziła tu najwidoczniej dama — koledzy znacząco, zgrywając się w dyskrecji — ustąpili bez wahania. I Jurek począł żegnać się z nimi. Żal rozstania się z kolegami — znać było po nim, że był szczery.

— Nie, nie — zwrócił się do zamierzającego odejść Pawełka — musisz pozostać ze mną. To są ci państwo ze Szczawnicy. Dyrektor kopalni „Heban“ z żoną. Znają cię z moich opowiadań i chcą koniecznie poznać cię.

Nie było na to rady. I Pawełek musiał pośpiesznie regulować rachunek własny i Jurka, o którego znana brajbiszowska kielnerka Zosia badała Pawełka z ogromnem zaciekawieniem:

— Kto jest ten śliczny chłopiec, podobny do Prażmowskiego? Jak Bożę kocham, można zakochać się w nim.

Pawełek podszedł do stolika państwa dyrektorstwa, którzy powrócili teraz z operetki, mieszczącej się wtedy, w przebudowanej na salę teatralną byłej bóżnicy przy ulicy Daniłowiczowskiej i zachwycali się Giletą z Narbony Audran'a

w interpretacji Zimajerki, tylko co przybyłej z zagranicy w aureoli wszechświatowej sławy.

Pan dyrektor „Hebanu“ przeciętny filister, odznaczający się bystrością w swojej fabryce i tępością umysłu poza biurem — fundował dziś szampana z rozmachem człowieka, który poza całotygodniową pracą — chce w niedzielę bawić się. I dlatego mówi dużo, głośno i głupio. Żona, jak zwykle w tych sferach kulturalniejsza od męża — przypominała Pawełkowi, (którego rozpoczęta z nią rozmowa o teatrze i o literaturze znacznie bardziej interesowała od włoskiego ccianti i węgierskiego czardasza kolegów) panią Romeę, również strojną, wytworną i również, pomimo nie pierwszej już młodości — jeszcze piękną.

Wydała mu się sympatyczną z tem zimnem przyśłuchiwaniem się banialukom męża i z widocznem wchłanianiem potocznych słów Jurka, którego pogoda i zdrowy sens działał na nią, jak na wszystkie inne kobiety. Piękna pani panowała zresztą nad sobą znacznie mniej dyskretnie, niż główny bohater, który z wielką rutyną donżuana ani jednym spojrzeniem, ani jednym uśmiechem nie zdradzał więzów, jakie ich łączyły.

I Pawełek ze swoim przesubtelnionym zmysłem odgadywania życia obcych ludzi — pojął wnet, że piękna pani solidaryzuje z jego wszystkimi wywodami w kwestjach literatury i sztuki z tą samą sympatją, jaką obdarzała go nieboszczka

pani Roma, Aurelka i inne kobiety jedynie z powodu wspólności uczuć dla Jurka. Zarówno matka, jak i kochanka tak Jurka uwielbiały, że aż blizkim ich sercu stawał się jego przyjaciel.

Pawełek nie był wcale o Jurka zazdrosnym. Przeciwnie. Byli mu bliscy ci wszyscy, którzy przyjaciela jego kochali. I teraz uczuł pewną nie sympatji ku temu przyjacielowi Jurka pocziwcowi-rogaczowi i ku jego pięknej żonie. I Pawełek w powrotnej drodze do domu usiłował gwizdać — zadowolony z zakończenia spędzonego wieczoru, ponieważ wogóle przekładał towarzystwo choćby najobojętniejszych mu, lecz estetycznych kobiet nad wulgarny zgilek kolegów w rodzaju tych, jakich pozostawili dziś przy poprzednim stoliku, a którym na imię jest: miljon. Zresztą przyjechał przecież do Warszawy Jurek!

Jurek przysłuchiwał się z wyniosłym uśmiechem gwizdaniu zadowolonego najwidoczniej przyjaciela. Od najmłodszych lat znał to gwizdanie muzycznego wprowadzienia Pawełka, lecz tak nieudolne, jak ongi jego gra w ekstre, w palanta i w stalówki pod ławką szkolną.

Lecz dopiero na samem już rozstaniu przed bramą mieszkania oblał zachwyty Pawełka mimowoli zimną wodą:

— A tak dobrze zapowiadał się z początku dzisiejszy wieczór! Dopiero ci filistrzy pokrzyżowali nam wszystkie plany. Ale ty — klepał go wyniośle

po ramieniu — zrobiłeś dziś furorę. Cicha woda! Słowo daję! Tylko pamiętaj! Bez starokawalerskich dziwactw! Nie wypada odmawiać kobietom na tak uprzejme zaprosiny. A tembardziej, kiedy pan domu fundował ci szampana. Musisz złożyć im wizytę. Jeszcze możesz mu kiedy rogi przyprawić. Nie święci garnki lepią. No, bądź zdrow, mój stary.

Pawełek zasypiał z uśmiechem na ustach. Wprawdzie wyobrażał sobie dzień przyjazdu przyjaciela nieco uroczyściej, ale wiadomą rzeczą, że spełniona rzeczywistość jest zawsze mało podobną do rojonych marzeń.

XII

Pawełka gnębiła już oddawna myśl, że nie przewiózł jeszcze zwłok matki z prowizorycznego grobu, który panna Petronela zakupiła ongi za bezcen na samym końcu nowego cmentarza niedaleko parkanu.

Wiecznie roił mu się uplanowany już oddawna grobowiec z wielkim marmurowym aniołem, (o twarzy modelowanej z fotografii zmarłej matki) którego kojące skrzydła miały rozpościerać się aż do klęcznika, ulubionego miejsca Pawełka. Nareszcie zdołał już zebrać dość pokaźną sumkę, aby w nową rocznicę jej śmierci mógł już zajaśnieć ów piękny anioł z kararyjskiego marmuru, strzegący

mogile, do której przenoszono teraz jej zwłoki. Na smutną tę uroczystość, mającą się odbyć bez żadnej pompy i kurjerkowych ogłoszeń Pawełek zaprosił w braku krewnych i bliższych znajomych jedynie Jurka i pannę Petronełę.

Lecz mimo spóźnionej już godziny, Jurek nie zjawił się; a zamiast nieobecnej chorej staruszki przedstawił się Pawełkowi ów jej siostrzeniec, który był ongi jego uczniem. Dzień był chłodny i ponury. Na mogiłach świeciły gdzieniegdzie zapalone gromnice, dziwnie kłójące się ze srebrem dnia jesiennego.

Czterech żałobników wyjmowało skromną trumnę z pod szarej mchem już obrosłej kamiennej płyty dawnego grobu. Pawełek z siostrzeńcem panny Petroneli sunęli z obnażonemi głowami w smutnym orszaku garstki gapiących się obcych ludzi pod prowodyrem księdza ku święceniu nowego grobowca rodziny Szylertów.

Ptak swiergotał. Jakiś dzieciak na ręku jakiejś kumoszki popłakiwał; z drzew spadały liście pożółkłe...

Otworzono żelazne wrota oblamowanej granitem katakumby, do której śród dnia pochmurnego opuszczano trumnę w ciemny dół, strzeżony przez anioła z marmuru. Ksiądz odszeptał modlitwy.

Pograżony w smutku Pawełek ukląkł na stopniu grobowca, chłodząc twarz żelaznemi kratami

balustrady. Miał wrażenie, że połączył się z duchem matki, że on stał się nią, a ona nim. Myślał temi samemi myślami i mówią tym samym głosem.

Zawsze twierdzono, że jest, jak dwie krople wody do matki podobny. Był bardziej dzieckiem jej krwi, niż ojca, który obcy był mu za życia i mało znany; a teraz spoczywa na cmentarzu ewangelickim. Cóż mógł mieć wspólnego z tym starym nałogowym pijakiem?

I zdawało się teraz Pawełkowi, że życie jego jest jedynie dalszym ciągiem zerwanego żywota jego matki, że we wszechświecie on z nią tworzy jedną całość wspólnych upodobań i celów. Bo to po matce każdy mężczyzna dziedziczy tę odrobinę kobiecości, bez której byłby dzikim Aszantem z jednej sztuki. On zaś oddziedziczył z wyjątkiem płci wszystko po niej, a nie po ojcu.

— Nawet, gdybym chciał gwałtem zmienić w sobie ten pożyczony mi na krótkie dni mego życia dalszy ciąg matczynej duszy — na nic by się te wysiłki nie zdały — przypominał sobie rekreacyjną ekstrę i palanta a potem ohydą przyjaciółkę Aurelki, tytoń, wódkę i nieumiejętne gwizdanie, do którego się zmuszał.

Nie, nie. Duchy zmarłych są silniejsze od nas — uchylał się cały, pod tak zwanemi ongi, oddziedziczonemi instynktami, które pod nowomodną postacią t. z. podszeptu duchów kusily go — wbrew

jego woli — do tych wszystkich zadań życiowych, jakich sami nieboszczycy nie zdążyli spełnić w ciągu ziemskiej gościny całych pokoleń.

Powstał wreszcie z kolan. Garstka gapiów po skończonem widowisku już się rozbiegła. Pawełek dziękował księdzu i siostrzeńcowi panny Petroneli. Rozdawał należności, jałmużny i napiwki i, jakby w malignie — wsłuchiwał się w zachwaloną przez kamieniarza solidność materiału budowlanego nagrobka z gwarancją kilku pokoleń i w usprawiedliwienia, czemu jeszcze sztachet na dziś nie pomalowano.

W bramie wchodowej ujrzał Pawełek spieszącego Jurka, który usprawiedliwiał niedobrze pojmującemu Pawełkowi przyczyny swego opóźnienia.

Nie mogli doczekać się przed bramą rzadko kursujących do Powązek konnych tramwajów. A że zimno ich przejmowało, postanowili iść pieszo.

Dzień miał się już ku schyłkowi. Minęli kościół Karola Boromeusza i suną wzdłuż muru cmentarnego wśród ustawionych straganów z wieńcami suszonych kwiatów i budek z obrazkami świętych. Pod parkanem sznur starców i kalek zawodzi żale żebracze. Zpoza muru cmentarnego szumią targane wiatrem drzewa.

I naraz najwyższy ból, otwierający rzadko wrota duszy Pawełka wybuchnął nie potoczną mową, lecz głośnemi nagiemi myślami, jakby zapomniał,

że nie jest sam i że tłumom wystarcza zamiast skarbów — drobna zdawkowa obiegową moneta.

— Przed otwartym grobem matki miałem dziś uczucie, wiesz jakie? Oto, że mam lat dziesięć, jak wtedy, kiedy ona umarła i kiedy, jako dziecko, stałem tak samo przed jej trumną, wpuszczaną do grobu. Nic się od tego czasu we mnie nie zmieniło; tylko broda mi urosła i zamiast do sztuby, chodzę codziennie do biura. I jej niema tak, jak już wtedy jej nie było. I jest tak, jak już wtedy przewidywałem, że nie przyjmę żadnego udziału w życiu. I jako niepodobny do nikogo obcy wędrowiec pozostanę obok całego świata sam w skorupie własnego życia wewnętrznego, wiecznie panem z innej planety. Nie omyliłem się. Daremnie usiłowałem przyjąć udział i we wspólnym istnieniu, żyć temi samemi ideałami, ambicjami i pragnieniami, które sprowadzają wszystkich do wspólnego mianownika. Nie mogłem. Moja dusza rozbrzmiewała wiecznie dysharmonijnemi zgrzytami. Raz wierzyła, raz wątpiła. Chce mi się nieraz kochać moich wrogów i nienawidzić własnych przyjaciół. Przepadam za klasycznym eposem, romantycznym dramatem i za naturalistyczną powieścią; choć nieraz poza transem wczorajszej impresji — widzę dziś i czuję inaczej, niż wczoraj. Człowiek nie może być jednolity. Wsłuchany w szmery duchów tysiąca pokoleń — nie może być z jednej sztuki, choć zmusza go do tej jednolitości

bat przejściowych imperatywów owczego pędu. O! Ta monotonia życia ludzkiego w niewoli „apartamentów, ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami“, gdzie na wszystkich piętrach biurka, fortepiany i kredensy stoją w tych samych miejscach! Trudno! Nie mieszczę się i w mieszkaniu ze wszystkimi „wygodami“. Raz promienieję szczęściem, raz pogłębiam się w beznadziejności smutku. Jak cała dokoła mnie natura, raz różowiejąca purpurą słońca — to znów zanurzona w ołowiu chmur i tumanów. Cóż na to poradzić? Siedzi we mnie jakiś kameleonowy niepokój, brzącający skomplikowanymi akordami całych pokoleń. Stubarwnie tęczowa troska i tęsknota ideałów, które się dotąd nie spełniły. Być może, że będę kiedyś mężem, ojcem, obywatelem kraju, jak inni. Pamiętasz i dawniej, aby nie odróżniać się od was — grywałem w palanta, zmuszałem się do papierosów i aby nie być pogardzonym Józefem — zgodziłem się na miłość Putyfary, kuzynki twojej Aurelki. Pamiętasz? Lecz to wszystko było i będzie jedynie zewnętrzną ugodą. Pomimo wspólnego kroju tużurka — nie przestanę omijać waszych ogólnych gościńców i błądzić swojemi wyłącznie ścieżkami. Mam swoje własne, niepodzielone dotąd przez nikogo, inne, niż wy ideały, inne, niż wasze — poglądy moralne, inne bóle, rozkosze i inne cele życiowe. Nie wmawiam sobie, aby zupełnie nowe gienjalne prawdy zrodziły się w mojej głowie.

Rozkwitały one we mnie, jak u malkontentów różnych epok i różnych narodów. Zawdzięcza się im wszelki postęp, przed którym tak bronią się tradycje. Lecz ja nie uchylę nigdy głowy przed sznurkiem, na którym nanizane przez despotów wiszą pewne mniej lub więcej prawdziwe perły, dobrane identycznie co do kształtu i barwy. I nie ulęknię się nigdy rozkazu uważania ich za jedyny skarb z wiecznym kursem obiegowym. I bojkotuję ten modny naszyjnik jednolity i nudny i nie na moją miarę robiony, który uciska mnie, jak owe gotowe tanie ubrania na wyprzedazy. Uznaję tylko perły, choćby niejednolite i nie na sznurku u szyi wiązane, lecz piękne, czyste, prawdziwe, żywe.

W zapale mówił tak głośno, aż zwracał uwagę przechodniów. Głowa mu pałała i ani spostrzegł, jak gęste krople chłodnego deszczu poczęły bić po twarzy.

Aż naraz zawstydzony swoim obnażaniem się i egoistycznym lubowaniem jeno w osobistych bólach — zawyrokował Pawełek altruistycznie pro publico bono:

— Nie chodzi tu jedynie o cierpienia własne. Lecz o wszystkich moich parafjan, którzy liczą się jeśli nie na miliony, to przynajmniej na setki. Bo w pochodach od astra niema ani kół niezbędnych, ani zbytecznych. Rydwany mają dwa koła, a stonogi — setkę. Prawda? Czemuż uważać jedynie nas za piąte koło? A czemuż nie uważacie

za zbyteczne waszych zwykłych kół trzecich i czwartych? Może i z krzywdą dążących ad astra rydwanów? A czy konie rydwanów muszą być jednej maści?

Jurek z wyniosłą wyrozumiałością nie sprzeciwiał się nigdy, rzadkim wybuchom Pawełka. W pogardzie dla ludzi, nie żyjących podług jego własnego najsprytniejszego ugodowego kursu — uważał to poprostu za neurastenję.

Wskoczyli nareszcie do jakiegoś konnego tramwaju. I milczący Pawełek snuł już jedynie w myślach dalszą nić swoich buntów:

— Naturalnie. Gotowe ubrania są na wyprzedażach najtańsze. Szczęśliwi są ci, których kształty do każdego ubrania się nadają. Dla mnie trzeba je szyc na moją własną miarę. Moja własna miara! Inna, niż u wszystkich! L'homme incompris! He, he! To jeszcze śmieszniejsze, niż femme incomprise! Przeszarzały już realista i naturalista, romantyczniejszy od wszystkich romantyków i neo-romantyków razem! Ciekawa kombinacja pereł! Jedna od Sasa, druga od lasa! Z żadnej parafji: Ani z „Przeglądu Tygodniowego“, ani z „Biesiady Literackiej“! Jak ktoś, ubrany w togę, w buty muszkieterów, w czapkę cyklistowską, w białą perukę i monokl! Jakgdybym oddziedziczył naraz gusty moich wszystkich, nie figurujących w herbarzach przodków! Tak, tak kochany fin-desieklisto! Oddziedziczyłeś pan romantyzm, do

którego przyznać się nie chcesz po swojej matce, kształconej na pensji pani Konradi na poczytach Klementyny Hoffmannowej, Żmichowskiej i Deotymy!

Przypomniał sobie ciemną czytelnię na Lesznie: Pożółkła, jak kartki starych książek, drobna postać matki, przy migającym płomieniu gasnącej już lampy — przewraca otluszczone stronicy podartych społecznych arcydzieł...

Poza pracą i miłością macierzyńską — to był cały jej świat — ów szlachetny dumascowski „Art-hos, Porthos i Aramis, d'Artagnan“ i zakochany w swej królowej hugonowski lokaj Ruy Blas. I zbogacony szlachetny Ohnetowski „Właściciel kuźnic“, wstrzymujący spienionego rumaka zubożałej arystokratycznej amazonki! I szlachetna „Złota Elżunia“ Marlittowej i „Marcin podrzutek“ Sue'go i „Tadeusz bezimienny“ Korzeniowskiego!

Tramwaj, którym wracali z Powązek, minął już Plac Zygmunta i wielki skwer z nieistniejącym już wodotryskiem w miejscu, gdzie wznosi się obecnie pomnik Mickiewicza.

Monotonny zimny deszcz jesienny rozpadał się na dobre. I konduktor, przemokły już do nitki z trudem ściągał na lepkich schodkach letniego wagonu grube płóciennie story, mające chronić pasażerów od przejmującej do szpiku ulewy.

— Psia krew! — zaklął Jurek. — Zapomniałem na śmierć, że umówiłem się na „górcę“ u Lourse'a.

Jakiś konkurs bilardowy! Bądź zdrow! — wyskoczył w pędzie wagonu i z podniesionym kołnierzem paltota, spieszył ku Trębackiej.

Pawełek czynił sobie wymówki, że nie potrafił zająć Jurka rozmową; a nawet nie podziękował mu za jego fatygę na Powązki wśród takiej szarugi.

Naturalnie. Przecież jego nudne filozofowanie i demaskowanie się było jedynie słabością. O ileż taktowniejszym i bardziej męskim ze swoją skrytością był ten płochy niby Jurek! O ileż tragiczniejszą musiała być dla niego śmierć ukochanej ongi matki, której nawet opłakiwać nie mógł. Bo umarła dla niego nie tylko ciałem, lecz i duszą. A przed jej zapuszczoneym pomnikiem mógł stać syn jedynie z wyrzutem:

— Czemuś to czyniła?

I nie usprawiedliwiłaby jej nawet obrona.

— Błądziłam z miłości dla ciebie.

— Nie, nie — odrzekł by jej Jurek. — Byłem wtedy niepoczytalnem dzieckiem. Ale mogłaś domyśleć się, że dorósłszy, będę pogardzał twoją ofiarą, którą sprowadziła na mnie hańbę ze strony rodziny i kolegów, jako dla syna metresy jakiegoś parwenjusa, któremu się sprzedawałaś.

I Pawełek, drżący od zimna w otwartym tramwaju lituje się nad przyjacielem stokroć nie-szcześliwszym od niego:

— Bo to ustawiczne lubowanie się we własnych

bólach — biczował się w myślach — jest szczytem egoizmu. Ten bierny smutek takiej chodzącej fontanny łez — to największa plama wszystkich romantyków. Toć skłonniejszymi już do usług przyjacielskich i społecznych są ci wyziębli ostatni filistrzy, którym starczy energii poza bieganią we własnych karierach raczyć jeszcze ochłapami zrzeczności i innych.

Pawełek wie, że Jurek goni już resztkami pieniędzy z oddziedziczonej schedy po matce. To za mało — fundować mu codziennie obiady, kolacje i użyczać pożyczek. Należy myśleć o przyszłości lekkoducha. Teraz chodzi Pawełkowi ustawicznie po głowie pomysł umieszczenia Jurka w Banku Miejskim.

Przecież jego naczelnik w stałym zachwycie dla białego kruka (tak nazywali zwierzechnicy fenomenalnie pracowitego i użytecznego w banku Pawełka) nie będzie mógł odmówić mu protekcji.

— Tak, tak — pocieszał się zadowolony Pawełek. — Może biały kruk także raz przydać się do czegoś ważniejszego, niż krakanie, niż typ rzadkiego okazu do muzeum.

Pomysł okazał się w istocie fortunnym. Wdzięczny naczelnik skłaniał wielką gotowość do usług przekonany, że stateczny Pawełek nie może posiadać niestatecznych przyjaciół.

I z taką energią popierał kandydaturę protegowanego, iż dyrektor zgodził się przyjąć Jurka na

tych samych warunkach, co ongi Pawełka: t. j. na gratisową praktykę miesięczną z późniejszymi djetami aż do pierwszego wolnego etatu w banku.

Uszczęśliwiony tym tryumfem Pawełek mógł już nareszcie, jako o fackie spełnionym wtajemniczyć w to zwyczajstwo Jurka.

Specjalnie w tym celu poszedł dla poufnej rozmowy do Brajbisza, do którego Jurek w pogardzie dla ofiarowanych mu przez Pawełka jakichś tanich „prywatnych obiadów w przyzwoitym domu“ — przychodził tu codziennie. Zaciągał u Pawełka i u innych kolegów pożyczki na tę codzienną sztukę mięsa za złotówkę z filiżanką czarnej kawy za dziesięć groszy u Brajbisza. Zbytek przecież nie wielki.

Bo Jurek wszystkie oszczędności na budżecie dziennym wydawał w nocy; na nocie te pozbył się już ostatnich kosztowności po matce. Trafił i do lichwiarzy i od miesiąca nie płacił już komornego.

Lecz u Brajbisza (nietylko zresztą u Brajbisza) znali już wszyscy tego ładnego miłego chłopca, który bez żadnego wysiłku ze swojej strony — dawał się wszystkim lubić; bo był niegłupi, miły i taktowny i rzecz główna — nie inny, niż wszyscy.

Zasiadał też już stale przy dużym stole koło bufetu w gronie swoich nowych przyjaciół, codziennych gości Brajbisza. Byli to znacznie starsi od niego artyści Teatru Rozmatości, literaci, ma-

larze, którzy stale już dopytywali „o tego sympatycznego młodzieńca, który wrócił niedawno z Londynu“. Śród nich królował — nie bagatela! — gienjalny Bolesław Prus w otoczeniu pełnego szlacheckiego animuszu bajczarza redaktora majora Oleckiego, z którego Sienkiewicz modelował swego Zagłobę. Bawił też swojemi conceptami popularny autor Wicka i Wacka Zyzio Przybylski, sympatyczny przedwcześnie zmarły malarz batalista Stanisław Wolski, tragiczny Ładnowski, stary Kostrzewski, wątrobiarz Lubowski, redaktor Leo... Któżby ich tam wszystkich, teraz na Powązkach zliczył!

Przyniesiona do Brajbisza przez tryumfującego Pawelka pomyslna wiadomość nie sprawiła na Jurku oczekiwanego wrażenia.

— Nigdy nie zgodziłbym się wstępować, jako wolontarjusz „na darmo“ nawet na jedną godzinę. Tembardziej bez pewności terminu i jakości przyszłego etatu. Zresztą zastanowię się jeszcze. Jak się nazywa ten twój zwierzchnik?

— Zalewski.

— E! Wiem. Nie o niego mi chodzi — machnął z pogardą Jurek. — Lecz o nazwisko prezesa.

XIII

Po kilku dniach zdumiony Pawełek, wzruszony poczciwością swego zwierzchnika mógł już zapewnić przyjaciela o natychmiastowej nominacji Jurka na swego pomocnika w banku z pensją początkową, nie o wiele mniejszą od tej, jaką sam Pawełek po kilku latach pracy zdobył.

Pawełek ani domyślał się cudu, do którego rączki przyłożyła piękna żona dyrektora kopalni „Heban“; bo jej pan małżonek na ogólnem posiedzeniu akcjonariuszów za jakąś bardzo wygodną dla banku tranzakcję handlową postawił za warunek natychmiastowe przyjęcie protegowanego przez żonę kandydata. Znana uprzejmość mężów na uciechę rozbawionych szataników!

Przeładowany pracą Pawełek, któremu gwarliwe sąsiedztwo baraszkujących całymi dniami kolegów przeszkadzało w biurowej pracy — zdobył teraz nareszcie osobny pokój jedynie z dwoma biórkami: dla samego referenta i jego świeżo mianowanego pomocnika.

I Pawełek, wkuwając w głowę swego kolegi wszystkie zawilości salda, debetów, arbitrażu, kredytów, kurtaży, kurcetli giełdowych i korespondentów, które nocami w siebie przy pomocy stosu różnych podręczników wchłaniał — miał uczucie, że powróciły młodzińcze czasy sztuby. Nie jako płatny belfer, lecz jako przyjaciel, ojciec przele-

wał całe swoje doświadczenie i ciężko zdobytą wiedzę w umiłowane nowe pokolenie. A wiadomo, jak takie ofiary przyjmują synowie! Poprostu, jako należne im daniny ze strony uświadomionych nudziarzy.

Podczas tych mozolnych wykładów Jurek, jak w czasach sztuby polerował sobie paznokcie. Kurzył jeden po drugim gryzące gardło korepetytora papierosy i gwizdał no! znacznie lepiej od swego mentora!

A jednak pomimo, iż Jurek, jak ongi w szkole wsłuchiwał się zaledwie w połowę wykładów — przejęty blahościami, o sto mil od lekcji — jednak zasiane ziarna na glebie zdolnego ucznia — plon swój wydawały. I co w roztargnieniu zaślepił — intuicją załatał. Bo Jurek był zdolny od natury, i robota w rękach mu się paliła. Skonstatowali ten fakt i zwierzchnicy i koledzy. Bo do płytkich robót nadają się najbardziej płytkie umysły.

I pomimo, że Jurek do biura stale się spóźniał i, o ile się tylko dało — wykradał się za swemi tajemniczemi, najczęściej sercowemi sprawami — zaległości w biurowej jego robocie nie były zbyt rażące. Prawda, że cięższe sprawy w jego czynnościach stale załatwiał za niego biurowy mól, Pawełek.

Lecz przed sporządzeniem inwentarza i bilansów Jurek potrafił, jak ongi przed egzaminami przesiedzieć w dymie swoich papierosów kilka nocy

w biurze bez żadnego zmęczenia. Prawda, że nawet wtedy nie obywatł się bez różowego bata swego przyjaciela.

Poza biurem przyjaciele spotykali się ze sobą bardzo rzadko. Każdy posiadał własny modum vivendi. Jurek uważałby za nonsens odwiedzać bez celu Pawełka. Bo warto mu było ponieść trudy rozmowy jedynie z kobietami, które zamierzał zdobyć; lub, jako akompanjament, konieczny do nocnych koniaków. Z kolegami można grać w karty, lub w bilard. Lecz tak zwane przez niego z wielką pogardą „platoniczne ścieranie zdań“ uważał za największy idjotyzm na świecie. Przecież to wszystko jest jedynie przelewanie z pustego w próżne; bo i tak nikt nie powie nic innego ponadto, co przeczyta we wstępnych artykułach poczytnych dzienników. Pawełek pojmował doskonale, że nie jest ostatecznie ani bratem, ani swatem Jurka. A tak zwana przyjaźń, którą on czuje dla kolegi z ławy szkolnej jest nonsensem, wobec tego, iż nie figuruje w obowiązujących szematach życia, godzących się jedynie bez zastrzeżeń na brata i na swata.

Pawełek miał nadzieję spotykać swego przyjaciela w salonach pięknej dyrektorowej, której złożył na prośby Jurka wizytę. Faktycznie jaknajlepiej dla Pawełka usposobiona od chwili poznania go u Brajbisza wsłuchiwała się piękna pani — nienasycona jego opowiadaniem o wspólnem

dzieciństwie z Jurkiem. I uśmiechała się tak pocziwie na samo wspomnienie tych wszystkich dziecięcych figlów z ulicy Inflanckiej i tych wszystkich przekomarzań jej kochanka z ojcem i z belframi gimnazjalnymi, że Pawełek ponawiał wciąż swoje wizyty, czując się tu mniej piątem kołem, niż gdzieindziej. Było mu tu prawie tak dobrze, jak ongi na Królewskiej, obok ogrodu Saskiego.

Lecz — niestety — sam bohater począł tu zjawiać się coraz rzadziej. I coraz bardziej pochmurna pani dyrektorowa coraz częściej spoglądała wśród ciągnących się opowiadań Pawełka na kominkowy zegar — wsłuchana chorobliwie w odgłos przedpokojowego dzwonka, sprowadzającego ku jej rozczarowaniu różnych gości z wyjątkiem tego oczekiwanego.

Wreszcie Jurek zaprzestał tu bywać całkowicie — zakochany teraz podobno w Zosi od Brajbisza. I Pawełek, czując się teraz w opuszczonych salonach pięknej pani znowuż piątem kołem, począł opuszczać stałe swoje niedzielne wizyty. A potem z właściwą sobie delikatnością, aby brutalnie nie zrywać — przychodził stopniowo coraz rzadziej; wreszcie w wielkich odstępach czasu był jeszcze kilka razy. Nie ponawiano już zaproszeń. Stosunki były ostatecznie zerwane.

Wolne chwile od zajęć, zapelniane przez Jurka na zabijanie robaka szaleńcem tolerowanej rozpusty (podobno młodzież musi się wyszumić!) Pawe-

łek spędzał, jak zawsze samotnie w lubowaniu się melancholją cichych zadum życia intelektualnego, prawie ascetycznego.

Nienasycony w dociekaniu praw przewartościowywał wszystkie wartości, nicował wygodne utarte quasi pewniki, zaglądał do myślowych wrót, których otwierać nie wolno, ciekawy szczelin, o których się zamilcza i głuchy na komunały, którym różni syci dygnitarze huczą.

I wybuchnął kiedyś niemającymi ujścia myślami wobec Jurka, odwiedzającego Pawelka pewnej niedzieli z prośbą o nową pożyczkę kilkuset rubli, którą przyjaciel wręczył mu z nadmienieniem, że to są już ostatnie na czarną godzinę złożone oszczędności.

— Nie wątpiłem nigdy — ucałował go Jurek — że jesteś moim przyjacielem.

— Przyjacielem! — rzucił z goryczą Pawełek. — Przyjaźń nie figuruje w życiowych postulatach. A postulaty zmieniają się po stu latach! — zaśmiał się sam z tego ekiwoku.

— Jakto? Nie wolno mi kochać ciebie? — żarcikował Jurek.

— Nie. Niewolno.

— Dlaczego?

— Ponieważ to nie jest w zwyczaju. Formalnie należy kochać tylko rodzonych braci; choć bywają oni nam nieraz najobojętniejsi pod słownem i tak obcy, że przy najrzadszem nawet spot-

kaniu — nie możemy jednej myśli z nimi zamie-
nić. I siostry, podług tegoż nakazu obowiązkowo
niby się kochają, choć bywają dla siebie w grun-
cie już nie obojętne, lecz bardziej wrogie, niż
Chinki, zaprzężone do taczki życia z Mongołkami.
Nie zaobserwowałeś tego? Kocha się niby zawsze
rodziców, i wszyscy rodzice jak jeden mąż —
kochają niby zawsze jednakowo wszystkie swoje
dzieci, prawda? Wszystko to już takie gotowe,
takie niby słuszne. Tylko, że osobiście nie nasze
i bez nas na całe wieki naprzód podpisane
i w księgi zarejestrowane. Choć przecież każdy
z nas ma swoją własną prawdę, tak, jak ma się
własny węch, własny smak, oczy i własną duszę,
dla której tamto wszystko ogólne może nie być
prawdą.

— Nie wierzysz w miłość rodziców ku swoim
dzieciom?

— Nie obawiaj się. Nie zapomniałem, jak
uwielbiała mnie moja święta matka. Ja brzydał
do końca życia nie będę już tak kochanym przez
nikogo. A nawet ty, piękny chłopiec, przecho-
dzący z jednych objęć w drugie — nie znajdziesz
już w swoim życiu serca, które kochało by
cię z takim bezinteresownym poświęceniem, jak
twoja matka. Bo miłość żon i kochanek opłaca się
pieniędzmi, lub urodą i zdrowiem. A jedynie matki
potrafią kochać swoich synów brzydkich, cho-
rych i ubogich. Byłeś zbyt młodym, aby zdawać

sobie sprawę z ogromu uczuć tych dwóch, niestety przedwcześnie zmarłych kobiet tak dokładnie, jak ja. Lecz, niezależnie od tych faktów — fałszem jest, że wszyscy rodzice jednakowo kochają swoje dzieci. Bo matki bardzo często poza formalną miłością — nie sympatyzują ze swemi zamężnemi córkami, które także wprost zmuszają się jedynie dla opinii do niezrywania ze sobą towarzyskich stosunków. A bardzo wielu ojców aż razi obcość, psychologja i poglądy rodzonych synów. I jedynie jarzmo konwenansów hamuje ich od wybuchów. Są, jak owi małżonkowie, którzy po skończonym szale erotycznym przeświadczeni o obcości swoich dusz — przechodzą męki Tantalą, stąpając sobie po piętach aż do grobu, nie rozłączając się ze sobą jedynie z obawy skandalu.

I, przejęty dźwiękiem własnych słów i, jakby zachęcony wśród ciszy głosem zmarłej matki, upierającej się w zachwycie. „Ach! ty gaduło: — mów, mów dalej“. — Pawełek rozgadał się naraz z pasją mruków, wymownych od wielkiego święta:

— Nie kocha się ani złych rodziców, ani niedobrych dzieci. Lecz przyznanie się do podobnych zastrzeżeń, zowie się sceptycyzmem. Mówisz, że jestem twoim przyjacielem. Lecz przyjaźń, nieuznawana, nietolerowana wyszła już dawno z mody. Ongi cytowano z czasów starożytnych Achilla i Patrokla, Oresta i Pilada, Kastora i Poluksa.

W późniejszych czasach podobno Montaigne przyjaźnił się ze Stefanem de la Boétie. A z epoki romantyzmu doszły do nas bardzo serdeczne i sążniste listy przyjazne Słowackiego do Krasińskiego, Mickiewicza do Odyńca i do Zana. O! Ten 31 rok marzycielstwa, przyjaźni i braterstwa! Dziś byłyby wprost rażące te czułe wiersze Viktora Hugo, dedykowane Lamartine'owi; adoracje przyjaźni i braterstwa Sainte-Beuve'a dla Dawida d'Angers, oświadczenia podziwu Gautiera dla Balzaka. Lecz już wprost anormalnym wydawał by się czułościowy sentyment listów Szopena do jego serdecznych przyjaciół Elsnera, Kolberga a szczególnie do Wojciechowskiego. W listach tych nazywa Szopen swego rówieśnika nie inaczej, jak „najdroższym Tytusem“. Przeczytaj i przekonaj się, z tej oto książki.

Pawełek podał Jurkowi przyniesioną ze swojej biblioteki monografię Karasowskiego: Fryderyk Szopen. I obaj poczęli wertować urywki listów tej gienjalnej harfy eolskiej, nieustannej kaskady pereł nieuleczalnego smutku i uczucia. A listy te czułe, smutne i szczerze brzmiały prawie, jak jego nokturny: „ściskam cię serdecznie — tak piszą pospolicie na końcu, ale nie wiedzą, co piszą. Wierzą mi jednak, że wiem com napisał, bo cię kocham, jak twój zawsze Fryc“. „Nigdy mi tak ciebie nie zbywało, jak teraz. Nie mam komu się wylać. Twoje jedno spojrzenie po każdym kon-

cercie byłoby dla mnie więcej warte, aniżeli wszystkie pochwały gazeciarzów. Czas leci... Muszę się iść umywać... Całuj mnie teraz... Ale ty, chociażbym się bizantyjskimi olejkami wysmarował, nie pocałowałbyś mnie, gdybym ja ciebie magnetycznym sposobem do tego nie przymusił. Jest jakaś siła w naturze tajemna... Bywaj zdrów. Twoje listy chowam razem z wstążeczką. Cieszy mnie, że te dwie martwe rzeczy mogą się ze sobą znosić. Bo chociaż się znają, to czują, że z najdroższych mi rąk pochodzą. Ściskam cię i całuję w same usta, pozwolisz. Twój na zawsze Fryc“.

Pawełek zamknął książkę i, mrugając oczami, jak w chwilach największego zdenerwowania, mówił tym tonem, jakim odzywamy się nieraz nie do słuchacza, lecz do własnych myśli:

— Jakżeż zazdroszczę Szopenowi tego skromnego Tytusa Wojciechowskiego! Zazdroszczę saloniku pani Hugo na poddaszu ulicy Notre-Dame de champs. Zazdroszczę Goncourtom bohemji; i zazdroszczę wszystkim piwnicznym hejdelberskim bruderschaftom. Bo u nas obecnie „na dwóch rzeźbiarzy, trzech do siebie nie gada“. A Szopenowi miłość ku Wojciechowskiemu nie przeszkadzała wcale kochać się w pani Georges Sandowej, która imponowała jego kobiecej duszy energją i stanowczością swego charakteru; a działała nawet na niego urodą męską wbrew stałemu rozanieleniu Szopena.

— Bo dziś uczą nas kochać jedynie całą ludzkość, cały naród, lecz nie — choćby cztery osoby z najbliższego otoczenia poza żoną, rodzinami i dziećmi. Stał w chwilach erotycznego przesytu i nieszczerych programowych uczuć do rodziny — czujesz w rozpaczę tę bezbrzeżną pustkę i brak bratniej dłoni, tak niezbędnej nieraz w bezradnej niedoli. Toż już utyskujące także na obłudę przyjaciółek — kobiety — żyją więcej przyjaźnią, niż my. W nieszczęściu, lub w chorobie znajdziesz zawsze u ich łoża więcej tkliwości otaczających je koleżanek, niż w naszych garsonierach, w których podaje choremu szklankę wody i lekarstwo jedynie stróżka. Bo towarzysze i towarzyszki zabaw poznikali naraż, jak kamfora! Dziś, kiedy mężczyzna z musu popada w męczące go kolizje plotek teściowej i wszystkich kuzynek żony, tak obce jego odrębnej męskiej naturze i psychice — czułe korespondencje romantyków i ich zapalanie się wzajemne do utworów kolegi wydają się z innej planety. I bez jednego choćby stolika trzech przyjaciół z kawiarni, którym możnaby powierzyć swoją troskę — najśluszniej winimy samotni, wśród tłumów, jak na pustyni — niewolę rosyjską. Bo to ona zabiła w nas zdolność towarzyskiego kontaktu, który zakwitać może jedynie w klubach, burdach, stowarzyszeniach kolegów, przyjaciół i skautów. To one wskrzeszą może w przyszłości tę niefigurującą w szmatach obecnego życia przyjaźń,

uważaną obecnie jedynie za mazgajstwo, lub co gorzej za zboczenie. I za zwyrodniałego uchodzi człowiek, wyciągający dłoń swoją do odnalezionej pokrewnej duszy. I stąd ten nasz wieczny chłód i pustka samotnych jaźni, które w napadach smutku tarasują się ryglami od dźwięku krzykliwych żon, kochanek i obojętnej rodziny. Czy nie zauważyłeś nigdy na pogrzebach radości, maskowanej obłudnym smutkiem, a na weselach smutku, maskowanego radością? Ach! Gdybyż już raz nie wtrącano się do naszych serc i nie katalogowano edyktów naszego życia wewnętrznego! Gdybyż raz pozwolono nam cieszyć się lub martwić nie z urzędu. Gdybyż już raz wyzwolony z pęt indywidualizm nie uchodził za dziwactwo, warcholstwo lub za potworność! Nie powinno kochać się ani ojca, ani brata, ani swata, nikogo. Jedynie tego, kogo się kocha. Bo i tak wszelka inna urzędowa miłość jest jedynie fałszem i obłudą. Bo z nakazu można tylko zdobyć się na gangrenujące naszą jaźń udawanie. Lecz nigdy na prawdziwe uczucia, niezależne od naszej woli.

— Bo czyż nie widzisz — chciała krzyczeć dusza Pawełka — że i ja przez całe życie...

I naraz zamilkł z tą nieudolnością do wyrażenia prawdy, z jaką usta nasze, wytrenowane jedynie do kłamstwa zamykają się nagle na cztery spusty aż do grobu.

Sekundę ciszy rozpruł naraz skąpany w niebie-

skich oparach swojej fajeczki Jurek, któremu w zupełności wystarczało towarzystwo dziewczyn; a w bilard grywał najchętniej z markierem.

— Czemu ty tego wszystkiego kiedy nie napiszesz? — zawyrokował Jurek, poprawiając sobie w lustrze krawat — nie bardzo przejęty głębią tych wywrotowych wywodów Pawelka. — Bo takich pięknych słów to nawet szkoda na zwykłą gadaninę. Ty widocznie układasz sobie te wszystkie myśli wtedy — zakonkludował trafnie — kiedy my wszyscy przelewamy w paplaninie z próżnego w puste, prawda?

— Mój drogi. Natura w swoich darach nie bardzo trudziła się na harmonijne skompletowanie całości, stanowiącej ludzkie szczęście. Gaduły posiadają łatwość słowa, a takie mruki, jak ja — więcej myślą. Bo mają na to więcej czasu. Natura — zdaje się nie lubi doskonałości. Jakby z zadróści o szczęście bez zastrzeżeń. Sama także nie jest doskonałą. Różom dała kolce, abyś w pragnieniu rozkoszowania się ich wonią — po drapał sobie do krwi ręce. A Matejkę pozbawiła dobrego wzroku, a Bethovena — słuchu. Ja posiadam od natury węch i intuicję bez talentu techniki wyśpiewania pieśni, które mi w duszy śpiewają. I oi bez duszy technicy są nieszczęśliwi, bo tworzą rzeczy słabe. I ja cierpię wykolejony, ponieważ wypowiedzieć się nie potrafię ani pismem, ani słowem. I z moją duszą, ciężarną od myśli,

w świat niepuszczonych — uginam się — wiecz-
nie obcy wśród urzędników banku, filistrów i twór-
ców.

— A jednak wiesz — rzucił niewyspany po os-
tatniej orgji Jurek — kiedy porównyвам twój
charakter, umysł i uduchowanie z jałowością
moich nocnych hulanek, czasami zazdroszczę ci.
Słowo honoru. Bo ostatecznie łajdactwo jest zaw-
sze tylko łajdactwem. I łeb cię nieraz od tego boli.
A przytem ci lichwiarze, długi i inne brudy,
o których nie wspomina się... E! Psia krew!

— Widzisz — zaśmiał się smutnie Pawełek —
że nie istnieje na świecie harmonja szczęścia bez
zastrzeżeń.

— Najsmutniejszy fakt — ubolewał z ze-
wnętrznym smutkiem Jurek — że ty, zdaje
się — wątpisz w moje uczucia przyjaźni dla cie-
bie. To już jest kompletne świństwo z twojej
strony. Słowo daję.

— Mój drogi. Nie należysz do ludzi, trudzą-
cych się przewartościowywaniem utartych war-
tości. Więc wobec ogólnej definicji, iż wielka
przyjaźń jest idjotyzmem, lub chorobą — godzisz
się jedynie na pewne przyjęte przez ogół zastrze-
żenia.

— Chwała Bogu. Więc jest przynajmniej ja-
kieś zastrzeżenie. Ciekawy jestem jakie? — badał
Pawełka Jurek.

— Jeżeli przyjaciel ma piękną żonę — to oka-

że się osłem ten, kto będzie jego domu unikał i kto zechce, unikając domu tegoż przyjaciela, odgrywać rolę Józefa w stosunku do Putyfary. Więc gdybym zaślubił kiedy piękną kobietę, bywałbyś u mnie bardzo częstym gościem.

— Fi! Jaki ty jesteś cyniczny. Wstydz się, słowo daję — roześmiał się Jurek nie bez pewnego zadowolenia na samą myśl o owej nieznanej mu jeszcze pięknej żonie tego biednego Pawełka, której naraz stał się ogromnie ciekawy... — Nie spodziewałem się od ciebie takiego cynizmu.

— Naturalnie. Najlepszą obroną kłamstwa — roześmiał się smutnie Pawełek — jest nazywanie rzeczy po imieniu — cynizmem. Zresztą to przecie już znany ogólnie fakt, że ja jestem oschłym cynikiem; a ty, z całą swoją nocną świtą jesteś cie dobrimi pogodnemi chłopcami, sympatycznymi i serdecznymi Polakami. Choć mądrze uczyniła natura, że nie stworzyła wszystkich na jedną modłę; ani podobnych, jak jeden mąż do was, ani samych bliźniaków z mojej parafji. A co się tyczy mojej przyszłej pięknej żony — żarcikował smutnie Pawełek — to nie powinienem może, uprzedzając wypadki, wywoływać wilka z lasu.

— Ach! Ty stary, warjacie!

— A jednak, upierał się przy swoim koncepcie Pawełek — to będzie może **jedyny sposób**, abyś ty chciał kiedyś u mnie bywać i aby ona pozwoliła mi przyjmować cię często w moim domu. Ina-

czej najobojętniejsze nam w gruncie, lecz usankcjonowane żony potrafią wykurzyć bez śladu i popiołu nie tylko przyjaciół z dziecięcych wspomnień, lecz kolegów, emigrantów, wygnańców. Pod pantoflem krzykliwej żony zapomina się nawet o tych kamratach, którzy w armatnim ogniu najkrwawszych piekielnych bitew bronili nieraz własnem ciałem jeden drugiego od pocisku kul i kartaczy. Bo nie starczy nam czasu w deptaku codziennym nawet na wspomnienia. A te legendy o nienotującej się w regulaminach szarego życia przyjaźni — opowiada się jedynie dopiero wnukom przy kominku.

Służąca meldowała przyjście panny Petroneli.

— Uciekam — zegnał się pośpiesznie Jurek — Widziałem ją niedawno. Nie jestem dziś jakoś do niej usposobiony. Przytem zobowiązałem się względem niej do zapomóg miesięcznych na równi z tobą. A mam już pod tym względem pewne zaległości. Nie wspominaj jej o mnie.

— Dziękuję ci za usługę — chował do pugilaresu wręczone mu przez Pawełka banknoty. — A wybaczysz, że, pomimo wszystkie wypowiedziane tu przez ciebie bardzo przekonujące argumenty — nie przestanę nigdy uważać ciebie za swego przyjaciela. Dowidzenia, ty stary cyniku.

Panna Petronela po przywitaniu się z gospodarzem szukała niememi oczami znikłego Jurka,

o którego obecności uprzedziła ją służąca, a który wyszedł innemi schodami. I Pawełek, nie umiejący kłamać, tłómaczył przyjaciela:

— Jurek miał mało czasu i bardzo żałował...

— Gdzież by tam jemu chciało się oglądać starą babę, co to ni do lasa, ni do sasa! Tylko, że to niby co do tej miesięcznej pensji... Roboty teraz nie mam. A przytem i ręce już słabe i oczy i krzyż. Póty ucho nosi, aż się dzban urwie.

— Jurek płaci zapewne pannie Petroneli tak jak ja, dziesięć rubli miesięcznie. Prawda?

— Gdzież tam! On miał mi płacić dwadzieścia rubli. Ale to nie pensja tylko niby procent od tych dwóch tysięcy rubli, które mi zabrał. Bo mówił, że mi je wykradną; a tak będę miała i dwadzieścia rubli miesięcznie i cały fundusik na pogrzeb: na trumnę i na krzyż na grobie familijnym. A jeszcze i za życia jemu usługę wyrządzam. Chciał mi dać nawet jakąś kartkę, niby jakiś kwit. Ale ja go za to ofukałam. Bo gdzieżbym tam od Jureczka, jak Filip z Konopi miała brać jakieś hemipotencje, czy jak tam! Tylko że te niby pensję Jureczek tylko raz jeden mi wypłacił. A teraz nigdy go w domu nie mogę zastać. Jak kura w wodzie.

— Właśnie polecił mi wypłacić pannie Petroneli na conto tego rachunku dwadzieścia rubli — skłamał Pawełek, wręczając jej pieniądze.

— Niech go Pan Bóg ma w swojej opiece i pa-

na, panie Pawełku. Czuję, że długo już naprzykrzać się wam nie będę. I szczęśliwa jestem, że przynajmniej pochowają mnie, nie jak jaką lafi-ryndę.

Zawiść o ład statecznego Pawełka, z jaką wyrwał się najszczerzej Jurek — nie była u niego żadnym weltszmercem. Prawda, że nie zamienił by tej swojej jałowości życia na uduchowiony *jardin secret* przyjaciela. Lecz Jurek był *sui generis* estetą i razila go ta wieczna prana ukradkiem w domu brudna bielizna życiowej anarchji. Te wieczne zaliczki i odliczki biurowe i te ciągłe wywoływania go z biura do hallu bankowego, w którym musiał użerać się z lichwiarzami, z niezapłaconemi rachunkami, komornem. Żenowało go to ustawiczne „naciąganie“ krawca, szewca, praczki, fryzjerów, garsonów, nie mówiąc już o Pawełku, o kolegach i o pannie Petroneli.

A nawet — jak mówią — z nożem na gardle — zapożyczył się — o! wstydzie! — u Zosi od Brajbisza!

Rzecz prosta — pojmował, że dla tych kłopotów nie poświęci swego obecnego rodzaju życia, tak mu niezbędnego, jak rybie woda, choćby ta woda nie była zawsze, jak kryształ czysta. Nikt nie ma dwóch rodzajów życia do wyboru. Lecz już teraz nie dzieciak — począł coraz częściej rozmyślać nie o zmniejszeniu budżetu wydatków, lecz o powiększeniu dochodów.

Bo Jurek był zbyt rozsądnym w gruncie, aby ulegać modnemu, przesadnemu i bezkrytycznemu optymizmowi, sięgania po gruszki na wierzbie, ponieważ 1) skrócić kark można, sięgając tak wysoko bez zdawania sobie ze swoich sił sprawy i 2) ponieważ nigdy niema gruszek na wierzbie.

I Jurek przystąpił do bardzo trzeźwego badania własnych atutów: bez przeceniania i zaślepień kontrolował swoje pro i contra, zalety i ułomności: wiedział, że był ładnym chłopcem i że poza urodą — podobał się kobietom jego wrodzony wdzięk, układność i zrównoważony humor, którym zyskiwał sobie nawet i mężczyzn. Jest przytem zdolny, bystry i ruchliwy — to fakty, nie ulegające kwestji. Lecz brak mu zawodowego pogłębiania, systematyczności i zamięłowania do monotonnej codziennej „piły“. Pozatem jest rozrzutny i spragniony wszelkich rozkoszy, urodzony hedonista, nie mający zamiaru pozbawiać się łaknień swego bogatego (!) temperamentu.

— Wino, kobieta i śpiew! — uśmiechnął się do swoich gustów. — A wyrażając się mniej poetycznie: Koniak, dziewczynki, karty i totalizator! — westchnął bezsilnie. — Trudno! Na to nie ma już rady. Brak mi tych wszystkich zalet, jakie posiada Pawełek. Lecz na szczęście brak mi też wszystkich wad tego biedaka — pocieszył się pogodnie. I wnet w myślach zakonkludował:

— Dopełniamy się obaj znakomicie.

I uderzony tem odkryciem wnioskował dalej bardzo logicznie:

— W połączeniu z nim stanowilibyśmy idealną siłę.

I oswojony już z temi przetrawianemi koncepcjami — intuicyjnie postanowił:

— Tak, tak. Muszę w życiu iść z nim razem. Same losy zadecydowały to już wtedy — zachwycał się własnem dobrem natchnieniem — kiedy ocalałem w 1-ej klasie słabego Pawełka od napaści kolegów własną pięścią. A wdzięczny za to Pawełek wzamian pomagał mi uryzkownem podpowiadaniem przy repetycjach i tajnem poprawianiem extemporaliów do przełazenia przez piec z klasy do klasy w sztabie.

Pojał teraz spryt ś. p. matki, która doskonale pojmowała wartość wdzięczności tego pocziwca i coraz nowemi pętami i okowami przywiązywała go do swego gagatka.

I Jurek począł teraz coraz regularniej odwiedzać Pawełka. Nie opuszczał już ani jednej niedzieli, ani święta bez tej wizyty; nawet bez rewanżu rewizyt, do których nie nadawał się rzadko opłacany hotelowy pokój Jurka z drzwiami, zbyt często dla gości zatarasowanemi z powodu przedostających się na korytarz pisków i śmiechu tajemniczych odwiedzin.

A dwa małeńkie pokoiki Pawełka były zawsze schludne i miłe ze swemi ułożonemi pięknie opra-

wnemi książkami i z niewyszukanemi świeżemi kwiatami w kryształowym wazonie na stoliku. Nawet szklanka herbaty z ciastem zawsze dla gościa się znajdowała, choć Jurek gardził stale, wyniośle zaznaczając:

— Dziękuję ci za rumianek. Chwalić Boga — nie jestem chory. A ciasto schowaj dla kobiet.

Ulubionym tematem rozmów Jurka z przyjacielem stały się teraz projekty na przyszłość:

— Przecież nie można marnować całego życia wiecznie w tej budzie.

Jurek znał dobrze romantyzm Pawelka i jego kult dla wspomnień dziecięcych, stanowiących treść całego jego życia. I z maestrią sprytnego gracza wiedział, jak dotknąć struny, aby należny dźwięk wydała. I przypominał wciąż przyjacielowi fabrykę mydła i krochmalu ojca, uświadamiając go:

— Mój ojciec posiadał ongi wszelkie atuty, aby zostać magnatem takim, jak tyłu jego starych kolegów. Lecz nie poszczęściło się biedakowi. Zresztą był zbyt miękki i zbyt ufający wszystkim. Pozatem nie potrafił wyrobić sobie stosunków. Do ludzi trzeba mieć szczęście i talent obcowania. Można wtedy nawet być mniej pracowitym, niż był mój ojciec.

— A co myślisz, stary? — rzucił naraz. — Gdybyśmy tak obaj we dwóch założyli taką fabrykę mydła, świec stearynowych i krochmalu

pod firmą Szałowski i Szyłert tam, na tej samej ulicy Pokornej? Pamiętasz ulicę Pokorną i Inflancką? Uliczka na prawo, schodki na lewo! Co?

Pocisk był trafny. Pawełkowi oczy się zaświeciły. Czy on pamięta? Pokorna aż hen do regatek marymonckich z Placem Broni! Czy pamięta Kaskadę i Bielany? — Począł mrugać oczami...

— Bylibyśmy tam zupełnie, jak u siebie — kusił go Jurek — odcięci raz na zawsze od syreniego grodu, do którego dojeżdżałoby się własnymi końmi jedynie za sprawunkami lub na dobre teatralne premiery, co? Tam są teraz tanie place do sprzedania.

Pawełek aż przymknął oczy: Pokorna z naftowymi latarniami, ściąganiem na linach przez lampuców... Gwar targów przed wozami wiejskimi zaprzężonemi w siwosze, żujące siano... Wozy drabiniaste pełne wiązek drzewa, żółtych oselek masła, krowi ser w kształcie serca, podłużne beczułki ze śliwkami na powidlą... W kobiałkach bielą się jajka... W kojcach utyskują wystraszone kuraki...

A przed wozami, jak w klubach gwarzy podmiejska noblesa... W słońcu barwią się krzyczące w niebogłosy fartuchy bab, złoto siana, szmaragdy warzywa i srebro siwoszów... Czy pamięta?

I Pawełek mruga oczami i wyciera sobie chustką okulary. O! Te rozkoszne podwórza z harującymi, jak koty, dzieciakami, pełne kryjówek ze szczurami, pełne gołębi, pawi, psów, królików

i oswojonych wiewiórek... I stary kuc, na którym jeździło się na oklep i welocypod...

I zacny ojciec Jurka, który zamierzał wysłać do Szczawnicy jego matkę, którą znał jedynie z opowiadań syna!

I Pawełek słyszy dźwięki matczynego głosu, z jakim upiera się nienasycona, już na łożu śmiertelnem:

— Mów mi o nich jeszcze! Jeszcze! Mów, mów!

Czy Pawełek to wszystko pamięta! Czerwony ze wzruszenia, jak burak — broni się jednak od podsuwanych mu przez Jurka pokus:

— Piękne sny nigdy nie realizują się.

— Z pewnemi ustępstwami jednak zdarza się to niekiedy.

W następstwach okazało się, że pesymizm Pawełka był słuszny, bo złym prorokiem najłatwiej jest być.

Oto rządowi rosyjskiemu w jego nadzwyczajnych orientacjach wpadł pomysł rozszerzenia cytadeli, która miała swemi fortecznemi murami bronić od najścia nieprzyjaciela nie tylko Warszawę, lecz całe imperjum rosyjskie.

Urzędnicy i okoliczni właściciele domów aż ręce zacierali na myśl fortun, jaka ich za pomocą łapówek czeka. Bo oto „ukaz“ zadecydował dla rozszerzenia cytadeli zakupić na zburzenie całą dzielnicę. I rychło Pokorna, Inflancka, Kłopot, Czarna i t.d. w huku młotów i w kłębach kurzu

walonych murów w ciągu jednego roku przemieniona została w martwą ruinę, jak po trzęsieniu ziemi, lub jak po pożarze pogorzeliśko. Ani śladu z dawnych dworów z ganeczkami, ogrodów, parkanów...

Ani śladu fabryk noblesy z Pokornej.

Nowo z bogaceni exobywatele przenieśli się do śródmieścia, gdzie bardzo prędko na świeżem wielkopaństwie łatwozarobione fortuny doszczętnie zrujnowali.

A dopiero przy burzeniu ostatniego już domku konsekwentny rząd rosyjski przyszedł do przekonania, że fortecy nie należy rozszerzać. Ogłosił nawet po jakimś czasie licytację na sprzedaż zakupionych placów. Rosyjscy urzędnicy tryumfowali z powodu wynalezienia nowego źródła łapówek. Lecz wobec zmienności decyzji rządowych nowi kandydaci na odbudowę dzielnicy już nie zjawili się. I tak piękne ongi poetyczne przedmieście pozostało już bezpowrotnie Saharą.

Lecz niezmordowany w swoich stałych projektach szerszego życia Jurek nie wyrzekał się planu z zasianego ziarna, choćby nie były one tak obfite, jak w marzeniach. I kusił Jurka nowymi modyfikacjami.

— Nie. Niemożna hazardować się na Pokorną ulicę. Niewiadomo, kiedy znowu ją zburzą. Wiesz? Zakupimy plac na fabrykę za wolnymi rogatkami, za ulicą Leszno. Przecież nie

można nawet porównywać Leszna z Pokorną, prawda? Pamiętasz to Leszno z zawieszonymi mostkami o murowanych balustradach? I tę karetkę na balkonie Rentla! I ten nasz zwykły spacer z waszej czytelnicy aż pod rogatki, gdzie ulica kończyła się krzyżem, wśród rozstajnych pól, pełnych habru i bławatków! Rwałeś tam kwiaty dla matki. Pamiętasz?

Baba-Pawełek obtarł sobie głośno nos, utyskując, że jest silnie dziś zakatarzony. I z miną stateczną realisty zadecydował:

— To wszystko bardzo piękne w teorji. Ale skąd wziąć pieniędzy?

— Pi! Od czegoż pożyczka premjowa? — „zgrywał się“ w swojej roli trzpiota Jurek.

— Której zresztą ty nie posiadasz — żarcikował Pawełek.

— Ale ty ją za to posiadasz. Zato ja trzymam stale na loterji.

— Cóż za dzieciństwo! Nawet marzenia powinny być prawdopodobne. Chyba, że kiedyś ożenisz się bogato.

— Tiens, tiens! Więc nawet romantycy myślą niekiedy trzeźwo? Więc ty uważasz, że posag by się tu przydał? Ha! Być może, że to jedyna droga wyjścia — kabotynizował Jurek, narzucając zrodzenie się tej myśli mózgowi Pawelka. — Choć pojmujesz, że nie przystałbym nigdy na sprzedaż nie się brzydkiej kobiecie.

— Czyż niema pomiędzy posażnemi pannami — nawracał go Pawełek — pięknych, miłych i zacnych?

— Piękna, młoda, miła, zająca i milionowa! Marzenia powinny być prawdopodobne.

— W marzeniach, jak na targach czyni się pewne konieczne ustępstwa. Przystojna — wystarczy; a zamiast milionów — tysiące zadowolenia.

— Tak, naturalnie. Można trochę ustąpić i z zamożności i z młodości — roześmiał się Jurek.

Pawełek zamrugał oczami. Nie trawił cynizmu.

— Nie będę nigdy złym mężem — poprawił się Jurek. — Wiesz, że mam charakter zgodny i nie wybuchowy. Nawet, gdybym nie zamierzał bronić się do końca życia od pokus. Bo w małżeństwie wszystko polega jedynie na takcie i na zręczności niedopuszczenia do skandalu. Zresztą co tam o tem gadać! Jeszcze skóra na baranie, już szewc pije na nią — roześmiał się do swoich odległych planów — przejęty obecnie jedynem pragnieniem zamknięcia pierwszego etapu swojej młodości: Sturm und Drang periode!

Bo Jurek nie był nałogowcem, niezdolnym do pozbywania się niewypitej do dna czary nektaru. Nie chciał bezmyślnie zatonać w swoich upodobaniach, które umiał opanowywać. Wprawdzie z powodu nocnych birbantek spóźniał się niekiedy do biura i wykradał się nieraz wśród urzędowych

godzin na chwilowe schadzki. Lecz nie było dla niego na świecie takiej pokusy, która wstrzymałaby go od pójścia do jarzma lub do niepowrócenia po chwilowej nieobecności.

Ten sam hamulec wstrzymywał jego lekkomyślność i od wykojenia pewnym atomem rozwagi, przestrzegającej, aby czara rozkoszy w jego silnych dłoniach nie rozprysła się, nie zraniła go i czystego ubrania zbytnio nie zbrukała.

I Jurek szczyił się tym swoim hamulcem i siłą trzymania swoich żywiołowych apetytów za uzdę, aby nie być wysadzonym z siodła. Bo pragnął, aby czara nektaru i na dzień jutrzejszy mu starczyła. I wiecznie zadowolony z samego siebie szczyił się tym swoim cynicznie pogodnym bel esprit ugodowca, pokrywającego dla opinii anarchję swego życia estetycznym płaszczykiem rozwagi. I pogardzał wykojeńcami na indeksie którzy piękną pieśń: „wino, kobieta i śpiew“ wulgaryzują zbyt jawnie wódką, dziewczyną i kartami.

Zresztą miał już dość tych codziennych nocnych gabinetów z bezmyślnymi chórzystkami ogródkowych operetek z Belle-Vue na Chmielnej, z Tivoli na Zielonym placu i z ogródka Eldorado, w którym obecnie mieści się budynek Teatru Nowości, a w którym królowała wtedy jako Piękna Helena — Manowska z nieśmiertelnym Menelausem-Morozowiczem.

I Jurek, powiedziawszy sobie: e basta — wstę-

powoł w nowy etap swego życia: Składał wizyty w różnych statecznych burżujskich salonach i odnawiał zadzierzgnięte ongi w Szczawnicy stosunki towarzyskie.

Przyjmowano ładnego, miłego chłopca wszędzie z otwartemi ramionami. Był nawet interesujący w oczach kobiet wskutek tego pamiętnego roman-su szczawnickiego z piękną dyrektorem. A nawet mężczyźni radzi byli, że potrafił rogi przyczepić temu głupiemu „Hebanowi“. Bo jacyś ziomkowie he, he spotkali nawet tę zakochaną parę w Londynie i twierdzili, że mąż o tej eskapadzie żony nie nie wiedział, przeświadczony o jej bytności w Ostendzie. A warszawskie damy, spóźnione nieco w swoich informacjach szeptały sobie za wachlarzami o tym romansie głównie dopiero wtedy, kiedy faktycznie chylił się on już ku zwykłemu epilogowi, t. j. ku zerwaniu.

Pogardzano wprawdzie panią dyrektorem, lecz jednocześnie i zazdroszczono jej dobrego gustu. Damy litowały się nad Jurkiem, co on w tej kobiecie znalazł nadzwyczajnego! Pocieszały się, że oczy może mu się otworzą.

Teraz zauważono ogólnie, że ten nowy nabytek salonów burżujskich jest bez zarzutu. Nie zbliża się natarczywie do mężatek i jest bardzo korrekt w rozmowach z panienkami, które — co prawda — za jego zbliżeniem czerwienią się, jak piwonje, uświadomione już o jego szczęściu do kobiet,

przeżalone za samem przemówieniem mężczyzny „niebezpiecznego“.

I nie upłynęło jeszcze trzech miesięcy od pamiętnej rozmowy pomiędzy dwoma przyjaciółmi, kiedy Jurek znacząco zwierzał się Pawełkowi:

— Wiesz, w pewnym domu chcą koniecznie cię poznać. Wiedzą już, że jesteś trochę odludkiem i dziwakiem. Lecz zobowiązałem się przyprowadzić cię tam w tę niedzielę. Więc bardzo cię proszę: bez starokawalerskich wykrętów.

— Czy tam jest panna na wydaniu?

— Tak, jest córka, jedynaczka, bardzo miła i sympatyczna. Panna Wtorkowska.

— Córka właściciela fabryki maszyn rolniczych?

— Tak — odrzekł z tryumfującym uśmiechem. — Jest tam także i jej kuzynka, sierota — dodał znacząco.

— Zapewne bardzo brzydka i niemłoda — żartobliwie domyślał się swojej drugorzędnej roli Pawełek.

— Errare humanum est. Wprost przeciwnie. Podobno bardzo przystojna. Może ładniejsza od panny Wtorkowskiej.

— Nie podobna do kuzynki Aurelki?

— Nie gderaj stary dziwaku. Ma być faktycznie przystojna. Nie widziałem jej wprawdzie. Sam się przekonasz. Ma być zaproszoną przez nich na

tę niedzielę. A więc czy zgoda? — wyciągał rękę do Pawełka.

— Zgoda. Choć ta kuzynka musi być jeszcze brzydszą od kuzynki Aurelki — upierał się Pawełek.

— Ach! Ty pesymisto! — roześmiał się Jurek, rozbawiony wspomnianem proroctwem in spe ro-gacza — Pawełka. — Zawsze kraczesz, jak wrona!

XIV.

Wszystko wiedząca stołeczna opinja nie wie o jednym fakcie: że bardzo często się myli. W domu państwa Wtorkowskich naprzykład szczególną łaską opinji cieszyła się sama pani domu. Mama Wtorkowska, dama nieładna, histeryczna, z manją dostojności stroiła się stale w modne ongi szaty d'une femme incomprise — przekonana, że jest jej do twarzy z tem ukrywanem cierpieniem, dającym dużo pola do domysłów.

I cała opinja, jak jeden mąż zadecydowała, że niełatwem musiało być dla kobiety, tak subtelnej pożywie z wiecznym despota i gburem. I pani Wtorkowska mogła tryumfować — pewna, że opinja nie przyznaje się nigdy z zasady do pomyłek, aby nie osłabiać swojej nieomyślności. Tak nie obala się też bogów, ogólnie czczonych, nawet w przeświadczeniu, że ich wyrocznie zawodzą.

A w wyroku tej pocziwej opinji może nie było nawet złej woli, lecz poprostu brakło jej subtelności do zaobserwowania tych finezji i niejednołitości objawów życia, w jakich natura zdaje się tak lubować.

Pani Wtorkowska była urodzoną kabotynką, jedną z tych, które nie wiedzą same o tem, że przez 24 godzin na dobę — nie wiedzieć w jakim celu — przed całym światem, a nawet przed samemi sobą symulują. Taką już miała naturę. I w takiej to orientacji zachciało się pani Wtorkowskiej — licho wie po co — roli ofiary tyranji mężowskiej. Zmusiła więc w tym celu swego Boga ducha winnego pantofla, aby wbrew swojej naturze — wybuchał; nigdy w sam na sam z żoną, lecz wiecznie wobec audytorjum obcych. Jak owe senne zmęczone dzikie zwierzęta w klatce, które tak straszą swoim wściekłym rykiem i wyszczerzonymi kłami jedynie wśród pełnej sali na znak kabotyna — pogromcy.

I stary Wtorkowski w tej umiejętniej żoninej tresurze huczał prawie tak szczerze, jak ów straszny lew i tygrys cyrkowy, który jednak przeskaakuje stale przez wszystkie ustawione małpie ob ręcze, i znudzonemu ani śni się już zмагаć w klatce ze swymi dręczycielami.

I pani Wtorkowska tryumfowała. Bo drżała przed „panem“ i naiwna służba i dzieci i rodzina i cały dom. Wystarczało, aby pani Wtorkowska

rzuciła mężowi melancholijnie osłabionym głosem:

— Mój Jasiu, bardzo cię proszę, tylko nie irytuj się i dla takiej drobnostki nie narażaj zdrowia. Cóż Marianna temu winna, że obiad dzisiejszy cały przypaliła? Niemożna się dziwić wobec jej nałogu zagładania do kieliszka.

I jakieś sadyczne zadowolenie ogarniało jej sfinksową naturę „ofiary“ na huk tłuczonego przez męża-tyrana szkła, na płacz kucharki i na znaczące miny nowoprzybyłych gości, przed którymi kabotynizowała quasi dyskretnie:

— Proszę wybaczyć mi mój nieświetny humor, (właściwie była w świetnym humorze) lecz miałam przed chwilą w domu pewne przykrości...

Lecz tyran August (nie z tych Augustów imperatorów, lecz z owych z cyrku, którzy tak komicznie symulują ważność swoich ról i obowiązków) trzymał nietylko służbę lecz i cały dom w swoich despotycznych dłoniach. Nie uchylał się nawet od drobiazgów.

— Wyobraź sobie, mój Jasiu, co się ma z temi córkami! Oto Lola uparła się, aby sprawić jej suknię nie różową, lecz niebieską. Perswadowałam jej, że kolor taki, czy owaki nie robi mi różnicy. Jestem słabą kobietą, nie mam już sił. Lecz wiem, że ty masz we wszystkim swoje zdanie. Nie znosisz koloru błado-niebieskiego. Może i słusznie, ponieważ Loli, jako brunetce jest bardziej do twa-

rzył w kolorze różowym. Jesteś trochę od natury despotycznym — z tem się trzeba godzić.

I tyran Wtorkowski, który dowiedział się dopiero w tej chwili, że nie znosi koloru blado-niebieskiego — wyprawił córce, upierającej się przy własnym guście taką scenę, że aż się szyby trzęsły przy akompaniamencie spazmów panny Loli. Należało przytem ratować wodą i solami angielskimi omdlałą pocziwą matkę, która tłumaczyła córce, że ojciec, choćby najgwałtowniejszy i najniesprawiedliwszy — jest zawsze ojcem. Powinno wybaczyć mu się wszystkie krzywdy tak, jak ona sama to czyniła, choć zdrowie z tego powodu straciła i całe życie zmarnowała.

Niezbyt piękna, podobna do matki, panna Lola okazała się jednak jaknajmniej pojętną uczenicą tego matczynego treningu. Dzieciom, jak małym psiakom oczy dopiero po pewnym czasie otwierają się. Śród wiecznego huku gburą-ojca i minorów matki-ofiary — charakter panny Loli zgorzkniał — niezdolny do prowadzenia unisono z rodzicielką monotonnej kantileny wiecznych żalów.

I o dziwo! Młode lwiątko w klatce nie chciało skakać przez tradycyjne obręcze poskramiacza. Poczęło pokazywać swoje kły, warczało. Pani Wtorkowska zadrżała; bo oto okrutna córka ośmieliła się zedrzeć maskę swojej rodzicielki, która sama nawet o tej masce nie wiedziała. I bez dźbła

dyplomatycznego zasyczała panna Lola dziką nagą prawdą:

— To mama sama buntuje wiecznie ojca od rana do nocy przeciwko wszystkim. Bo ojcu nie śniłoby się wtrącać do kuchni i do moich strojów. Bo ojciec nie potrafi nawet odróżnić koloru niebieskiego od różowego.

— Nie potrafi odróżnić... tylko ja wszystko... Doskonale. W tej chwili niech sam to rozstrzygnie, czy to ja... Lub nie, nie! Takie krzywdy należy samej w cichości przecierpieć. Nie pierwsza, nie ostatnia — rozpląkała się, nie znajdując słów oburzenia z powodu takiej dziecięcej niesprawiedliwości i krzywdy.

— O! Jestem przekonaną — buntowała się bezlitośnie córka — że mama pójdzie z tem do ojca.

Matka pojęła doskonale, że jest przez rodzoną córkę zdemaskowaną. Sytuacja tem gorsza, że świat, solidaryzując z jej dotychczasową rolą d' *une femme incomprise*, mógł nie godzić się na „*mère incomprise*“. Pani Wtorkowska nie chciała też hazardować się na tę nową rolę tembardziej, iż w zamięłowaniu do kłamstwa nie chciała wtajemniczać świata w istotną domową prawdę tak łatwo, jak ongi wtajemniczała w to, co było fałszem.

Przesadzała więc dalej wobec świata swoje uczucia dla córki tak, aż cytowano tę zaślepioną

miłość starej Kornelji, matki Gragchów. A dopiero przy zamkniętych drzwiach Kornelja porzucała swoją dawną rolę cichej uległej cfiary. I zdemaskowana ostatniem fiaskiem wybuchała teraz codziennemi jaknajjaskrawszemi scenami i kłótniami z córką. I ex tyran domu, a obecnie już notoryczny pantofel mógł dopiero u schyłku swego życia odpocząć w szlafroku — nie wyprawdzany już do klatki na arenę, bo miejsca na to już w programie zbrakło i popisy te już nikogo nie bawiły.

Tylko wszystkowiedząca (!!)

stolica zżymała się tradycyjnie na domowe okrucieństwa tyrana i wyśpiewywała hymn na cześć zasług żony ofiary, która potrafiła w tak zabójczej atmosferze domu wychować tak kochającą córkę.

I pani Wtorkowska wsłuchiwała się w te komplementy z jedyną już tylko osłoda, że jednak nikt tak, jak ona — nie potrafi kłamać do końca życia. Niedarmo świat jak jeden mąż zawyrokował:

— Trzeba Wtorkowskiej przyznać. To kobieta w każdym calu taktowna, zrównoważona i nie wyrywająca się nigdy z tem, czego mówić wobec świata nie należy.

Jedynem marzeniem pani Wtorkowskiej stało się teraz: pozbyć się à tout prix córki z domu. Należy wydać ją za mąż jak najświetniej. Jest przecież jej matką i życzy jej w gruncie jaknajlepiej.

Sprawi jej wyprawę jaknajpiękniejszą i urządzenie mieszkania. I wszystko, wszystko... Oby tylko jaknajprędzej...

Oby tylko mózdz odetchnąć samej w swoim domu w niewoli swego okrutnego lwa, który skacze przez jej obręcz, jak cyrkowe lwy i Augusty.

Jurek, przedstawiony był pani Wtorkowskiej w salonie pięknej pani dyrektorowej kopalni „Heban“. Spotykała go też kilkakrotnie w innych domach. Był zawsze bardzo dla niej grzeczny. Lecz dopiero przy końcu sezonu w dłuższej z nią rozmowie ośmielił się wyrazić pragnienie bywania w jej salonie. Ze swoim swobodnym tonem dobrego chłopca zapewnił, że słyszał tyle o patryjarchalności jej domu, który zawdzięcza osobistym zaletom gospodyni swoje stanowisko w stolicy. Pani Wtorkowska, nie porzucając roli kobiety „niezrozumianej i interesującej“ — dawała mu zagadkowo melancholijnie do zrozumienia, że jej dom nie jest zbyt wesoły. Z powodów od niej niezależnych żyje wyłącznie miłością dla córki, która jest jej jedyną przyjaciółką, prawie siostrą.

W uśmiechu Jurka pani Wtorkowska poczęła odczuwać duszę, która ją rozumie. I ani spostrzegła, jak naraz zaburaczyła się jej twarz z pod pudru, połączonego z łuską jej zniszczonej cery, z krwistemi żyłkami na wystających policzkach...

Pani Wtorkowska przez całą noc nie spała. Od czasu poznania Jurka zdarzyło się to już nie po

raz pierwszy: w oczach jej śród mgieł ciemności sypialni wypływał kreślony sepią mglisty kontur młodego kształtnego mężczyzny o ujmującym uśmiechu i fascynującym dźwięku głosu. Koszmar nie znikał.

I pani Wtorkowska ani spostrzegła, jak naraz nieoczekiwane łzy poczęły spływać po jej opudrowanych policzkach. Rosiły ciepłem jej poduszki, łaskotały jej nos i gardło. I śród powstrzymywanego płaczu nawet w nocy nie przestając kabotynizować przed sobą — rzuciła kłamliwe wyznanie:

— Pragnę tylko jej szczęścia, choć ona nigdy go nie zrozumie. Musi wyjść za niego nawet, gdyby się broniła ze swoim uporem, odziedziczonym po ojcu. To jest karjera dla niej. Jest ubogi; lecz zamieszkamy razem. Nie rozstanę się... z moją córką nigdy. Jestem przecież jej matką — rozpłakała się znowuż. — Zawsze się dla wszystkich poświęcałam.

Jurek bardzo często już bywał w domu Wtorkowskich. „Warszawa“ już plotkowała, a panna, ot jak zwykle zamożne panny — kaprysowała. W obejściu z Jurkiem była poprostu niemiłą, z czego on — co prawda — nie wiele sobie robił. Bo nie był wcale nerwowy.

A panna Lola nie przestawała teraz upewniać stale wszystkich, (nieraz tak głośno, aby obecny

Jurek słyszał) że nie lubi wogóle ładnych chłop-
ców.

— Wystarczają mi w zupełności na scenie Prażmowski, Wolski, Mierzwiński. A w życiu lubię ludzi statecznych, poważnych i światłych.

— Powinna pani wyjść za mąż koniecznie za Korzona, za Piotra Chmielowskiego lub za Gersona — przekomarzał się Jurek z pewną siebie posażną jedynaczką.

— A pan powinien się ożenić z Deotymą — kąsała go, jak osa.

— Kiedy ja lubię młode panny.

— Czy jedynie tylko panny? — zapytała znacząco.

— Jedynie.

— No, to bez wzajemności — bąknęła przekornie.

Pani Wtorkowska zwierzała się swoim znajomym:

— Pojmujecie państwo, że marzeniem matki byłoby wydanie za mąż córki za człowieka ze stanowiskiem. Ale wiecie, jaki mój mąż jest uparty i despotyczny. Zakochał się w panu Jurku. Słowo daję — rozeźmiała się.

Lecz wobec córki gra pani Wtorkowskiej była bardziej skomplikowaną. Od czasu, kiedy panna Lola zdemaskowała quasi tyranję ojca — nie warto już było wystawiać go z wiecznie wyciągniętymi pięściami, jak owo ustawione wśród pola stra-

szydło z połamanym cylindrem, z którego wszystkie wróble już się śmieją.

Lisia natura Wtorkowskiej przywdziała teraz (bez zdawania sobie sprawy ze swojej dyplomatycznej akeji) nową subtelną maskę gry podwójnej. Hazard i ryzyko jest może lepszem od inercji, na którą, zresztą, przy obecnem swoim zdenerwowaniu — zdobyć się nie mogła.

— Solidaryzuję zupełnie z twoim ojcem — wkładała córce do głowy — że to dobry chłopiec; przytem pogodny, zrównoważony. No, i małe dzieci o tem wiedzą, że kształtny i ładny, jak z obrazka, lub z romansu ilustrowanego. Ale nie wiem, czy człowiek, za którym szalało tyle kobiet — może zająć się serjo skromną, przeciętną panienką. I czy nawet zaślubiwszy, nie porzuci po jakimś czasie dla innej kobiety z większemi szansami podobania się mężczyźnie. Nadto cię kocham, aby bez tych zastrzeżeń narzucać ci w tak ważnej decyzji swoje bezwzględne zdanie. Zastanów się dobrze. Chodzi tu o całe twoje życie.

— Naturalnie nie będę kierowała się w tym względnie niczyjem zdaniem, jeno mojem własnem — błysnęła oczami panna Lola, podrażniona tą gorzko osłodzoną przez matkę przeciętnością swojej urody i brakiem warunków podobania się mężczyźnie; niepewna jednak, czy na przekór matce ma przyjąć konkurenta, czy go odrzucić.

A doświadczony Jurek, pewny, że podoba się

i mamie i pannie, drwił sobie z jej grymasów i prowadził najspokojniej swoją sztukę uwodzenia, jak na pięknego konkurenta o średnio przystojną bogatą pannę przystało.

W trakcie tym Pawełek spełnił życzenia swego przyjaciela, złożył wizytę Wtorkowskiemu i stał się teraz przyjacielem ich domu. Bywał może częściej, niż Jurek, o którym nie wiedziało się nigdy dokładnie, gdzie spędza wieczory. Pawełek zaś w gruncie gustował zawsze w życiu patryjarchalnym, w mieszkaniu estetycznym, w towarzystwie uczciwych kobiet.

Pani Wtorkowska zameczała go wprawdzie pytaniami, tyjącami się Jurka z tem zainteresowaniem, z jakim zarzucały go ongi pani Roma, Aurelka i dyrektorowa „Hebanu“. Lecz Pawełek — o ile się dało — unikał z nią rozmów. Godził się wprawdzie na drugorzędną rolę przyjaciela kobiet nawet od biedy starszych od niego. Bo nie był donżuanem i nie czyhał na ich cnotę. A lubił odpowiadający jego naturze umysł kobiecy: delikatność odczuwania i wrażliwość bez wielkiej fantazji i polotu z darem subtelnej drobiazgowej obserwacji, jak u miniaturzystów lub u primitiwów Holandji.

Ale jego estetyczne poczucia lubowały się w pięknie i w harmonji. I Pawełek nie znosił mieszczyk pospolitych i pretensjonalnych; brzy-

dota razila go nawet u starych kobiet. A o pani Wtorkowskiej jakiś dowcipniś zdecydował:

— Jeszcze dziś znać po niej, że musiała być kiedyś bardzo... brzydką.

Faktycznie miała małe, ptasie. oczy, usta duże i nos szeroki. Panna Lola także nie była wprawdzie zbyt piękną. A pesymiści przewidywali — zdaje się — trafnie, że będzie kiedyś podobną, jak dwie krople wody do matki. Lecz obecnie ratował ją wdzięk młodzieńczy, polegający na 'estetycznej gibkości ruchów i na sympatycznej, tak szybko mijającej werwie umysłu, iskrzącego humorem i dowcipem, który u jej matki zdążył przemienić się z biegiem lat w stały zgrzyt dąsów i sarkazmu.

— Jaki ten pański przyjaciel jest miły, zacny, poczciwy, a nawet dowcipny — chwaliły przed Jurkiem „te panie“ z owym uznaniem, jakie Pawełek wzbudzał we wszystkich kobietach.

Jurek wzruszał dyskretnie ramionami niemniej zadowolony powodzeniem przyjaciela, jak zdziwiony.

— De gustibus... — pomyślał. — Ten poczciwy Pawełek jest zacny, szlachetny. Naturalnie: ale dowcipny od kiedy? — dziwił się, najmylniej identyfikując dowcip z wesołością, której przecież Pawełek nie posiadał. Bo Jurek nie wiedział, że jego bardzo weseli inni przyjaciele nie byli wcale dowcipni.

Lecz chcąc sprawić przyjemność Pawełkowi, Jurek zakomunikował mu o tem salonowem zwycięstwie. Nie było to dla Pawełka żadną niespodzianką, iż kobiety wolą jego towarzystwo, niż Jurka; a jednak z despotycznego wyroku natury, dążącej do dopełniania wzajemnego kontrastów — muszą się kochać w Jurku.

Lecz Pawełek zajaśniał całym wdziękiem swojej artystycznej duszy i harmonją swego charakteru dopiero w towarzystwie tej, którą los — zdawało się — iż przeznaczył mu na żonę.

Była nią daleka uboga kuzynka Wtorkowskich panna Lilla Aranduro. Płynęła w żyłach jej po ojcu krew (niebagatela!) hiszpańska, oddziedziczona po jakimś zwyciężającym na arenie byków torreadorze, krew kastanietowych tancerzy kabanery! Krew, ogrzana słońcem, które przyświecało Riberrze, Zurbaranowi, Goji, Velasquezowi i największemu z malarzy współczesnych Zuloadze. Panny Lilki nie zapraszano jakoś dotąd nigdy jednocześnie z Jurkiem, jakgdyby z obawy, aby nie tra-ciła w jej towarzystwie na porównaniu panna Lola.

Faktycznie panna Lilka — wbrew przewidywaniu Pawełka — była zupełnie niepodobną do tych wszystkich kuzynek, które Jurek na kark mu zawsze zrzucał. Była poprostu uroczem zjawiskiem. Nie egzaltujący się nigdy Pawełek musiał jej to przyznać.

Posiadała kształtną małą tanagrową główkę; śliczne drobne rączki i nóżki; a prawie nie spotykane u nas włosy były tak silnem złotem, (tak charakterystykiem u hiszpanek z wielkiego świata, spotykanego na najarystokratyczniejszej plaży w St. Sebastiano.) że aż posądzano je najniesłuszniej, iż są talmigoldowe. Cała jej postać rysowała się harmonijnemi proporcjami i rasowym szykiem, jakim szczył się tak młode warszawianki. Różniła się jednak od nich zaletami, niewłaściwemi boginkom syreniego grodu. Oto nie posiadała w sobie ani źdźbła sztucznej małomieszczańskiej minoderji z manierą quasi dobrego ułożenia, na które chorują nasze „dobrze urodzone“.

Bił z całej jej postaci wdzięk naturalności starych kultur nietylko w mowie, lecz w każdym calu jej ułożenia.

Bo matka jej bogata fabrykantówna zakochała się ongi w bawiącym w Warszawie w imprezie opery włoskiej barytonie Aranduro, o którym za pomocą hiszpańskiego konsulatu sprawdzano w jego ojczyźnie wiele poważnych zarzutów: Poza donżuanerją — stwierdzono jeszcze i zamiłowanie do gry, do alkoholu i wielki brak skrupułów w wynajdywaniu środków na zaspokojenie tych wszystkich swoich gustów.

Wobec tego rodzice panny fabrykantówny położyli stanowcze veto w kwestji projektowanego zamążpójścia córki. Lecz rutynowany donżuan bez

zezwoleń rodzićów rozkochaną w nim jedynaczkę wykradł z domu i cichaczem zaślubił. A cały jej posag jakoteż spadek po zmarłych wkrótce teściach (znacznie mniejszy niż „świat“ przypuszczał) stracił rychło signor Aranduro wraz z głosem na birbantkach i na niefortunnych amerykańskich imprezach.

Na starość powrócił do ojczyzny żony, która w biedzie zmarła, osierocając córkę, pozostawioną na niezbyt pewnej opiece ojca, starego ex donżuana, ex barytona i ex lowelasa.

Signor Aranduro utrzymywał się w Warszawie z lekcji śpiewu, nie cieszących się powodzeniem z powodu lenistwa maestra, który zaniedbywał je dla kieliszka w wiecznem zamięłowaniu do życiowej anarchji, za którą stale wzdychał i do ojczyzny swej na długie gościny wyruszał. Urodzonego kabotyna i kłamcę bawiły te stałe eskapady do Hiszpanji, w której mógł ziomkom blagować, jak go w Warszawie na rękach noszą i jaką karierę tu zrobił. Choć — życiowo wogóle wykolejony — wyśpiewywał te same kłamliwe zachwyty w Warszawie na cześć Sewilli, Madrytu, Toleda i Burgos, jak go entuzjastycznie tam przyjmują. Tak już od ćwierci wieku dobrze nie wiedział, gdzie jest właściwie u siebie w domu; bo jedynym na świecie domem dla niego była scena, której po stracie głosu był na wieki pozbawiony. Córkę kochał po swojemu to jest po

aktorsku: z ogromną emfazą, bardzo krzykliwe, bardzo patetycznie i dekoracyjnie.

Lilka od śmierci matki, dzieckiem jeszcze była oddaną na szereg lat na pensję. Teraz po skończeniu nauk tułała się po różnych ciotkach; wyjeżdżała na wieś do krewnych, lecz na dłuższą tułaczkę z ojcem ruszać z Warszawy nie odważała się. Choć kochała ojca — była aż nadto co do jego wad uświadomioną.

Bywała często u Wtorkowskich, którzy lubili ją tak, jak to zwykle lubi się ubogie kuzynki męża: bez zaślepienia. Pani Wtorkowska wyrażała się o niej stale:

— Lilka jest bardzo sympatyczną, lecz ufać jej zbyt nie można. Jabłko nie pada nigdy daleko od jabłoni. Obawiam się bardzo o jej przyszłość. Zresztą czy ja znam nawet dokładnie jej teraźniejszość? Jedynie z tego, co sama mówi. A ona nie jest wcale paplą.

— O! Jest bardzo dyskretną w kwestjach, dotyczących się jej własnej osoby — zgodziła się pan na Lola, uważając, że Lilka, jak na ubogą kuzynkę jest zbyt piękną.

— Ależ ona wogóle nigdy nawet w kwestji deszczu i pogody nie mówi nic pozytywnego — zdecydowała Wtorkowska, jaknajmylniej przekonana, że w gruncie Lilkę dość lubi.

— Już wzięłyście ją na ząbki — ujął się stary Wtorkowski.

— Wilk w jagnięcej skórze — zasyczała żona.

— A może jagnię w wilczej skórze? — uśmiechnęła się sarkastycznie córka.

A panna Lilka w treningu ciągłych badań rodziny, meufajającej córce kabotyna — uzbroiła się faktycznie w puklerz kłamstwa, którego używała z przyzwyczajenia nawet, kiedy nie miała nic do ukrywania; jedynie w obronie od niedyskrecji ciągłego badania krewnych, choćby w kwestji, dotyczącej się menu wczorajszego obiadu.

Brała teraz lekcje śpiewu. Lecz głosik miała niewielki, a zamięłowania do pracy jeszcze mniej. I żaliła się ze śliczną minką przed krewnymi:

— Gdyby tak ogłosić w kurjerze! „Jest do zbycia trafunkiem na wyprzedaży młodość, piękność i wdziek bez grosza posagu“. Bo przecież ja muszę wyjść za mąż. Bo co będę robiła? Nie wymagam królewicza z bajki, pięknego i szlachetnego. Niech sobie będzie garbaty, kulawy, ślepy. Chodzi mi jedynie o własną norę. Ojciec znowuż wyjeżdża do Hiszpanji. Przecież ja nie mogę wiecznie wycierać coraz nowe kanapy u różnych ciotek siódmej wody po kisielu.

— Garbaty, kulawy! Fi! To jest poprostu wstrętne! — wzdrygała się panna Lola w wyniosłości posażnej jedynaczki.

— Moja droga — cynizowała piękna panna Lilka, rozgoryczona brakiem konkurentów — To takie proste: Bogate panny kupują sobie ład-

nych ubogich chłopców, a nas kupują bogaci brzydale.

— Nie wszystkie bogate panny przepadają za ładnymi chłopcami — wydeła buzię panna Lola z tą niechęcią, z jaką bogacze uważają za nietakt ze strony hołyszów wymawianie im bogactwa.

— A ja przepadam! — wyrwała się zaczerwieniona panna Lilka. — W moich żyłach płynie krew, nie woda.

— Fi! Temperament! — zdecydowała panna Lola. — To jest poprostu obrzydliwe.

Kiedy badano znacząco pannę Lilkę w kwestji Pawełka, którego poznała w salonie poprzedniej niedzieli, odpowiedziała ze swoją śliczną minką stołecznej pierwszej naiwnej, której jest do twarzy nawet ze szczebiotem cynicznym:

— Mógłby być nawet mniej młody i mniej miły, gdyby miał trochę większe dochody. Ale na bezrybiu... Czy on tylko mnie zechce — that is the question!

Obmawiano tego wieczoru w salonie Wtorkowskich Jurka, który istotnie zaniedbywał swoje konkury. Aż się Pawełek w głębi irytował.

— Pański przyjaciel jakoś na nas nie łaskaw — uskarżała się mama Wtorkowska.

— Jego wogóle panny nie bawią — zauważyła córka. — On lubi tylko mężatki i kokoty.

— Lola! — oburzyła się mama Wtorkowska.

— Jego przyszła żona będzie przecież także

meżatką — bronił go żartobliwie Pawełek — a nie panną.

— Tylko że on będzie lubił wszystkie żony z wyjątkiem własnej — przekomarzała się panna Lola.

— A my gdybyśmy byli mężczyznami — ujęła się za sympatycznym nieznanym panna Lilka. — Czy byłybyśmy inne? Komuż to wystarcza jedna róża? Kiedy kocha się kwiaty — chciałoby się tulić do ust wszystkie róże. Całe stosy róż! I nurzać się w nich aż do oczadzenia się ich wonią na śmierć! — przymknęła oczy. — I pić wino ze złotego puhara, i tańczyć i śpiewać i umrzeć...

— Nie wiem, czy takie olimpijskie zwierzenia ułatwią ci zamążpójście — zaopiniowała kwaśno po wyjściu Pawełka pani Wtorkowska.

— Ma wujenka słuszość. Wyrwało mi się niepotrzebnie. Ja bardzo rzadko wogóle zwierzam się ze swoich myśli — roześmiała się filuternie panna Lilka. — Jak na szanującą się pannę przystało.

— Wiemy coś o tem — potwierdziła znacząco panna Lola.

— I ja wiem więcej, niż wam się zdaje — odcięła się uboga kuzynka. — Wasza otwartość i szczerłość! A jak się nazywa ten przyjaciel pana Pawła, który zdaje się wpadł w oczko panience i którego ukrywacie przedemną, jak mysz pod miotłą.

— Mysz pod miotłą! Cóż za cygańskie wyrażenia!

— Czemuż mielibyśmy ukrywać? — zaczerwieniła się panna Lola — nazywa się Szałowski.

— Jurek Szałowski? O! Per bacco! — zgorzała naraz panna Lilka — Jurek Szałowski!

— Znasz go?

— Jak mamę najszczerzej kocham! Nie znam go osobiście. Znałam go kiedyś z widzenia!

— Kiedyś z widzenia! Wyrażasz się zawsze jak Pytja Delficka — zaniepokoiła się panna Lola.

— Mówiłam ci — potwierdziła pani Wtorkowska po wyjściu ubogiej kuzynki obawy córki — Lilkę można lubić, lecz ufać jej nie można.

Obie damy nie traciły nadziei pomyślnych skutków swego swatostwa. Nie unikło ich uwagi, że Lilka serjo podoba się Pawełkowi. Stwierdziły te objawy częstem wzajemnem rzucaniem sobie dyskretnych znaczących spojrzeń. Nie myliły się. Faktycznie złotowłosa pół Carmena działała na Pawełka poza swoją urodą, jeszcze i mową, (posiadającą pewien egzotyczny czar nie tylko akcentu, lecz i dźwięku) jak kwiat, wychodowany pod cieplejszem niebem, wśród innej roślinności, wśród innego ptactwa i pogodniejszej atmosfery.

I pochmurny, zwykle Pawełek, jakby w odbiciu promieni tego słońca — jaśniał większym, niż kiedykolwiek wdziękiem i humorem, który udzielił się nie tylko rozkosznej pannie Lilce, lecz ca-

łemu towarzystwu niezbyt wielkiego salonu Wtorkowskich. I panna Lilka, czując, że te wszystkie skarby chylą się do jej stóp — wdzięczna Pawełkowi za tę stworzoną przez niego niezwykłą atmosferę całego domu — rzuciła mu szczerze i bardzo pocziwie:

— Pan wcale nie wie, jaki pan jest miły.

— A czy pani wie, jaka pani jest miła? — odwdzieczył się jej rozpromieniony Pawełek.

— O! Ja — wiem — odrzekła mu z tak ujmującą naturalnością — aż się wszyscy dokoła roześmieli.

— Oboje jesteście tak mili, jakbyście się w korcu maku dobrali — zauważyła znacząco pani Wtorkowska.

— Szczęść Boże młodej i dobranej parze! — bąknęła pod nosem panna Lola.

Pawełek miał ochotę odprowadzić pannę Lilkę do domu. Lecz okazało się, iż z powodu nieobecności papy Arandura, który wyjechał ze swoją uczennicą, jako akompanjator na jakieś prowincjonalne koncerty — panna Lilka miała nocować u Wtorkowskich.

Oszołomiony przeżytemi tego wieczoru wrażeniami Pawełek, powracając do domu, dojrzał w świetle latarni ulicznej sunącego ku niemu Jurka w kapeluszu, zawadjacko na tył głowy zsuniętym, w usposobieniu widocznie jaknajbardziej różowem.

Pawełek, ogromnie srogi — palnął przyjacielowi *verba veritatis*, jak ongi wśród rzadkich zresztą wybuchów szkolnych, kiedy karcić wietrznika koniecznie już należało.

— Wprowadzasz mnie do coraz to nowych swoich przyjaciół, a potem sam znikasz, jak kamfora. I nie wpada ci nawet do głowy, że narażasz mnie tam na przykre wymówki z twego powodu. Mam już dość tych wyklamywań z powodu twoich kokot, które wiem, że są podług ciebie „zabawniejsze“ od uczciwych kobiet.

— Zawsze uważasz mnie za sinobrodego. A ja wracam poprostu od Wiktora. Przysłuchiwałem się przy piwie rozmowie siedzących u sąsiedniego stolika Sienkiewicza z księdzem Chełmickim i z Gawalewiczem. Widziałeś przecież, jak schodziłem ze schodów restauracji — wskazał na szklane drzwi oświetlonego rzęsiście pawilonu, zbudowanego w bocznym skrzydle ówczesnego Banku Dyskontowego, który mieścił się za żelaznemi sztachetami na miejscu obecnego Bristolu. — A teraz przypatrywałem się pięknym kobietom w szafce z fotografjami Karolego i Pusza. No, to chyba mi wolno. Pozwalasz?

— Musisz raz nareszcie zdecydować się, co do swoich zamiarów matrymonjalnych — przekonywał go Pawełek, miękki już po wyczerpaniu całego bardzo skromnego zapasu swojej złości.

— Trudno. Ja nie potrafię rozmawiać tak ładnie w salonie z panienkami, jak ty.

— Naturalnie — strofował go po ojcowsku Pawelek — konkury w restauracyjnych gabinetach są krótsze.

— Nie gderaj, stary! — wziął przyjaciela pod ramię Jurek i począł mu pocziwie rozpowiadać o przyszłych planach. Był jaknajlepszych myśli. Plany, jego skuteczniają się.

Rozmawiał już z właścicielem upatrzonego placu na Woli. (Poznał go u pewnej dość płochej damy). Ma nadzieję, że w najbliższym już czasie pojedzie z nim do rejenta dla podpisania ostatecznego aktu umowy.

— Spotkałem dziś u Wiktora, czy wiesz kogo? Milera. Nie pamiętasz tego starego inżyniera, który pracował ongi w fabryce ojca? Udzielił mi wielu bajecznych informacji. A ty nie działasz od czasu, kiedy zostałeś bawidamkiem. To ty raczej jesteś Sinobrodym i wietrznikiem. Słowo daję.

Lecz okazało się, że Jurek się mylił, bo i Pawelek czasu nie tracił. Dyrektor zapewnił mu spory kredyt w banku. A naczelnik i kilku stałych klientów Pawelka zdecydowało się na udziały w akcjach.

Teraz chodziło jeszcze o pozyskanie starego Wtorkowskiego.

— Trzeba będzie ewentualnie udać się do An-

glji i do Francji dla zaznajomienia się z ulepszeniami produkcji i wybrać się wgląd Rosji dla rozpatrzenia się w stosunkach zbytu. A potem w krótkim czasie pojedziemy już całą siłą pary.

Akcjonariusze muszą na pierwszym posiedzeniu obrać Jurka na stanowisko naczelnego inżyniera fabrycznego, a Pawełek zostanie biurowo-handlowym dyrektorem Towarzystwa. Poza pensją i tantjemami muszą obaj otrzymać zagwarantowaną liczbę akcji.

Odchodzili już kilkakrotnie od bram swoich mieszkań i, niezmordowani dyskusją — tułali się po ciemnych zaułkach miasta prawie aż do świtu. Wreszcie na odchodnem rzucili się sobie w objęcia.

— Zobaczysz, stary — całował go w same usta Jurek — wszystko pójdzie nam już teraz, jak po maśle.

I zupełnie udobruchany i przejęty, milczący Pawełek zniknął wreszcie za ryglowaną przez stróża bramą zamieszkiwanej kamienicy.

Po upływie kilku dni dwaj przyjaciele zwierza li się sobie wzajemnie w banku z otrzymania drukowanych zaproszeń na wieczór tańczący do Wtorkowskich.

Wieczór ten odbył się wspaniale: Oczywiście z mnóstwem jarzących świec u żyrandola, z kobietami w jasnych dekolowanych sukniach,

z młodzieżą we frakach, z majonezami, indykami, lodami; jak że by inaczej!

Pawełek był rozczarowany, stwierdziwszy na balu nieobecność panny Lilki. Tłómaczono, że jest niezdrową, lecz widząc jego zaniepokojenie z tego powodu, oświadczono poufnie, że właściwie nie chciała pojawić się w starej tualetce, a nowej na raz jeden nie było warto sprawiać.

Zato panna Lola, która wystąpiła, pomimo zakazu ojca nie według jego życzeń w sukni różowej, lecz w blado niebieskiej — jaśniała całą strojnością szykownej warszawianki, potrafiącej wdziękiem młodości łątać niektóre błędy natury.

Pawełek, zasepiony, przypatrywał się przez cały wieczór tańczącym. Śród młodzieży wyróżniał się szykiem i urodą prowadzący po mistrzowsku tańce Jurek, jak ulany w swoim fraku, uwydatniającym harmonijność jego kształtnych proporcji. Jak tryumfujący bożek lśnił cały od dekoracji kotyljonowych, któremi usiane były całe piersi zwycięzcy. Hołdy wdzięcznych prowodyrowi tan-cerek.

Zwracało ogólną uwagę plotkarzy, iż Jurek tańczy przeważnie z córką domu, która z przymkniętymi oczami i rozchylonemi wargami tuli się bardziej, niż wypadało, do zwycięskich objęć tan-cerza.

Nad ranem, kiedy przy białym mazurze, (tańczono go przy zgaszonych już świecach o świcie,

wkradającym się z okien z podniesionemi już roletami) — senny Pawełek sunął dyskretnie ku kontramarkarni wśród służby, uwijającej się z sensacyjnym rannym bigosem i barszczem — dostrzegł naraz flagrant délit: Oto w ciemni różowych abażurów ustronnego buduaru upojona dźwiękiem mazura — panna Lola tonie nieprzytomna w pocałunkach obejmującego ją w ramionach Jurka.

Pawełek niepostrzeżenie wymknął się do domu. Czuł niesmak złota, kłamstwa i złości tłumu, o który nie sposób w życiu się nie ocierać. Byłby najchętniej wyrzekł się tej zainicjowanej kariery. Lecz wstydził się sam przed sobą swego dziwactwa. Bo życie — to ustawiczna masowa ugoda z nietrafiającemi nam do przekonania faktami, na które rady niema.

Nazajutrz po balu panna Lola, zupełnie niezważając już, czy sprawi tą sensacją przyjemność komukolwiek, czy zawód — wskazała tryumfująco matce swoją rękę, na której lśnił maleńki pierścionek ongi pani Romy, a ostatnio Jurka.

— Co to znaczy? — pobladła pani Wtorkowska.

— To znaczy, że zamieniliśmy się wczoraj z panem Jurkiem pierścionkami. Przyjdzie tu prosić was oficjalnie o moją rękę.

— Wobec tego, żeś sama już bez nas postanowiła — zadrżała matka, nie wiedząc, czy mar-

twić się, czy radować tym zadecydowanym faktem — nie pozostaje mi nic innego jak błogosła-
wić cię, moje dziecko. Bo chodzi tu jedynie o two-
je szczęście. Lecz znasz upór ojca — kabotyni-
zowała swoim zwykłym parawanem, zapomniaw-
szy o dawnym twierdzeniu, że to właśnie mąż
jest zwolennikiem tego małżeństwa.

Panna Lola pogardliwie wzruszyła ramionami
i w najlepszym nastroju zakończyła rozmowę sta-
rym konceptem, jakim dzieci częstują rodziców:

— Nie wtrącałam się do waszego małżeństwa,
mam więc nadzieję, że i wy mnie tych bezcelo-
wych ceregieli oszczędzicie.

Lecz z przyjściem Jurka zapanowała w całym
domu atmosfera radosna. Stara Wtorkowska bar-
dzo wzruszona wyciągnęła do niego ramiona.
A kiedy zwyczajem operetkowych teściowych
przytuliła się do objęć Jurka trochę silniej, niż
należało i przyszły zięć poklepał ją po ramieniu
i pocałował w czoło — stara rozplakała się z wra-
żeniem, że to ona jest oblubienicą.

Tylko papa Wtorkowski, niezwykle jakoś ma-
łomówny, a nawet kwaśny wywiązywał się nie-
fortunnie z narzuconej mu przez żonę roli „za-
kochanego w swoim przyszłym zięciu“. Aż stara
wybuchła poza wachlarzem.

— Przecież sam chciałeś tego małżeństwa,
a teraz, kiedy klamka już zapadła, masz minę jak
gdybyś się napił octu siedmiu złodziei.

Stary machnął tylko ręką.

Wtorkowska wybierała już w myślach u Jarockiego najkosztowniejszy sygnet, który miała wręczyć Jurkowi narzeczona. Zauważone też w wystawowym tapicerskim oknie wyjątkowo piękne urządzenie gabinetu przeznaczała w swoich projektach dla ukochanego... zięcia. Przemyśliwała też, w jaki sposób nakłonić męża, aby oddał Jurkowi swój niezwykle piękny zegarek.

Była zupełnie niezdolną do grania komedji niezadowolenia. Tak promieniała ze szczęścia, że Jurek wstępuje do jej rodziny. Jeszcze nigdy nie panowała pomiędzy matką a córką taka harmonja. Aż w końcu i stary począł w tej sugiestji kabotynizować tryumf quasi swojej własnej despotycznej woli w kwestji wyboru quasi pożądanego przez niego zięcia.

Z piwnicy przyniesiono ostatnie trzy butelki szampana, którego balowi goście nie zdolali w siebie wchłonać. Oczekiwano jeszcze wtajemniczonego już w ten radosny — ewenement Pawelka, wyszydzając jego znaczący smutek z powodu nieobecności na balu pewnej damy...

Jurek wyraził zdziwienie, iż bywając już tak długo w domu Wtorkowskich, nie miał dotąd nigdy okazji spotkania tej kuzynki narzeczonej, a ewentualnej może żony kogoś bardzo mu blizkiego.

— Czy pan nie zna Lilki? — badała narzeczonego z niepokojem panna Lola.

— Skąd? Nie widziałem jej nigdy w życiu — odrzekł, jak przed księdzem.

— Mężczyźni demaskują się trudniej od kobiet — pomyślała panna Lola i wnet poczęła go badać. — Czy jest pan tego pewnym?

— Najpewniejszym proszę pana sędziego śledczego — roześmiał się swoim ujmującym naturalnym śmiechem Jurek.

— Może mi pan dać na to słowo honoru?

— Dwa słowa honoru. Dziesięć słów, całą furę słów honoru — upewnił ostatecznie narzeczoną.

Pani Wtorkowska poczęła tłumaczyć Jurkowi, że „choć Lilka jest najzaczniejszą dziewczyną, mój mąż nie lubi jej sposobu zachowania się w towarzystwie młodych mężczyzn“. Bo Lilka posiada w swoim obeiściu nieco cygaństwa odziedziczonego po ojciu ex-barytonie.

Panna Lola solidaryzowała swoim milczeniem z oskarżeniami matki.

— A jednak na różne herbatki z Pawełkiem zapraszały ją panie — żarcikował Jurek.

— No, pocciwy pan Pawełek — to zupełnie co innego. Zresztą — to przecież kandydat na konkurenta.

Naraz, w trakcie, kiedy ją obmawiano, zjawila się w salonie nieoczekiwana i nieproszona panna Lilka, prześliczna w swojej tanagrowej postaci

z kształtną złotą główką, z regularnym noskiem i z buzią wielkości piątki, jak na portretach szkoły francuskiej z XVIII wieku.

Matka z córką obrzuciły się groźnemi spojrzeniami, z rezygnacją: Ha! trudno, niema rady!

— Co za miła niespodzianka! Pozwolisz sobie przedstawić: Mój narzeczony.

Panna Lilka, spojrzawszy na bohatera dnia — najnieoczekiwanej poczerwieniała, jak piwonja.

Aż zdziwiło to nawet niezbyt skromnego od natury Jurka, tryumfującego w głębi z powodu tej łatwej ostatniej widocznej konkiety. Bo nie kłamał swojej narzeczonej. Nie znał faktycznie panny Lilki Aranduro i nigdy w życiu nie był jej przedstawiony.

Lecz panna Lilka знаła doskonale od wielu lat pięknego sztubaczka z widzenia, z nazwiska, nawet ze zdrobniałego imienia: Jureczek.

16-o letni Jurek Szałowski w zielonym mundurku ze złotemi guzikami! To był pierwszy platoniczny romans panny Lilki. W dzieje tej miłości były wtajemniczone wszystkie koleżanki z pensji w czasach, kiedy gęsim sznurem sunęły po trotuarach Warszawy.

Kilkakrotnie dzięki jemu — Lilla Aranduro otrzymywała złe stopnie ze sprawowania z powodu niedyskretnego oglądania się za nim na tych gremjalnych ulicznych spacerach. Posiadała też jego fotografię w sztubackiem mundurku, otrzy-

maną od córki lekarza, bywającego ongi w domu pani Romy na Królewskiej. Fotografja ta bywała nieraz cała mokra od łez i pocałunków zakocha-nej pensjonarki, w której hiszpańska krew nie darmo płynęła.

Kiedy pensja spotykała Jurka na ulicy — koleżanki wiedziały już zgóry, że Lilka zostawi pół talerza cienkiego obiadowego barszczu i nie tknie siekanego kotleta na talerzu.

Kochała go. Uczucie to nie zmniejszyło się wcale, kiedy przestała być podłotkiem. Przeciwnie! Jakaś niezwykła jej naturze nieśmiałość zmuszała ją niewolniczo do coraz większej bierności w stosunku do niego. Unikała go. Nie chciała, aby był jej przedstawionym. Przestała chodzić ulicami, na których twierdzono, że go się tam spotyka. Czuła do niego żal, że prześlepiał jej uczucia; poprostu nie zauważył jej. A przecież uroda jej zwracała uwagę tylu obojętnych jej mężczyzn!

Prawda, że ilekroć Jurka na ulicy dostrze-gała, nie tylko on bywał zaabsorbowany, lecz i ona nieprzytomna opuszczała lub odwracała głowę.

Przecież nawet w sztubackich czasach wieść o jej romansie powinna była dojść do niego. Pojmowała doskonale powód tej jego oziębłości: On nie był nigdy platonicznie zakochanym podłotkiem. Nie miał nigdy czasu na romanse z pensjo-

narkami. Odrazu stał się mężczyzną, którego interesują kokoty, cyrkówki i płochy mężatki.

I dziś także był znowuż zajęty. Znowuż nie zupełnie platonicznie. Bo udało mu się i tym razem — brutalnie wykreślić w lot niewygodną fazę konkurów, której nie czuł w swojej skali.

I dzisiejszy flirt z czerwieniącą się wciąż narzeczoną ułatwiały mu bardzo wspomnienia pamiętnego balu. Bo niezapomniane uległości buduarowego sam na sam uczyniły go zwycięzcą. Połączyła go z wyniosłą panią pewna tajemnica, której się wprawdzie nie wytyka, lecz którą się wiezi.

I niesforny Jurek nie waha się śród rozmowy z narzeczoną obejmować zaciekawionem okiem pogrążoną w jakiejs dyspucie z Pawełkiem piękną Lilkę, która, rzuciwszy na niego spojrzenie, znowuż raka spiekła.

Jurek podkreślił wąsika, i naraz oczy ich spotkały się.

Po kolacji z szampanem na cześć młodej pary, po ślicznie odśpiewanych przez Lilkę berżeretach — zbliżała się już godzina rozstania. Jurek wyraził gotowość odprowadzenia wraz z Pawełkiem panny Lilki do domu. Lecz pani Wtorkowska z przenikliwością belmery zadecydowała, że Lilka zamocuje u nich. Córka od pewnego czasu stale solidaryzowała z matką. Projekt odprowadzenia jednogłośnie upadł.

— Ach! Te baby! — pojął ich taktykę Jurek.

I odprowadzający się wciąż wzajemnie do swoich bram samotni dwaj przyjaciele — nie mogli znowuż rozstać się ze sobą tego wieczoru. Nielada nawał tematów do rozmów się zebrał. Rzeczą tyczyła się głównie przyszłej fabryki. Z tą mydlarnią szło wszystko, jak po mydle. A tembardziej teraz wobec faktu zapewnionej bogatej żeniaczki Jurka.

I w doskonałym nastroju Jureczek, przeświadczony, że nawet we własnym piecu bez cyklopiej pracy Pawełka nie byłoby kołaczy — nie przedstawiał uwodzić swego przyjaciela melodjami na najczulszych strunach duszy mruka-romantyka.

Oto fabryczny dom mieszkalny będzie zbudowany w ogrodzie w stylu dworu szlacheckiego z gankiem na kolumnach.

Wobec zamiłowania Pawełka do ogrodnictwa i do sielanki wiejskiej — przyszedł pan dyrektor zajme sam parter całej willi.

A pan inżynier Jurek, lubiący bardziej komfort stołeczny, zajmie ze swoją przyszłą żoną pierwsze piętro od ulicy z pięknymi schodami, balkonem i t. d.

A pokoje gościnne, suszarnia, pralnie i t. d. obaj sąsiedzi będą mieli wspólne, w mansardach. Tak samo wystarczy im jeden ogrodnik, jeden portjer. Będą też mieli wspólne powozy, konie, wspólne warzywa i kwiaty.

— Żony nasze, jako kuzynki — będą sobie zawsze blizkie. No, a my jako przyjaciele także do oczu skakać sobie nie będziemy. Prawda? Zobaczysz, stary, czeka nas poprostu rajskie życie — upojony przyszłym szczęściem, konkurami, a głównie szampanem, którego, jako jubilatowi, dziś nie żałowano — roześmiał się na całe gardło.

— Czego się śmiejesz? — badał go ciężki Pawełek.

— Bo ty jednak jesteś kanalja! — przypomniał sobie coś Jurek, który poza szampanem wypił dziś sporo koniaku.

— Dlaczego kanalja?

— Już ja wiem, co mówię — przypomniał sobie Jurek „cynizm starego warjata, który, uprzedzając wypadki, wywoływał tem samem wilka z lasu“.

Jakaś dziwna asocjacja myśli uplastyczniła Jurkowi ów pamiętny sceptycyzm Pawełka, z jakim wierzył on w jedyny powód zażyłości przyjacielskich stosunków: Mianowicie, jeżeli żona przyjaciela jest piękną. W razie skrupułów i oporu uchodziłby wtedy za osła „każdy szlachetny Józef, broniący się od Putyfary“.

— Dlaczego mi to wszystko mówisz? — upierał się tępy Pawełek.

— Nie mogę ci tego wyjawić — bronił się rozbawiony Jurek — lecz jednak wierz mi na słowo: Jesteś jednak kanalją i cynikiem par dessus le marché.

Kiedy Jurek zagasł już świecę przed łóżkiem, pewny, że spać będzie, jak zabity — ujrzał ze zdziwieniem wśród mgieł ciemni pokoju „bajkową dziewczynę“.

Aż go to zgniewało i, poprawiając poduszkę, zawyrokował:

— Ach! Ty, ty, przyszła żono mego przyjaciela! „Jesteś numer, co się zwie“ — parodjował jakąś operetkę. — Bo przecież ona mnie poprostu prowokowała. Słowo honoru. I, usiłując zasnąć, od razu zadecydował:

— W każdym razie szkoda jej dla Pawelka — i, przewracając się na swem posłaniu, ani spostrzegł, jak począł nucić piosnkę, którą słyszał ongi w Folies bergères w interpretacji słynnej Ivetty Guilbert z jej Bogu duszę winną minką, z jaką wyśpiewywała różne herezje.

A tekst tej piosnki brzmiał mniej więcej: Dwaj przyjaciele, pan Dufond i pan Dupont, zajmowali jedną wspólną wille: Ogród pana Dufond był ogrodem pana Dupont, a kucharz, szwaczka, portjer pana Dupont były i t. d. A najbardziej oklaskiwana zwrotka brzmiała:

„I żona pana Dufond była żoną pana Dupond, a dzieci pana Dupont były dziećmi pana Dufond“.

— No, co do Pawelka — to w tej ostatniej kwestji dzieci — niema obawy — zasypiał Jurek z cynicznym refrenem piosnki na ustach.

XV

Nastało lato. Pani Wtorkowska — wbrew corocznym zwyczajom — zwlekała z terminem zwykłej kilkomiesięcznej wilegjaury.

Naturalnie, to mąż jej sprzeciwiał się tego lata wyjazdowi z Warszawy. Uważał, że narzeczeni nie powinni rozstawać się na czas tak długi. A nie mogło być mowy o letnich urlopach Jurka, ani Pawelka, którzy — niezależnie od porzucenia swoich posad biurowych — mieli huk roboty nie tylko z budową gmachu fabryki już pod dachem, lecz i z przyszłą organizacją, instalacją, dostawami, ajencjami i t. d.

— A mąż mój uparł się — kabotynizowała pani Wtorkowska — aby ślub nie odbył się wcześniej, aż fabryka będzie już w ruchu i mieszkalna willa gotowa do przyjęcia młodej pary. Zdaje mi się, że to stawianie przeszkód — to poprostu z jego strony chęć nierozstawiania się z córką; no i z ukochanym zięciem — wyśmiewała męża pewna, że nie kłamie.

Faktycznie Jurek z Pawelkiem nie próżnowali. Chodziło nie o bagatelę: o wyszukanie pieniędzy, niezbędnych do tej fabrycznej beczki Danaid. A nie wypadło przecież przed ślubem żądać od Wtorkowskiego posagu, tembardziej, że on sam — nie nagabywany — zaangażował się w obietnicy przeznaczenia części posagu córki

na kupno akcji przyszłej fabryki. Wprawdzie nie godził się on na jawne figurowanie swoim nazwiskiem w nowo powstającej firmie, która miała brzmieć tout court: Szałowski, Szylert i S-ka, lecz obliczano przypuszczalną sumę Wtorkowskiego na sto tysięcy rubli. Mogli więc i obaj młodzi spółnicy i wszyscy akcjonariusze spać spokojnie.

W prowizorycznym pawilonie, wystawionym na placu budowy, wśród huku mularzy, cieśli i setek interesantów — spółnicy spędzali, jak na polu walki, z nerwami naprężonemi swoją kampanję od świtu do zmierzchu. Jurek był w tym chaotycznym, krzykliwym rozgardjaszu zupełnie w swoim żywiole; Pawełek, spragniony już stałej, unormowanej, solidnej pracy — męczył się w niewłaściwej roli.

Tylko niedziele i święta, jak sztubacy. mogli spędzać w domu Wtorkowskich.

Lecz w upalne dni lata w pokojach było duszno. I pani Wtorkowska poczęła organizować majówki. Stary tyran wydawał się istotnie zadowolonym z tego rzadkiego święta, w którym mógł choć raz na tydzień pozostawać sam jeden w domu. Nakładał szlafrok, wyjmował niewygodną sztuczną szczękę z wprawionemi zębami -- jako nie ekscytowany już do niewygodnych, wściekłych zgrzytów — Bogu duszę winien tygrys na urlopie.

Bo poza swoim wytrenowanym sztucznym ry-

kiem — stary wściekły tygrys czuł się w życiu bardzo osamotnionym, znacznie szczerzej, niż jego kabotycznie romantyczna „femme inconprise”. Szczególniej ostatnimi czasy Wtorkowski odczuwał brak bratniej duszy, porady przyjaciela. Bo zaangażował swoje kapitały w jakiś za-oceanowe przedsiębiorstwo ajencji nasion amerykańskich. Teraz jakaś panika go ogarnęła. Jakieś przeczucia chorobliwe i obawy. Nikt w domu nie zauważył tego ogólnego przygnębienia, nerwowych ruchów i coraz bardziej zwieszających się fałd podbródka fioletowo starczej twarzy.

Cała domowa atmosfera tonęła w trzepocie różowych skrzydeł Amora.

I Jurek żarcikował sarkastycznie z Pawełka:

— Widzisz pesymisto! A przewidywałeś, że przeznaczona dla ciebie kuzynka mojej narzeczonej okaże się nudną i bardzo brzydką. Pomyliłeś się.

— Niestety — zgodził się niepoprawny pesymista. — Może — Niestety — jest zbyt piękną i zbyt interesującą.

— Niestety? Nie rozumiem.

— Czy taki człowiek, jak ja, zdołałby zapewnić jej szczęście?

— Nie chodzi o jej szczęście, lecz o twoje — zbył go płytko Jurek.

Nieprzekonany tym argumentem Pawełek uśmiechnął się smutnie.

Każdej niedzieli i święta stangret Wtorkowskich Marcin zaprzęgał teraz do wielkiego landa ciężkie fabryczne szkapy o srebrzonych szorach. I dwie młode pary z mamą Wtorkowską na czele wyfruwały do modnego wówczas Wierzbna, Mokotowa, Królikarni, a niekiedy do Wilanowa i do otwartego dla wszystkich Natolina.

Śród młodych naogół milczących — kozaczkowała najbardziej pani Wtorkowska w siódmym niebie i aż nazbyt rozkoszna. I zamęczała młodych tem ciąglem podkreślaniem swojej motylkowatości — przeświadczona, że jest fenomenem, bo wbrew ogólnym prawom natury nie znać na niej lat, jak na innych kobietach. Obiły się one, jak o skałę i o jej ciało i o jej ducha.

— Czuję się młodszą od was wszystkich — figlowała, kołyszając czołnem, aby ich przewrócić.

A Jurek, czerwony ze złości, zwierzał się przyjacielowi:

— Mama nam się udała, co? Trzeba mieć zdrowie, aby módz znosić tę babę.

— Biedaczka! Kocha się w tobie — zadecydował litośnie Pawełek ze swoim nosem węszącym, gdzie trawa rośnie — zdolny wynalźć igłę w stogu siana.

— Oszalałeś? — oburzył się Jurek. — Tego tylko brakowało, aby ta stara warjotka...

Całe towarzystwo wysiadło już z czołna. Zarosłemi ścieżkami bładzili śród gąszczu dzikiego

parku Marysinka z imitowaną ruiną jakiejś cudackiej wieży. I rozłożyli się taborem na pięknej polanie.

Z poza drzew w promieniach słońca lśni miga-
jącą srebrzysto popielatą wstęgą Wisła ze swe-
mi leniwemi falami bladej huryski. I wśród ciszy
parku rozbrzmiewa metaliczny sopranik panny
Lilki, której wtóruje ptactwo, zdziwione, że gło-
sik, wychodzący z panieńskiego gardziółka, może
być piękniejszym od głosu słowika.

Dokoła zapanowała cisza. I młodzi, upojeni po-
wietrzem, szmerem drzew i ciszą, pełną radości
ich serc — upierają się w zachwycie:

— Panno Lilko, jeszcze, jeszcze!

— Jak mamę kocham, mam chrypkę.

— Kiedy Lilka mówi, jak mamę kocham —
jest na pewno przy głosie — drwinkuje panna
Lola.

— Jaka ty jesteś doprawdy, że już nie wiem...

— Ależ zmiłujcie się. Ona faktycznie ochryp-
nie — ujmowała się za nią nie bez odrobinki za-
wiści pani Wtorkowska, zajęta wyjmowaniem
z koszyczka różnych smakołyków: domowych
ciast, wina i owoców — uszczęśliwiona nadzw-
yczajnem powodzeniem tego pomysłu. Majówko-
wiczę chrupali z rozkoszą jak dzieci, bawiące się
„w państwo“, kruche ciastka, gruszki bez noży-
ków, zapijane winem z jednej czarki. W po-

wrotnej drodze śpiewali na czólnie pieśni chóralne.

Następnej niedzieli pojechali do Natolina. Od czasu do czasu jedna ze spacerujących par w oddali zniknęła. Bo starano się jednak zawsze, aby mamy zupełnie samej nie zostawiać. I bardzo rzadko się to zdarzało. Znajdowano w podobnych razach panią Wtorkowską z chusteczką przy zacerwienionym nosie. Rozpoczęły się smętne żale:

— Nie jestem nikomu potrzebną na tym świecie — zawodziła, chowając chustkę do kieszeni. — Dorosłym dzieciom rodzice są już zbyteczni. Choć nigdy nie zaznałam młodości. A dziś już za późno — powracała do swej roli kobiety interesującej i niezrozumianej, dziś szczerzej, niż kiedykolwiek, bo młodym faktycznie nie chce się starych rozumieć.

Lecz najbardziej kaprysiła od pewnego czasu panna Lola, upierająca się dziś, aby na głównem siedzeniu w powozie nie ona siedziała obok matki, lecz Lilka, która jest gościem. To znów widząc, że naprzeciwko kuzynki zasiadł Jurek — zmieniła zdanie i pozostała na dawnym miejscu. I panna Lilka po dawnemu zajęła swoje siedzenie naprzeciwko ciotki pomiędzy dwoma młodzieńcami. Ale i ta zmiana nie zadowolniła panny Loli.

Lecz najbardziej irytowało ją roztargnienie na-

rzeczonego, upierającego się wciąż nazywać pannę Lolę panną Lilką.

— Panu zawsze siedzi w głowie Lila. Zapomina pan wiecznie o istnieniu mego imienia. Nazywam się Lola.

— Lila i Lola! To takie podobne do siebie, jak Wicek i Wacek.

— Jestem tak podobną do Lilki — przekomiarzała się z narzeczoną — jak pan jest podobnym do swego przyjaciela. — I chwyciwszy za ramię Pawełka dla prowokacji Jurka — usunęła się z przyjacielem narzeczonego w głąb ogrodu, kokietując go komplementami:

— Chcę być sam na sam z najmilszym na świecie człowiekiem.

Jurek podał ramię osieroconej Lilce, która skonstatowała:

— Pan lubi piątą figurę kontredansa ze zmianą dam?

— Nie zawsze. Uznaję jedynie zmianę na lepsze — przycisnął z lekka jej rękę do swego ramienia.

— Prawda — wykrztusiła i nagle poczerwieniała. — To pan był tym razem porzuconym na koszu. Ale gdzież się ci warjaci podzieli? Trzeba ich szukać — zadecydowała. I druga para młodych zginęła wśród gąszczu szpalerów.

Panią Wtorkowską pozostawiono samą. I biedaczka, chowając do koszyeczki resztki wina dla

stangreta, chrupała zroszone łzami pozostałe ciastka.

— Zostawiliśmy mamę samą! — zorientowała się wkrótce córka, powracając ze swoim towarzyszem, aby uspokoić wycierającą sobie zaczerwieniony nos matkę.

Lecz Lilka z Jurkiem jakoś nie zjawiali się. I pani Wtorkowska, porzucając swoją elegijność, wybuchła po kilku chwilach wyczekiwania, jak furja:

— Mam już tego szapronowania twojej kuzynce po szyję — zaperzyła się, porzucając minę niezrozumianej abdykowanej królowej.

— Może panu Pawełkowi uda się odszukać swego przyjaciela i naszą zgubę? — syczała panna Lola.

— Nie znajduję słów — trzęsła się królowa Wtorkowska — z powodu niewłaściwości takiego postępowania.

— Hej, ha! Jurek, panno Lilko! Jedziemy już do domu! — nawoływał donośnie Pawełek, solidaryzujący z tem, iż nieobecność zagubionych przeciąga się już trochę zbyt długo.

— No, nareszcie. Idą już — stwierdził pocieszająco po wyczekiwaniu, wydajacem się w zniecierpliwieniu dłuższem, niż w istocie.

— Wiecie — ironizowała panna Lola, — mama zamierzała już o waszej zgubie ogłosić w kurjerze.

— Z nagrodą dla znalazcy? — śmiał się nieczuły na grymasy kobiece Jurek.

— Czemuż nikt nam nie wspomniał — usprawiedliwiała się panna Lilka — o tej nagłej decyzji powrotu do domu? — wydawała się bardzo pomieszana i przejęta.

— A czyś ty sądziła, że będziemy tu nocowali?

Jurek tłumaczył opóźnienie niemłą przygodą. Panna Lilka zgubiła w lesie bransoletkę, którą z trudem wypaleziono o zbliżającym się zmierzchu. Stąd to opóźnienie.

— Do leśnych spacerów nie nakłada się bransoletek — zauważyła sentencjonalnie panna Lola.

— Wogóle nie chodzi się do lasu we dwoje — zasyczała mama — kiedy jest się w jednym towarzystwie.

A jednak fakt zgubienia bransoletki nie był żadnym wymysłem Jurka, choć coprawda pominął on wiele ważnych szczegółów: Owa bransoletka, zgubiona wśród pewnych niesfornych gonitw — odnalezioną została przez Jurka w trawie. Lecz odnalazca upierał się nie zwracać zguby bez okupu właścicielki. Nie pomagały nic jej prośby. Wreszcie zdecydował się oddać bransoletkę z warunkiem obejrzenia wszystkich zawieszonych na łańcuszku breloków. Na jednym z nich wyczytał dewizę: *On t'aime et l'on te fuit*. Teraz zamierzał stworzyć medaljonik w formie serduszka.

— Zabraniam panu stanowczo, błagam... usiłowała mu wyrwać bransoletkę panna Lilka.

Prośby jej ani groźby — na nie się nie zdały. Jurek otworzył serduszko: Pod szkłem tkwiła w niem fotografia.

— To portret — tłumaczyła się resztkami sił panna Lilka — mego zmarłego przedwcześnie braciszka. Jak mamę kocham.

— Jak mamę kocham — przedrzeźniał ją — nieprawda.

Był zdumiony tem odkryciem. Ależ to jego własna podobizna młokosa w gimnazjalnym mundurku z czasów ulicy Królewskiej! Zwrócił jej bransoletkę i, przeszywając palącem spojrzeniem, przygarnął w swoje zwycięskie objęcia całą, jak ptak drzącą, jak rajski kwiat wonną w swojej zgrzanej batystowej bluzce, jak dojrzały owoc podzwrotnikowy, do szału upajający i słodki...

I Jurek, przechylając coraz mniej obronnie szamocącą się jej cudną główkę — wynalazł wreszcie jej usta, przylepił do swoich; i śród szmeru liści, śród ciszy królewskiej ustronia zatonęli oboje w tym pocałunku, jak pijacy w nektarze, za który gotowiby zaprzedać duszę.

— Jurek, Lilka! Jedziemy już do domu!

I spłoszeni echem tych słów, rozlegających się śród lasu — powrócili zupełnie już korrekt do opuszczonego towarzystwa.

W powrotnej drodze ku domowi całe towarzy-

two senne i upite powietrzem, całodzienną bieganią i wrażeniami — nie siliło się już w powozie ani na rozmowy, ani na żarty, ani na śpiewy.

Panna Lola, siedząca na przedzie pomiędzy dwoma mężczyznami — zauważyła, że Jurek prawie na krawędzi strapontenu zajmuje swoją osobą jeszcze mniej miejsca, niż zwykle. Niebardzo zachwyciała ją ta wygoda i jego delikatność, z jaką wśród ciemni nie śmiał nawet musnąć swoją dłonią rękę narzeczonej.

Siedział naprzeciwko panny Lilki. Całe towarzystwo miało okryte nogi od kurzu wielkim, dyskretnym płedem, intrygującym bardzo pannę Lole.

Na placu Trzech Krzyży pani Wtorkowska wydała rozkaz stangretowi, że należy jeszcze odwieźć do domu pannę Lilkę. Stary Marcin drapał się po głowie. Konie takie już zmęczone. Przez cały tydzień woziły worki nasion do składu. A w święta jeszcze te spacery do Wilanowa i Natolina! Panna Lilka mieszkała z ojcem na przedpieklu, bo na rogu ulic Długiej i Freta.

Pani Wtorkowska, choć solidaryzowała się ze stangretem, nie zmieniała decyzji, ubolewając bezradnie:

— Trudno. Niema innego sposobu.

Lecz panna Lilka, dostrzegłszy na placu Trzech Krzyży jakąś niezajętą dorożkę, bez wahania wyskoczyła z powozu.

— Dziękuję za wszystko. Nie uznaję żadnych argumentów, ani perswazji. Konie zmęczone. Jadę do domu dorożką. Do widzenia, do jutra. Dziękuję.

Ani spostrzegła, jak wyskoczył za nią Jurek.

— Odwiozę pannę Lilkę. Nie może przecież jechać sama jedna śród nocy. — Pocałował w rękę narzeczoną i teściową.

Wielka landara o ciężkich szkapach w posrebrzanej uprząży ruszyła w stronę Mazowieckiej. Panna Lilka w dorożce nie wychodziła ze zdumienia.

— Jak pan śmiał? — broniła się więcej zaniepokojona, niż rozgniewana.

— Trudno. Jestem już od natury taki śmiały — jaśniał w świetle latarni auerowskich swojemi białemi zębami Jurek.

Na Nowym Świecie zatrzymał dorożkarza i, z obawy nadchodzącej burzy — kazał mu podnosić stary dekiel skórzany. Czynił to zresztą zwykle, odwożąc do domu aktorki. Pod dekiem mieli uczucie, że byli nareszcie sami. I Jurek przyciągnął Lilkę ramieniem do piersi zupełnie już, jak swoją, bez potrzeby długiego szukania jej ust, których upajająca pieśń drgała mu w nerwach melodjami, rozpoczętymi tam na swobodzie, poza więzieniem murów, śród lasu.

Kazał dorożkarzowi zawrócić z powrotem w Aleje. Wargi ich znów zlepiły się gorącą pie-

częcią. Zdawało im się, że usta ich zapożyczyły słodyczy i zapachów z tych lasów, polan i przestrzeni, nie objętych hipoteczną numeracją domów i nazw ulicy.

Mieli uczucie, że ten skrawek nieba, unoszący się ponad stolicą, jest dalszym ciągiem tego nieba bez granic, z tym samym zamiejskim księżycem i gwiazdami, które nie liczą się z więzami lilipucich kolizji i z moralnością i etyką usankcjonowanych praw.

— Ty — moja, moja, moja! — wykrztusił już nie zwykłym głosem Szałowskiego, lecz szeptem pijanego Amora.

Panna Lilka była nieprzytomna. Choć teoretycznie aż do zbytku uświadomiona — peraz pierwszy odczuła faktycznie swoje erotyczne koszmary, od których omdlewała teraz, tak ją paliły wraz z nocnym upałem i parnością powietrza. Lecz należało w końcu wracać do domu. Tembardziej, że czarne niebo przeszywało się coraz częściej złocistymi iskrami błyskawic. Poczęło grzmieć. I grube krople deszczu w oświetleniu latarni brylanciły, zimne w tonie płyty kamienne trotuarów. Dojeżdżali już do ulicy Długiej. I Jurek, nie wypuszczając ze swych objęć panny Lilki, więzionej okowami z gorącego żelaza jego dłoni, — począł przemawiać, niby dobry zwycięzca wobec zwalczonych:

— Trudno — streszczał się w decydującej

konkluzji głosem już bardziej ziemskim i liczącym się z parafjalnemi ugodowemi sytuacjami. — Nie tak, jak chcemy, ale jak musimy. Takie jest życie. Klamka już zapadła.

— Jesteś mój.

— Tak. Lecz z Wtorkowskimi jestem już połączony dziesiątkami najróżnorodniejszych względów i setkami ufundowanych na tej decyzji projektów, planów i zobowiązań, zaciągniętych u innych ludzi. Teraz, kiedy wyprawa i urządzenia są już na ukończeniu, nie mogę przecież cofnąć swego słowa i zerwać z narzeczoną, choć jej nie kocham. Nazwanoby to teraz skandalem, prawda? Tak samo i ty biedaczko musisz wyjść za Pawełka.

— A więc? — badała go drząc, jak wypadłe z gniazda leśnego pisklę — ciekawa wyroku tej konkluzji.

— Niezależnie od tych wszystkich ludzkich marności — żadna siła ziemi, nieba i piekieł nie zdoła zdusić w nas naszych pragnień szczęścia. Musimy należeć do siebie. Bo to dążenie do szczęścia jest niezależnem od nas. Jakiś tkwiący w nas wyrok bez apelacji... Musimy należeć do siebie. A reszta wszystko głupstwo. Prawda, Lilka?

Mówił nieswoim głosem, nieswoim stylem, jakby w sugiestji tych podniecających go sił, niezależnych, jak wspominał, — od niego.

I zbyt pewny tego bezapelacyjnego zwycięstwa, nie w stanie analizować wśród ciemni nocy meta-

morfozy, uczuć, wibrujących na zmienionej twarzy swojej towarzyszki — nie zdawał sobie sprawy, jak w niezręcznej szczerości przeciągnął struny.

— Precz, precz! — usłyszał naraz niespodziewany nagi głos panny Lilki. — Precz! — wyrwała się nieoczekiwanie z jego uścisku i szarpnęła dorożkarza. — Proszę stanąć.

I Jurek ani spostrzegł w swoim zdumieniu, jak w ciągu sekundy wyskoczyła z dorożki.

Deszcz lał teraz grubemi kroplami, jak z cebra, z ową upartą grozą martwej nocy, z rykiem piorunów i oślepiającym światłem błyskawic.

I Lilka biegła ku domowi, odległemu jeszcze o całą długość ulicy. Jurek wyskoczył z pustej już dorożki, sunącej za nimi i biegł za swoją towarzyszką.

Przemokła do nitki i drżąca, nie słuchając usprawiedliwień z powodu źle zrozumianych niby wynurzeń Jurka — upierała się nieprzytomna:

— Precz, precz. Potraktowałeś mnie pan, jak kokotę. Lecz to ja panem pogardzam. Wszystko pomiędzy nami skończone. Możesz pan zdradzać sobie swoją bogatą żonę z godnemi ciebie utrzymankami, do jakich chciałeś pan i mnie zaliczyć. Wiedz pan, że gdybym nawet miała zostać kokotą, — to już raczej z pierwszym lepszym z ulicy; lecz z panem nigdy, z panem nigdy, nigdy.

Dobiegła wreszcie do domu. Na skutek przeciągłego dzwonka kilku wyczekujących przed bramą

lokatorów — stróż domu pośpieszył się, i wrota bramy wnet zatrzęsły się za wchodzącymi.

Wszystko się skończyło.

A w duszy Jurka syknęło w tej chwili jasnowidzenie:

— To jest zupełnie uczciwa dziewczyna. Słowo daję. A te wszystkie znaczące kalumnje, rzucane na nią przez te wiedźmy, jej kuzynki — były notorycznym fałszem. Biedaczka! I kocha mnie! I co ja mam teraz robić? — Wsiadł do oczekującej drożki i, rzuciwszy przemokłemu na koźle woźnicy swój adres, zaklął:

— Ach! Te baby, te baby! Psia krew! Niech diabli porwą!

Nazajutrz panna Lola w politycznej misji wybrała się z odwiedzinami do swojej kuzynki. Zastąpiła Lilkę w perkalikowym negliżu, zajęta przy lustrze rozczesywaniem swoich pięknych, jasnych, wonnych włosów.

W jej trzech pokoikach, jakie wraz z ojcem zajmowała, nie było zwyczaju meldowania gości, choć gospodyni domu nie była stanowczo usposobiona dziś do przyjmowania wizyt.

Panna Lola w mig zaobserwowała jej nasek i oczy, zaczerwienione od płaczu i zmoczona od łez chusteczkę na tualetcie.

— Coś się tu stało... wywnioskowała wnet, skrócając uplanowany ceremonjał swojej misji politycznej. — Nie lubię obwijać słów w bawełę.

Znasz mnie pod tym względem. Dlatego przystępuję odrazu do rzeczy. Wiesz dobrze, że nie jestem z natury zazdrosną. Lecz chodzi tu o mamę, która, życząc ci jaknajlepiej, uważa wczorajsze twoje zachowanie się za niewłaściwe wobec pana Pawełka; bo zamiarów zaślubienia panny bez posagu — nie należy przeciągać. Takie jest słuszne zdanie mamy, która uważa też, że wobec tego — nie ma celu twoje kokietowanie mego nanarzeczonego. Mężczyźni są zazdrośniejsi od nas. Chodzi więc tu jedynie o pana Pawełka i o twoją przyszłość.

Poczuwając się do winy, panna Lilka, jak rasowy źrebaczek pod ciągiem bata — zadrżała:

— Wiesz, że jestem niesforną i nie kieruję się niczyjemi uwagami. Lecz wobec tego, że matka twoja uważa moje zachowanie się w towarzystwie za zbyt swobodne, jak na szanujący się dom burżuazyjny, — przestanę u was bywać. To — już wszystko, co uczynić mogę. Lecz pozatem nie potrafię zabraniać ludziom, aby ze mną rozmawiali. Nie mogę zawiesić na sobie tabliczki, jak na klombach z napisem: „Zastrzega się pod karą policyjną...”

— Ha! Jeżeli nie zależy ci na szanowaniu twoich kwiatów...

— Widocznie — cynizowała w rozgoryczeniu panna Lilka — jestem nieodrodną córką swego

ojca. Jabłko niedaleko pada od jabłoni. Wiem, żeście o mnie tak zawyrokowali.

— Nie tylko jedynie jabłoń twego ojca jest grzeszną — syknęła panna Lola — lecz i synowie dziedziczą złe instynkty po zmarłych matkach. Twój ojciec był artystą, a twoja matka była bez plamy. Nie była niczyją metresą, jak się w niektórych rodzinach zdarza — rzuciła w rozżaleniu kalumnję na matkę narzeczonego, na biedną panią Romeę.

Drzwi pokoiku Lilki na oścież otwarto. I jakaś kucharka od siedmiu boleści dźwigała z trudem olbrzymi wywstażkowany kosz kwiatów, jeden z owych dekoracyjnych majstersztyków druciarско-ogrodniczych, jakie podaje się pięknym szansonistkom na scenie wraz z ukrytym klejnocikiem i z zaproszeniem na kolację.

To — Jurek, zupełnie nieobyty w obcowaniu z panienkami, zamiast znacznie więcej mówiącego jednego skromnego kwiatka — wystąpił nieopatrzenie z tą „gabinetową“ deklaracją miłosną.

Panna Lilka drżącemi rękami otworzyła kopertę i wnet w najwyższej rozpaczy podarła ją wraz z tkwiącym w niej biletem na kawałki. I, nie zdając sobie sprawy z obecności kuzynki — wybuchła jawnym niepowstrzymanym płaczem:

— Nie tylko ty i twoja matka, lecz i wszyscy inni uważają mnie za kokotę.

Panna Lola rzuciła okiem na walającą się na

stole podartą kopertę i wnet poznała nieomylnie pismo narzeczonego. A w złożonych niedyskretnie kawałkach biletu wizytowego z jego nazwiskiem wyczytała z mozołem odwrotną parafrazę znanej jej dewizy z bransoletki szlochającej pięknej kuzynki:

— On t'aime et on ne te fuit pas.

— Bądź zdrowa, Lilko — bardzo wyniosła powstała z siedzenia bogata kuzynka. — Nie mam do ciebie żadnego żalu. Nie kochałam nigdy mego narzeczonego. Ty wiesz, że ja nie przepadam za ładnymi chłopcami, choćby dlatego, że za poruszeniem palca mogę zawsze kupić sobie najpiękniejszego do wyboru.

Panna Lola, wróciwszy do domu, odesłała bez chwili wahania zaręczynowy pierścionek Jurkowi, poczem uświadomiła rodziców o całej awanturze. Pani Wtorkowska w rozpaczę zwierzała się staremu:

— Kiedy ma się rodziców, niedopuszcza się do takiego skandalu bez porozumienia się z matką. A tembardziej należało poradzić się ojca. Lola była zawsze bezwzględna, upartą impetyczką. Teraz, kiedy wyprawa już gotowa, meble obstawiane... Ale ta twoja Lilka — to także ziółko. Noga jej nie postanie więcej w moim domu. Zawsze się jej obawiałam.

Chciała jak zwykle wciągnąć w tę awanturę męża — nie zdecydowana jeszcze co do roli, jaką

ma mu wyznaczyć. Lecz ku jej zdziwieniu „brutal“ wierzgnął tym razem zupełnie szczerze. Bo nie miał już zdrowia do komedji. Czuł się faktycznie chory i złamany. I z obolałą głową, trzaskając drzwiami, wykrztusił resztkami sił:

— Niech pioruny zatrzasną wszystkie babskie brewerje.

— Szkoda, że moja córka nie przekonała się uareszcie — tryumfowała pani Wtorkowska — jakim barankiem jest jej ojczulek!

Po upływie tygodnia ku ogólnemu zdziwieniu zjawił się w ich salonie Pawełek, ze swoją zwykłą, skromną i miłą dezynwolturą przyjaciela domu, jaką roztaczał zawsze po bliższem poznaniu wśród ludzi, których lubił. Zawsze delikatny, wobec kobiet trochę poufały — począł dowcipkować:

— Wobec tego, że Mahomet nie przyszedł do góry — góra przychodzi do Mahometa.

— Nie znam się na symbolistyce. Nie wiem, kto jest tu górą, a kto Mahometem — rzuciła mu bardzo niegrzecznie pani Wtorkowska.

Urażony tą niespodziewaną brutalnością — Pawełek zaczerwienił się po białka oczu ze swoją wrażliwością mimozy.

— Pan zapewne nie jest wtajemniczony — łagodziła oschłość matki panna Lola — w zmiany stosunków, jakie zaszły pomiędzy naszym domem, a pańskim przyjacielem,

— Jakie zmiany? Jurek wyjechał trzy dni temu w interesach fabryki do Wiednia.

— Pan nie wie? Nasze małżeństwo zerwane. Odesłałam pańskiemu przyjacielowi jego pierścionek, a pan Szałowski — wskazała na swój palec — zdążył widocznie przed samym wyjazdem za granicę zwrócić mi mój. *La comedia e finita.*

— Nie pyta pan o powód? U donżuanów jakież może być inny motyw: *Cherchez la femme.* Niech pan szuka.

Pani Wtorkowska, żałując po niewczasie wybuchu wobec gościa — usiłowała teraz stać się względem widocznie skruszonego — jaknajmilszą. Roily się po jej głowie widocznie jakieś projekty pośrednictwa i możliwe przedawnienia nieporozumień oblubieńców. Zmusiła też Pawełka do pozostania na herbacie. Panna Lola znajdowała się bez zarzutu. Tylko, kiedy raz niebacznie potrącono o Natolin — rozplakała się i wyszła na chwilę z salonu.

Pawełek wchłonał w siebie wrzącą herbatę; rozmowa coraz gorzej się kleiła. Pani Wtorkowska, jakby zwątpiwszy już o możliwości ugody, stawiała się coraz dystyngowańszą i coraz zimniejszą. Wreszcie, kiedy panna Lola powróciła znów do salonu — stara wysunęła się bez kiwnięcia głowy bardzo wyniosłe z pokoju.

Młodzi pozostali sami. Przez sekundę zapanowała pomiędzy nimi bardzo brzemenna cisza.

Wreszcie Pawełek powstał z siedzenia i wziął za kapelusz:

— Żegnam panią — całował ją w rękę, przekonany, że jest u nich po raz ostatni, ze szczerem współczuciem z powodu niefortunnego obrotu sprawy. Panna Lola odczuła tę szczerotę w jego uścisku. Oczy jej znowuż zaszły łzami. I wzruszona jego dobrocią, odkładając na bok swoją dumę, z którą dotąd nigdy się nie rozstawiała — zwierzyła mu się przyjaźnie:

— Zawdzięczam panu pierwsze moje łzy i... ostatnie w tej całej awanturze. Dziękuję panu. Te łzy przyniosły mi wielką ulgę. Teraz jestem już znowuż sobą. Czy przestawszy być narzeczoną pańskiego przyjaciela, mam być zupełnie już wykreśloną z pańskiego życia? Szczerze bolałabym z powodu takiego postanowienia. Można nie wierzyć ludziom, twierdzącym, że cenią nasz umysł i charakter. Bo słowa ludzkie kłamią. Lecz wierzę w pańską intuicję odczuwania myśli. Czy wierzy pan, że cenię pana więcej, niż innych?

— Wierzę — odrzekł wdzięczny za każdą uprzejmość.

I odwiedzał ich dość często — spragniony wiecznie szczęścia rodzinnego przy wiszącej lampie w jadalni. Panna Lola wydawała mu się miłą, inteligentną i dowcipną. Nie zauważył słuszności opinii, według której miała zbrzydnąć w ostatnich czasach, choć i przedtem piękną nie była.

Taż opinia zarzucała jej brak gustu w ubraniu, dochodzący aż do zaniedbania, zarzucanego jej przez rodzoną matkę, której rad się nie słucha. Bo pani Wtorkowska była teraz bardziej niezrozumiana, niż kiedykolwiek. Ogromnie interesująca ze swoją łzawością, ogromnie dystygowana w swoich bogatych strojach podług ostatniej mody, do niebieskości upudrowana i ściśnięta w swoim gorsecie, z którego ogromnie wysoko wypływały obfite 50-cio letnie piersi.

Pawełka traktowała mama Wtorkowska wyniośle i trochę drwiąco, z wielkiem jednak uznaniem dla jego charakteru, a głównie z powodu jego przyjaźni ku temu, kórego bezpowrotnie utraciła.

Za to stary Wtorkowski, cały promieniejący (niewiadomo, czy z powodu utraty niedoszłego zięcia) okazywał bardzo nieudolnie na każdym kroku jakąś nadzwyczajną sympatję Pawełkowi. A nie wiedząc, z jakiej beczki zacząć, stroił jakieś niedźwiedzie figle, klepał go po ramieniu i honorował na własną rękę tak widocznie, aż Wtorkowska z córką ramionami wzruszały.

Ten widoczny jego afekt wzruszał wiecznie tkliwego Pawełka tembardziej, iż on jeden zauważył fakt, niedostrzegany przez nikogo z rodziny, iż stary, pomimo widocznych wysiłków symulacji — czuje się ze zdrowiem krucho. I Pawełek z właściwą sobie wrażliwością odczuł ukrywaną tragedję w jego martwych oczach i w całej

fioletowej twarzy o miękkich fałdach, opuszczającym się podbródku i trzęsących się konwulsyjnie szczękach. Zauważył też, iż stary coraz częściej zatacza się na swoich chwiejących się starczych nogach, przemienia wyrazy, popada w zadumy i wśród rozmowy pochyla głowę i zasypia.

Pawełek jeździł teraz z temi paniami każdej niedzieli powozem w Aleje i do Łazienek. Często Wtorkowscy zabierali go z sobą do łoży. O Jurku, bawiącym jeszcze wciąż za granicą, nie było ani słuchu, ani dudu. I panna Lilka znikła jakoś z widowni, jak kamfora. Podobno wyjechała do Madrytu, do ojca, który zwykle ferje w ojczyźnie swojej spędzał.

— Nie bardzo ja tam wierzę w ten jej Madryt — zdecydowała tajemniczo pani Wtorkowska.

— Tak, tak kochany panie, — klepał Pawełka niedźwiedzią łapą tragicznie uśmiechnięty Wtorkowski. — Powinieneś pan położyć krzyż na swoich dawnych matrymonjalnych projektach. Lilka to nie była żona dla pana. Jej nie ogniska rodzinnego trzeba, ale kinkietów sceny.

Nazajutrz zdumiony Pawełek wchłaniał w siebie słowa pierwszego listu od Jurka. I ocierał wciąż oczy, aby upewnić się, że nie śni: List był tak sensacyjny, że należało nie przeoczyć, poza jaskrawością samych faktów — jeszcze i wszystkich

mieszczących się pomiędzy linjami subtelności i dość przejrzystych aluzji.

A słowa tego listu z przestarzałą datą Wiednia i z marką stemplowaną na Kahlenbergu brzmiały: „Kochany Pawełku! Wszystkie interesy londyńskie i paryskie zakończyłem ponad wszelkie oczekiwania wyjątkowo pomyślnie. Moi egzotyczni przyjaciele nie zapomnieli o mnie. Jeżeli więc tyłkò fałd nie pożałujesz — jakoś wybrniemy. Przyobiecanych wkładów przezacnego Wtorkowskiego nie uważam jeszcze za stracone niezależnie od zmiany dawniejszych nieudanych projektów. Bo też bez tych pieniędzy — rzecz prosta — byłoby nam djabelnie ciężko. Doszło już do moich uszu, że asystujesz stale pannie Loli, która zawsze ci się podobała i uważała ciebie za znacznie miłszego w salonie odemnie; co jest zresztą faktem. Zresztą uważam cię za człowieka, zbyt honorowego, abyś kompromitował bezcelową stałą asystą pannę najzacniejszą, jaką zdarzyło mi się spotkać i która postępowaniem całego swego życia nie zasłużyła sobie na oszczerstwa opinji. Tak, tak. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Czy pamiętasz, ty stary cyniku? Byłeś zawsze zdania, że zawsze obchodzą przyjaciół bardziej ich narzeczone i żony, niż sami przyjaciele. To się sprawdziło. Nie mam do ciebie żadnego żalu, ponieważ ona zawsze oświadczała mi, że nie lubi takich typów, jak ja. Widocznie lubi in-

ne typy. Sapienti sat. Szczęść Boże! Powtarzam, że nie czuję żalu do nikogo. Nie kochałem jej nigdy, choć mam dla niej wiele sympatji i będę bardzo rad spotykać ją w życiu. A propos: Bawitu w Wiedniu między innemi i panna Lilka, z którą dość często spotykamy się. Nie sądź, że chcę coś ukrywać przed tobą; choć być może, że nie należy zwierzać się z podobnych spraw nawet przed przyjacielem. I ty nie zwierzałeś się przedemną. Zresztą przy okazji opowiem ci coś nie coś, ty stary plotkarzu. Shake hand. Jours trully friend. Jurek.

Post scriptum. List ten oddawna napisany i nie wysłany nosiłem w swoim pugilaresie. Modyfikuję te opóźnione wiadomości nową sensacją: Alea jacta est. Stało się. Wyobraź sobie, wczoraj w kościółku na Kahlenbergu pod Wiedniem miejscowy ksiądz pobłogosławił mój związek małżeński z panną Lilą Aranduro. Cóż ty na to? To ci bomba na Warszawę, co? Ach! Te kobiety, te kobiety!

Dopisek Lilki brzmiał:

„Ach! Te kobiety, te kobiety!“ Proszę pana Pawełka, czy mąż powinien odzywać się w ten sposób o swojej żonie? Przezacnego pana Pawełka będę zawsze kochała, jak rodzzonego brata. I będziemy krótko trzymali Jura, który rozpuścił się tu w Wiedniu, jak bicz dziadowski. I tak się spoufalił ze mną, że wytrzymać z nim nie można, choć jest mój drogi, złoty, kochany jedyny Jur.

Nie mogę kończyć tego listu, bo ten niegodziwiec wyjął mi grzebień i całe włosy rozsypały mi się. Także mi wychowanie! I tak mi zimno, bo jestem w negliżu. Lila.

P. S. Spoufaliłem się — to prawda. Ale co do grzebienia — nieprawda, bo sam wypadł. I ładny mi negliż! Wolę już nie mówić. Jurek.

P. S. Gdyby pan wiedział, jaki ten pański przyjaciel jest bezwstydy! Lilka.

P. S. A to — to prawda — Jurek.

P. S. A teraz znowuż całuje mnie! I nikt mnie nie obroni! Lilka.

P. S. Nieprawda. Ona nie chce, aby ją kto obronił. Jurek.

